cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #221 03/2025

TYLKO U NAS

PUBLIKUJEMY CAŁY AMERYKAŃSKI RAPORT O RZĄDACH TUSKA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

CIEMNE CHMURY NAD TUSKIEM

Donald Trump ucina finansowanie dla propagandy antydemokratycznych „obrońców demokracji”



ISSN 1896-9496

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. AARON SCHWARTZ/POOL/PAP/EPA, TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK (4)

eprasa.pl 3207be40fc

TEMAT NUMERU ▼ 6–15



Dolarsowi „obrońcy demokracji” / 6

RAPORT ▼ 16–33



Kiedy demokraci rządzą niedemokratycznie: przypadek Polski / 16

IDEE ▼ 34–40



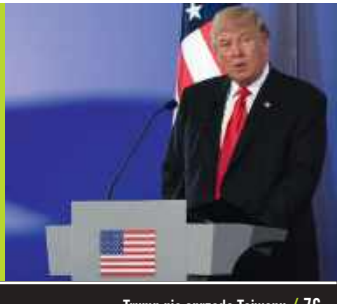
Transhumanizm – wyzwolenie czy koniec człowieka? / 14

HISTORIA ▼ 42–71



Połamane wiosła. Jak komuna niszczyła olimpijczyków z II RP / 30

ŚWIAT ▼ 76–97



Trump nie sprzeda Tajwanu / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Wojciech Mucha
Dolarsowi „obrońcy demokracji” 6

Piotr Lisiewicz
Demokracja za obce pieniądze 10

Tomasz Łysiak
Jak Moskal pieniędzmi Polskę rozebrał... 13

RAPORT

Matt Boyse, Peter Doran
Kiedy demokraci rządzą niedemokratycznie: przypadek Polski 16

IDEE

Małgorzata Matuszak
Transhumanizm – wyzwolenie czy koniec człowieka? 34

Jakub Augustyn Maciejewski
Nihilista woła o pomoc 38

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Połamane wiosła. Jak komuna niszczyła olimpijczyków z II RP 42

Dariusz Jarosiński
Wyrok w imieniu Moskwy 48

Agnieszka Kowalczyk
Teresa Zarzeczańska. Kraulem przez kanał La Manche 54

Ewa Polak-Pałkiewicz
Tamta strona Europy. O Rumunii sprzed 50 lat i jej zakręcie dziejowym 60

Tomasz Gromadka
Biskup-wojownik Jon Arason i ostatni bój islandzkich katolików 66

ŚWIAT

Hanna Shen
Trump nie sprzeda Tajwanu 76

Antoni Rybczyński
Wojna Północna. Rosja zetrze się z NATO nad Bałtykiem 80

Stefan Czerniecki
Noc na wyspie przemytników 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

Antoni Rybczyński
Montaż, czyli Francja w sieci KGB 94

Stałe rubryki


Katarzyna Gójska
Czas szumu
NA POCZĄTEK 3


Małgorzata Matuszak
Czym jest... pokusa
KATECHIZM INTELIGENTA 41


Krzysztof Wołodźko
Eschatologia i transformacja. Opowiadania Andrzeja Horubały
DZIENNIK LEKTUR 72


Marcin Wolski
ONZ – maszynka do bicia piany
PAPKULTURA 85


Marek Kalinowski
Walentynki z Voo Voo
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 98


Tomasz Sakiewicz
Kogo Tusk wciągnie pod wodę
OSTATNIE SŁOWO 99

OD GRUDNIA 2024
„NOWE PAŃSTWO”
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko
SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)
DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 3207be40fc



Katarzyna Gójska

Czas szumu

Do wszystkich informacji dotyczących negocjacji w sprawie Ukrainy trzeba podchodzić ze spokojem. Jesteśmy bowiem w czasie wzmożonego szumu informacyjnego, który zawsze towarzyszy rozległym i wielopoziomowym negocjacjom.

Dziś pewne jest jedynie to, iż prawie wszystko jest niepewne. Mimo wszystko z tej kakofonii można wychwycić dźwięki tworzące jakąś w miarę składną melodię. Zatem po kolei.

Polska

Wszystkie sygnały wysyłane przez nową administrację dotyczące relacji polsko-amerykańskich są dla nas albo pozytywne, albo niezwykle korzystne. Nie ma mowy o ograniczeniu bezpieczeństwa naszego kraju, nie ma mowy o obniżeniu poziomu zaangażowania USA w Polsce, a sugerowane rozwiązanie dotyczące obecności wojsk europejskich jako sił rozjemczych na Ukrainie – już po zawarciu pokoju – i zwiększenie obecności amerykańskiej na flance wschodniej to oferta bardzo dla nas zachęcająca. Obawiam się jednak, iż Rosjanie z tego powodu właśnie będą ją torpedować i znajdą w tym działaniu sojuszników z zachodniej Europy. Oznaczałaby ona w rzeczywistości przerzucenie amerykańskiej broni na nasze terytorium. Warto w tym kontekście spokojnie podejść do postulatu europejskich sił rozjemczych na Ukrainie. Wobec tej propozycji już rozpętała się histeria. Tymczasem polscy żołnierze od lat biorą udział w misjach wojskowych, niekiedy niezwykle niebezpiecznych, i do tej pory nie wywoływało to jakichś szczególnych emocji. Poza tym obecność wojsk to też rodzaj władzy. Polskie wojsko, będące częścią wielonarodowej misji pokojowej, byłoby jednym z czynników ułatwiających udział naszego biznesu w procesie odbudowy. To musi oczywiście wywalczyć polska dyplomacja, ale obecność żołnierzy jest niezwykle silnym czynnikiem wspierającym tę walkę.

Ukraina

Niespełna dwa lata temu prezydent Zełenski wykonał niezwykle niekorzystną dla swojego kraju woltę. Politycznie zdradził Polskę na rzecz mglistej wizji protekcji niemieckiej. Wszedł w nieszczęsne dla kijowskiej polityki koleiny mrzonek o silnym partnerze, zapominając, iż w chwilach próby liczy się przede wszystkim partner lojalny. W Polsce stał się symbolem niewdzięczności tak silnym, iż część negatywnych reakcji na niego wielu Polaków zaczęło przekładać się na sprawę pomocy Ukrainie w ogóle. Zełenski fatalnie włączył się w amerykańską kampanię wyborczą, stawiając wszystko na stronę, która okazała się przegrana. I dziś, niestety, zbiera owoce swojej decyzji.

Warto jednak przypomnieć kluczowy fakt. Latem 2022 roku zaistniało realnie coś, co nazywane jest oknem szansy na kontrofensywę. Rzeczywiście w tamtym czasie załamał się rosyjski front. Poprzerywały się łańcuchy zaopatrzenia i armia Putina znalazła się w bardzo trudnym położeniu. Gdyby ten czas został wykorzystany militarnie, wojna być może potoczyłaby się inaczej. Ale tak się nie stało – administracja Bidena i ci, dziś tak proukraińscy europejscy przywódcy spowolnili dostawy broni, dając Rosjanom czas na pozbieranie się. Trudno uznać to za nieporozumienie. Po prostu podjęto decyzję, by nie osłabiać Putina. Bezczynnością podano mu – skutecznie – tlen w tej wojnie. Polska była wówczas po zupełnie innej stronie. Biliśmy na alarm, tłumaczyliśmy znaczenie tamtej szansy. Jednak dzisiejsi malowani obrońcy Kijowa przed Trumpem nie reagowali.

eprasa.pl 3207be40fc

Trump

Donald Trump obiecał swoim wyborcom pilnowanie interesu ich państwa. Czas otrząsnąć się z mrzonek o Wielkim Bracie, który ciągle wspiera finansowo i pełni rolę anioła stróża. Musimy się liczyć z tym, iż Waszyngton będzie twardo szedł po swoje. Ale trudno jednak sobie wyobrazić, by w tej sytuacji oddawał coś Moskwie. Dziś – w tym szumie informacyjnym – nie sposób ocenić, co jest realnym działaniem, co tylko fejkiem, a co celowo rzuconą informacją, która ma wywołać jakieś reakcje. Wydaje się jednak pewne, że Trump nie podpisze niczego, co będzie niekorzystne dla USA i dla niego osobiście, co pozwoli zaprezentować go jako przegranego. Nie oznacza to jednak, że po drodze jego administracja nie da się zwieść Kremlowi. Musimy się z tym liczyć, bo naiwność Zachodu wobec Rosji jest niestety dość powszechna i była osobistym doświadczeniem wszystkich przywódców USA, których dziś postrzegamy jako wzór walki z Sowietami. Oni po prostu nie mają naszych doświadczeń – Polska wiedza na temat Rosji jest unikalna i niezwykle głęboka. Dlatego celem naszej dyplomacji powinna być teraz usilna praca nad tłumaczeniem nowej administracji prawdziwych celów Kremla. I tu pojawia się problem: kto ma to robić? Prezydent Andrzej Duda za kilka miesięcy kończy urzędowanie, w Waszyngtonie nie ma wsparcia sprawnego przedstawicielstwa dyplomatycznego, tylko szkodnika i ignoranta, który najlepiej by zrobił, gdyby nie opuszczał budynku ambasady RP. Na czele naszego rządu stoi człowiek skrajnie antyamerykański, w czasie pierwszego premierostwa współdziałający z Putinem i z Merkel w celu osłabiania relacji transatlantyckich. Szef MSZ kilka dni temu wieszał psy na środowisku Donalda Trumpa, a potem kurcgalopkiem pognał na CPAC, by tam żebrać – dosłownie – o możliwość wystąpienia. Nawet w tym okazał się nieskuteczny. Co więc może załatwić dla Polski, skoro poległ w walce o szansę na kilkuminutowe przemówienie na konferencji konserwatystów?

Wartości

J.D. Vance powiedział na konferencji w Monachium, a w zasadzie po raz kolejny powtórzył, że Ameryka nie ma interesu w obronie państw niepodzielających jej wartości. Administracja Trumpa chce przywrócić normalność i powrócić do tego, co budowało siłę USA: do wolności i demokracji. Tymczasem w Europie odwrotnie – zamordyzm ideologiczny przybiera na sile, demokracja krępowana jest przez unijnych urzędników. Polska jest najbardziej niechlubnym tego przykładem. Bezprawie, bezprecedensowe ograniczanie wolności słowa, czyli niepoddawanie się kontroli społecznej, stosowanie przez władzę przemocy usankcjonowanej przez wyselekcjonowane składy sędziowskie. To wszystko sprawia, że dzisiejsza polska władza nie będzie partnerem dla ekipy Trumpa. Tym bardziej iż widać gołym okiem, że Tusk jest jedynie narzędziem europejskiego ruchu antyamerykańskiego. Jest przez niego wykorzystywany, niestety z wielką szkodą dla naszego kraju. Dziś ten ruch występuje pod ordynarnie fałszywą antyrosyjską flagą. Naprawdę trudno o większą obłudę. Ci sami ludzie, którzy latami paśli kremlowskiego zbrodniarza, zawierali z nim skrajnie niekorzystne dla Ukrainy (realnie odbierające jej terytoria) tzw. porozumienia mińskie, blokowali akcesję Ukrainy i Gruzji do NATO, wstrzymywali pomoc dla Kijowa na początku inwazji, dziś robią z siebie jastrzębi walki z Putinem. Nie możemy pozwolić temu zakłamanemu teatrowi się zwieść. Jeśli uda się tzw. europejskim elitom wypchnąć Stany ze Starego Kontynentu, to jedynym skutkiem tego przedsięwzięcia będzie wcielanie w życie projektu Europy od Lizbony po Władywostok. A dla nas to najgroźniejszy z możliwych scenariuszy.

Jeśli uda się tzw. europejskim elitom wypchnąć Stany ze Starego Kontynentu, to jedynym skutkiem tego przedsięwzięcia będzie wcielanie w życie projektu Europy od Lizbony po Władywostok. A dla nas to najgroźniejszy z możliwych scenariuszy.

W najlepiej pojętym polskim interesie jest utrzymanie ścisłych relacji z USA. Nie wszystkie elementy polityki Waszyngtonu będą nam się podobać – trzeba je wówczas krytykować i tłumaczyć, dlaczego są niekorzystne. Ale nie ma alternatywy dla wzmocnienia bezpieczeństwa naszego kraju niż sojusz transatlantycki oraz budowanie własnej siły militarnej tak dużej, jak to tylko możliwe. Słabych nikt nie broni i nieprzyjaciół nikt nie broni.

W kontekście skomplikowanych manewrów geopolitycznych Polsce potrzeba ośrodka władzy zdolnego do kontynuowania polityki prezydenta Andrzeja Dudy. Sytuacja, w której żaden z przywódców naszego kraju nie będzie w stanie skutecznie dotrzeć ze swoimi racjami do centrum amerykańskiej polityki, będzie nie tylko szkodliwa, lecz także bardzo groźna. Każdy z obywateli RP winien rozważyć tę sprawę, podejmując decyzję podczas majowych wyborów prezydenckich. ■

eprasa.pl 3207be40fc

Wspieraj wolne media, które nie boją się mówić prawdy!

Nie pozwól, by niezależne dziennikarstwo zostało zagłuszone. Dzięki Twojej prenumeracie **„Gazeta Polska”**, **„Gazeta Polska Codziennie”** oraz **„Nowe Państwo”** pozostają głosem patriotów i strażnikiem polskich wartości.



DOŁĄCZ DO TYCH, KTÓRZY WALCZĄ O PRAWDĘ!

Wolne Media potrzebują Twojej pomocy >>

Zamów prenumeratę teraz!
prenumerata.swsmedia.pl

NAPISZ **prenumerata@swsmedia.pl** / ZADZWOŃ **605 900 002** / SPRAWDŹ **prenumerata.swsmedia.pl**
DANE DO PRZELEWU **PL 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017** / ADRES **ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa**

eprasa.pl 3207be40fc

Lewicowo-liberalna międzynarodówka lamentuje. Trump odcina jej finansową kroplówkę



Egzemplarz prasowy

Wojciech Mucha



Wraz z nadejściem „ery Donalda Trumpa" kończą się „złote żniwa" dla lewicowych i liberalnych organizacji, które pieniądze na swoją przeprowadzaną często pod sztandarem „obrony demokracji" antydemokratyczną działalność pełnymi garściami czerpały z grantów przyznawanych im przez administrację Biden–Harris. Ale ten moment powinien być także okazją do ujawnienia całkowitej skali tego procederu i wielkiej sieci dalszych powiązań. Bo na jego zakończenie niestety liczyć nie można.

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. AARON SCHWARTZ/POOL/PAP/EPA, TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK (4)

Mało kto dziś pamięta, że w czerwcu 2021 roku do podkrakowskich Dobczyc zawitało zorganizowane pod patronatem ówczesnego rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara towarzystwo spod znaku Tour de Konstytucja. Wówczas sprawa wywołała niemały skandal. Okazało się, że na meeting ze środowiskiem zbliżonym do Komitetu Obrony Demokracji, stowarzyszeń sędziowskich Themis i Iustitia, prokuratorskiego Lex Super Omnia oraz Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka spędzono dzieci z pobliskiej szkoły, a część rodziców wyraziła z tego powodu oburzenie.

Dorośli argumentowali, że nie życzą sobie, by pociechy były bez ich zgody wystawiane na polityczną propagandę przemycaną pod sztandarami „lekcji o konstytucji" i rzekomego promowania obywatelskich postaw. Dzieci słuchały bowiem m.in. o prawie do aborcji i o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej, oczywiście w kategorycznie krytycznym względem rządu (Zjednoczonej Prawicy) kontekście.

Praca organiczna

W sprawie interweniowała także ówczesna kurator małopolska Barbara Nowak, której działania były ochoczo wyśmiewane przez lokalną prasę, a reakcje Ministerstwa Edukacji pod kierownictwa Przemysława Czarnka jako dowód na to, że pisowski reżim chce ideologizować młodzież, również poprzez zakazy dostępu do kaganka oświaty, z jakim na dobczycki rynek przybyli luminarze spod znaku Tour de Konstytucja. Rzecz ciągnęła się miesiącami, bo nieustępliwa Nowak zawiesiła dyrektorkę Szkoły Podstawowej nr 1 w Dobczycach, która później na łamach krakowskiego dodatku „Gazety Wyborczej" dramatyzowała, że „to sygnał dla nauczycieli: nie wychylajcie się".

Tamte wydarzenia rezonowały oczywiście w mediach ogólnopolskich. W tym kontekście pisano na przykład o tzw. lex Czarnek, który to projekt ustawy zakładał, że scenariusze zajęć dodatkowych miałyby być zatwierdzane przez kuratoria oświaty.

„Dyrektorzy mówią o strachu i boją się konsekwencji prawnych, a także społecznego napiętnowania. Dlatego bardziej niechętnie patrzą na zajęcia dodatkowe, nawet na te, na które zgodę wyrażają rodzice" – mówiła wówczas Onetowi rzeczniczka Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Tour de Konstytucja jeździł tymczasem po całej Polsce, na przekór strasznemu pisowskiemu reżimowi, i lansował tezy o jego rzekomej zbrodniczości. Co ciekawe, jeszcze w tym samym roku TdK wrócił do Dobczyc, „żeby okazać wsparcie nauczycielom oraz

eprasa.pl 3007be40fc

dyrektor dobczyckiej szkoły». Na miejscu obecni byli m.in. Adam Bodnar, dzisiejszy minister sprawiedliwości i prokurator generalny, sędziowie: Igor Tuleya, Waldemar Żurek i Paweł Juszczyszyn, a nawet nieukrywający swych politycznych sympatii celebryci – muzyk Zbigniew Hołdys czy aktor Andrzej Chyra.

Tak, Dobczyce miały wówczas swój moment, ale całość wojaży spod znaku Tour de Konstytucja i rozpętanej wówczas histerii jest nam potrzebna, by pokazać szerszą strategię budowania podobnej atmosfery. Za pomocą setek wydarzeń, narzucanych narracji, panik moralnych i działań o charakterze propagandowym utwierdzano w latach 2015–2023 niemałą część Polaków we wrażeniu, że w kraju trwa coś na kształt partyzanckiej wojny z okupantem (takie diagnozy padały).

O tym, że to wszystko bujda, znakomita część Polaków wiedziała jednak od początku. Fakty dotyczące politycznego zaangażowania ludzi, którzy wyciągając na sztandary ustawę zasadniczą, parli do obalenia rządu Zjednoczonej Prawicy, były i są powszechnie znane, a obecna kariera Adama Bodnara jest najlepszym dowodem na to, że to ci, którzy wówczas pukali się w głowę, mieli rację.

Takie eventy jak Tour de Konstytucja, które doczekało się zresztą aż czterech edycji, były jednak mało subtelnie zakamuflowaną, lecz skuteczną formą agitacji wyborczej. Manipulacją poprzez prezentowanie rzekomej apolityczności i szermowanie szczytnymi hasłami: „Ma ona na celu przybliżanie istoty praworządności i zasad demokracji w świetle nadchodzących wyborów parlamentarnych oraz zaangażowania obywateli do szerokiego w nich udziału" – czytamy w opisie trzeciej (sic!) edycji TdK, która odbyła się już bezpośrednio przed wyborami parlamentarnymi w 2023 roku.

Wówczas lejtmotywem „touru" była „edukacja społeczeństwa obywatelskiego w zakresie wiedzy o przebiegu wyborów oraz ich wagi dla realizacji zasad państwa prawa". Wszystko odbywało się, oczywiście, „w państwie pisowskiego bezprawia".

Dlaczego jednak przywołuję tę inicjatywę, a przede wszystkim dobczycki przypadek? Cóż, jest on doskonałą ilustracją działań, które przełożone na masę skutecznie przyczyniły się do tego, że w 2023 roku wielu Polaków uwierzyło, że „żyje w państwie bezprawia", i zagłosowało tak, jak chcieli Bodnar, Żurek, Hołdys i reszta „autorytetów". Ale przede wszystkim dlatego, że wraz z ostatnimi zmianami wywołanymi objęciem urzędu przez Donalda Trumpa poznaliśmy kulisy tych działań. I nie tylko tych.

Tak, to rzeczywiście zaskakujące, ale okazuje się, że działalność podobna do Tour de Konstytucja byłaby mniej skuteczna, gdyby nie wsparcie z zagranicy. Jak się okazuje, inicjatywę tę wspomagała również administracja poprzedniego prezydenta Joego Bidena i jego wiceprezydent – Kamali Harris.

▶ Pomoc z USA (i nie tylko)

Chodzi oczywiście o strumień milionów dolarów, które płynęły z USA we wszystkie strony świata, wzmacniający liberalno-lewicową agendę, postulaty środowisk LGBT, politykę gender, a także uderzający w rządy projektami typu Tour de Konstytucja. Bo choć w wykazie wspierających poszczególne edycje wycieczek Bodnara i Tulei znajdujemy m.in. dobrze nam znane Open Society Fundation miliardera George'a Sorosa czy Fundację im. Stefana Batorego, główny dyspozytor tzw. funduszy norweskich, to okazuje się, że łożyła na nie także zlikwidowana niedawno przez Donalda Trumpa organizacja USAID.

Jak pisali w „Gazecie Polskiej" Maciej Kożuszek i Grzegorz Wierzchołowski: „Sam Tour de Konstytucja – a konkretnie jego projekt »szkolny« pt. »Jestem za godnością« – też wspomagany był pieniędzmi z USAID, a Fundacja Aktywna Demokracja, która antypisowski Tour de Konstytucja realizuje od kilku lat, dotowana jest przez Fundację Batorego, której darczyńcami są m.in.: niemieckie MSZ, amerykańskie Biuro ds. Ludności i Uchodźców oraz Komisja Europejska".

I to właśnie ostatnia zmiana w USA, zmiana, która oznacza zakręcenie największego kurka z pieniędzmi na podobne pomysły, powinna być także momentem szczególnej refleksji nad tym, co wydarzyło się w Polsce w poprzedzających ostatnie wybory latach i co – miejmy nadzieję, że na dużo mniejszą skalę – może się wydarzyć i teraz. Bo choć amerykańskie źródełko wyraźnie wyschło, wciąż nie brak „możnych tego świata", którzy ochoczo wesprą kolejnych bojowników o rzekomą demokrację.

Nie ma co wyważać otwartych drzwi – wspomniany tekst Wierzchołowskiego i Kożuszka („Tak obalano rząd PiS za pieniądze z zagranicy", „Gazeta Polska" nr 8/2025) jest obszernym kompendium wiedzy na ten temat. Dowiadujemy się z niego m.in., że: „[…] z pieniędzy USAID finansowane były m.in. projekty lubelskiej fundacji Homo Faber. […] Szefowa Homo Faber Anna Dąbrowska w 2018 roku oskarżała w mediach rząd PiS, że ten prowadzi »politykę antyukraińską« i »antyislamską«. W 2021 roku Dąbrowska odczytała publicznie list od »Mohammeda«, napastliwy wobec rządu polskiego i pozytywny wobec Berlina".

Jak czytam, wsparcie w postaci pieniędzy z USA (bezpośrednio od ambasady kierowanej przez Marka Brzezińskiego) otrzymywało również Sto-

eprasa.pl 3207be40fc

warzyszenie na rzecz Osób LGBT „Tolerado", które organizowało m.in. „tęczowe" protesty pod biurami gdańskich posłów PiS. Jedna z działaczek „Tolerado" mówiła podczas tej akcji: „Jesteśmy tu po to, by pokazać Czarnkom, Żalkom, Jędraszewskim i Dudom oraz wszelkiej maści nienawistnikom, że wolność, równość i prawa człowieka nie są wyssane z palca". Tak to ambasada największego sojusznika łożyła w sojuszniczym kraju pieniądze na obalanie rządu. Wszystko w imię ideologicznych fanaberii, ale także zapewne osobistych ambicji ówczesnego ambasadora.

Trump powiedział: STOP

Podczas swojego ostatniego wystąpienia na forum CPAC w Waszyngtonie (konferencji konserwatystów; doszło tu również do spotkania z Andrzejem Dudą) prezydent Donald Trump odnosił się do podobnych działań swoich poprzedników. Wymieniając egzotyczne wydatki, wskazywał m.in. miliony dolarów, „na wzmocnienie niezależnych głosów w Kambodży" czy 29 mln dolarów na „wzmocnienie sytuacji politycznej w Bangladeszu", czy kolejne 21 mln dla Indii. „Mógłbym czytać tę listę cały dzień. Po prostu nie chcę was zanudzać" – powiedział. O Polsce nie wspomniał, a szkoda.

Ale pomimo że nie wspomniał, to kasę uciął. Dziś dotychczasowi beneficjenci tej amerykańskiej kroplówki gonią w piętkę. Jak czytamy, na przykład przedstawiciele Tour de Konstytucja lamentują nad odebranym grantem, pisząc: „27 stycznia 2025 roku Biuro Zarządzania i Budżetu Białego Domu, powołane przez administrację Donalda Trumpa, wydało memorandum zamrażające finansowanie projektów uznanych za »szkodliwe«. Do tej kategorii zaliczono wszystkie inicjatywy zajmujące się tematami: równości płci, praw społeczności LGBTQ+, różnorodności kulturowej, włączenia społecznego (DEI – Diversity, Equity, Inclusion)". „Dla naszego projektu oznacza to natychmiastowe wstrzymanie środków na realizację warsztatów w szkołach, brak możliwości pokrycia kosztów, transportu edukatorów".

Proszą tym samym o pieniądze „zwykłych Polaków". „Dziękujemy, że jesteście z nami w tej trudnej chwili" – czytamy na stronie zbiórki.

Podobnie lamentuje też na przykład środowisko „Kultury Liberalnej", którego współzałożycielka, Karolina Wigura, żali się, że decyzja Trumpa dotknie i ich, jako grantobiorców NED – National Endowment for Democracy. Wigura znana jest m.in. z pisania w amerykańskiej prasie ultrajadowitych tekstów, w których w trakcie rosyjskiej agresji na Ukrainę postulowała rozważenie odebrania Polsce pomocy wojskowej, jeśli w naszym kraju „nie dokona się zmian w prawie". Dziś Wigura żali się, że nie wspiera jej rząd Tuska, a krytyków poczynań przedstawia jako „prawicowych trolli". Odebranie pieniędzy zestawia z chęcią... zlikwidowania społeczeństwa obywatelskiego. Wymieniać podobne skargi i prośby można długo – zainteresowanych odsyłam do fundamentalnego tekstu w „Gazecie Polskiej".

Sprawa jednak pokazuje nam w pełnym świetle, z czym polska prawica musiała i w niemałym stopniu wciąż musi się mierzyć. Międzynarodówka lewicowo-liberalna, której poważną częścią była poprzednia administracja USA, wpompowała w polską debatę publiczną (a tak naprawdę przeciwko niej) środki tak potężne, że zwyczajny proces demokratyczny został trwale wypaczony. Funkcjonujące za te pieniądze instytucje i środowiska działały w usieciowionym środowisku, równolegle z politykami i mediami (na media również szły i idą kwoty potężne – beneficjentami były m.in. oko.press czy „Tygodnik Powszechny"). Wobec takiej machiny każdy staje się bezradny.

Może demokracja nie jest zbyt silna

I jeśli przytoczyliśmy już słowa Donalda Trumpa z konferencji CPAC, to na koniec zacytujmy jeszcze J.D. Vance'a z jego słynnej przemowy z Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Wiceprezydent USA powiedział wówczas, że „jeśli kilka setek dolarów wydanych na reklamy cyfrowe z zagranicy jest w stanie zniszczyć demokrację, to znaczy, że nigdy nie była ona zbyt silna".

Mówił to oczywiście w kontekście wyborów w Rumunii, które unieważniono ze względu na rzekomą rosyjską ingerencję poprzez reklamy w internecie. Cóż, to prawda. Kilkaset dolarów to niewiele. Co jednak, gdy przemnoży się je przez tysiące, a następnie rozdysponuje wielu zainteresowanym zmianą rządu specom od dezinformacji, manipulacji i propagandy, którzy będą prowadzić działania od maleńkich Dobczyc do centrum stolicy, od lokalnych mediów do potężnych korporacji?

Takiego uderzenia nie wytrzyma nie tylko żadna „stabilna" demokracja, lecz także przede wszystkim taka, którą po wyborach rzekomi „obrońcy konstytucji" i piewcy równości z łatwością zmieniają w „demokrację walczącą". I choć na pieniądze z USAID i innych rządowych agencji w Ameryce nie mogą oni już liczyć, to nie miejmy wątpliwości, że gdy okaże się, że to konieczne, to na przeprowadzenie operacji „domknięcia systemu" inni dotychczasowi donatorzy sięgną głębiej do kieszeni. ■

eprasa.pl 3207be40fc



Piotr Lisiewicz

Demokracja za obce pieniądze

Na wiecu na placu Zamkowym w Warszawie, który miał obalić PiS, w roli głównych mówców wystąpili Donald Tusk, odbiorca wypełnionych niemieckimi markami reklamówek, i Leszek Miller, którego zwierzchnik dolary otrzymane z Moskwy trzymał w szafie żelaznej w swoim gabinecie. Gdy Leszek Miller blokował gazociąg Baltic Pipe, skandynawscy politycy przecierali oczy ze zdumienia, tak samo jak Polacy widząc dopisek Tuska „Zgoda" na dokumencie o współpracy polskich służb z FSB. Czy ktoś domyśli się, co kierowało oboma premierami? Obce pieniądze były nieodłącznym kreatorem polityki III RP, stąd informacje o pieniądzach z USAID, które otrzymywały polskie media, by walczyć z polską racją stanu, szokuje, niestety, tylko Polaków o niepodległościowej świadomości.

eprasa.pl 3207be40fc

Bo w III RP działanie na rzecz obcych interesów stało się normą, czymś rozsądnym, dowodem politycznej dojrzałości. Natomiast realizowanie interesu Polski – wyjątkiem, zachowaniem wysoce niestosownym, by nie powiedzieć ekscentrycznym.

Łapska rublochapów i rublobiorców

Karol Zbyszewski w skandalizującej, lecz opartej na solidnych źródłach książce „Niemcewicz od przodu i tyłu" przedstawiał króla Stanisława Augusta Poniatowskiego jako „Kluchosława", który jest „rublochapem otoczonym zgrają rublobiorców i zaprzedanych Rosji cymbałów". Zaś jego „łapska wolały podpisywać traktaty rozbiorowe, niż imać się miecza". Przekłada się to na stan państwa. O królewskim korpusie kadetów czytamy: „Dookoła tych 60 uczni kręciło się 40 nauczycieli (z czego połowa złodzieje i durnie)". Mamy też opis Trybunału Rzeczypospolitej: „Pierwszy raz ujrzał Niemcewicz ten najwyższy sąd Rzeczpospolitej, od którego nominalnie nie było apelacji. Składał się on z 20 szlacheckich deputatów i 10 duchownych; bardzo rzadko jednak obradowano w pełnym komplecie, bo rzadko stronom starczyło pieniędzy na obdarowanie wszystkich sędziów, a deputat co nie otrzymał znikąd łapówki nie interesował się sprawą".

Czy stan Polski przedrozbiorowej przypomina III RP? Czy stan polskiej kadry wojskowej z lat 90. mocno odbiegał od opisu Zbyszewskiego? Czy stan polskich sądów był i jest lepszy? Gdy Zbyszewski wydał swą książkę, rodzice panienek z dobrych domów ukrywali ją przed nimi, by nie uległy zgorszeniu. Podobnie robiły media i sądy III RP – ani kasa z żelaznej szafy, ani ta z reklamówek nie stały się materiałem dowodowym, który przyczyniłby się do wydania wyroku skazującego. W przypadku pieniędzy rosyjskich prokurator Zbigniew Goszczyński uzasadnił to wprost… „znikomym stopniem niebezpieczeństwa czynu".

W II RP standardy ustalał Stefan Żeromski. W III RP Leszek Miller

„Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyzuł z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła" – pisał o komunistach Stefan Żeromski w opowiadaniu o 1920 roku pt. „Na probostwie w Wyszkowie". Takimi słowami wielki pisarz budował świadomość niepodległościową nowo powstałej II RP.

Ktoś powie, że cytat to przesadny, bo obecni polscy politycy nie wprowadzają na polską ziemię „cudzoziemskiego żołdactwa". No ale współtowarzysz Tuska z mównicy na placu Zamkowym bardzo jego obecności na polskiej ziemi bronił. „Powinniśmy z całą mocą podkreślać nasze więzi z Rosją. Nawoływanie do wycofania Armii Radzieckiej z Polski niczemu dobremu nie służy"– mówił Leszek Miller w marcu 1990 roku, za czasów rządu Tadeusza Mazowieckiego.

„Między Donaldem Tuskiem i Leszkiem Millerem jest dobra chemia. Regularnie się spotykają, także na kolacjach, z żonami" – pisał w 2013 roku „Newsweek". Tak to się zawsze składa pod naszą szerokością geograficzną, że odbiorcy rosyjskich i niemieckich pieniędzy mają ze sobą znakomite relacje.

Kanałami KGB

Wagę rzeczy zrozumiemy, gdy zdamy sobie sprawę, że z ugrupowań, które przyjęły rosyjskie i niemieckie pieniądze, oraz ich politycznych kontynuacji, wywodziło się aż siedmiu premierów III RP! Manierą przyjętą w tym quasi-niepodległym państwie stało się bagatelizowanie tego obcego finansowania. Fakt, że PZPR dostała z Moskwy kanałami KGB ponad milion dolarów na stworzenie swojej „socjaldemokratycznej" kontynuacji, na jej działalność, gazety czy fundacje, uznawano za mało znaczący epizod.

Rzecz do właściwych proporcji sprowadził Sławomir Cenckiewicz, pisząc: „W ważnym momencie kolejnej fazy kombinacji transformacyjnej, Moskwa sfinansowała stronnictwo ludzi, którzy od 1989 r. posiadali olbrzymi klub parlamentarny, w 1993 r. objęli rządy, a w 1995 r. na dziesięć lat zdobyli prezydenturę, by w 2001 r. znów objąć stery władzy rządowej". Swietłow Witalij Antoliewicz – referent w KC Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego ds. Polski – tak zeznał co do kwestii technicznych: „W Warszawie na lotnisku nas powitali Władimir Tichmanowicz, i chyba Zbigniew Górecki, pracownicy Wydziału Zagranicznego KC PZPR. Przywieźli nas do byłej willi Gierka Klarysów pod Warszawą. Zjedliśmy śniadanie i pojechaliśmy do gmachu KC PZPR. Spotkanie odbyło się przed południem w gabinecie I sekretarza KC… Wydaje mi się, że w tym sąsiadującym z gabinetem pokoju był jeszcze ktoś z polskich towarzyszy. Myślę, że oni liczyli pieniądze, ponieważ dosyć długo nie wracali".

Reklamówki i walizki

O tym, że Kongres Liberalno-Demokratyczny był finansowany przez niemiecką CDU, były se-

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 3207be40fc

kretarz generalny tej partii Paweł Piskorski poinformował dopiero w roku 2014. Wprawdzie o tym, że istniały różne kanały takiego pośredniego finansowania, wiedzieliśmy sporo wcześniej, ale tu zaszokowała szczególnie jego forma, czyli owe słynne reklamówki. Notabene później, w rozmowie z „Gazetą Polską", Radosław Huget, były przewodniczący KLD w Krakowie, mówił o walizkach: „Donald z kolegami dostawali z Niemiec kasę w walizkach i wymieniali całymi walizkami w kantorach na złotówki".

Finansowanie dwóch dużych polskich partii politycznych przez Moskwę i Berlin zapewne w początkach III RP postrzegane byłoby odmiennie. Pieniądze z Moskwy jednak były sporym kłopotem. Te z Berlina mniejszym, wszak Niemcy miały być naszym promotorem w Europie, uczyć nas demokracji, praworządności i wprowadzać nas do Unii. Z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się, że nielegalne oddziaływanie Niemiec na Polskę w białych rękawiczkach było nie mniej skuteczne niż w przypadku Moskwy, mającej tu ogromną, instalowaną przez dziesięciolecia agenturę.

No więc nie było u nas standardów Żeromskiego. Było państwo, w którym Polaków nie dziwiło, dlaczego przez dziesiątki lat nie możemy uniezależnić się od Gazpromu. Zbudować znanych na świecie polskich marek. Czy – to najstraszniejsze – Polska po zamordowaniu przez Rosję swojego prezydenta, zarządziła ocieplenie relacji z nią, czyli reset.

▶ Kiedyś kanały wolności, dziś antypolskiej propagandy

W takiej oto III RP usłyszeliśmy w ostatnich tygodniach nowe wieści. O tym, kto w Polsce był finansowany z pieniędzy USAID, czyli Agencji Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID), dowiedzieliśmy się dzięki decyzji prezydenta Donalda Trumpa o jej zamknięciu. Jednocześnie Elon Musk ogłosił, że należy zamknąć Radio Swoboda/Radio Wolna Europa oraz Głos Ameryki. Jego zdaniem media te nie są potrzebne, bo „Europa jest teraz wolna", a tych rozgłośni „już nikt nie słucha".

Należę do tych nielicznych, którzy nadal słuchają tych audycji, ale tylko archiwalnych, w znakomitym serwisie Polskiego Radia „Radia Wolności". To niesamowite usłyszeć głos Jana Lechonia, Kazimierza Wierzyńskiego, Stanisława Balińskiego czy posłuchać audycji świątecznych Mariana Hemara czy Wiktora Budzyńskiego, szefa Wesołej Lwowskiej Fali. Usłyszeć także to, co mówili o komunizmie i okupacji Polski przez Moskwę, czyli przyczynach ich wygnania. Że te rozgłośnie działają do dziś, większość z nas nie wiedziało.

Może nam się wydawać paradoksem, że tym razem finansowanie mediów III RP walczących z polską racją stanu i działających na rzecz obalenia niepodległościowego rządu PiS i zastąpienia go rządem niemiecko-rosyjskim przychodziło także kanałami, którymi w czasach komuny szła do nas wolność. Oczywiście jest to paradoks, który da się logicznie wytłumaczyć. Tamtymi kanałami albo rządzi dziś ktoś inny, albo zmieniły się cele ich dysponentów, co jest powodem likwidowania ich przez Donalda Trumpa.

Jak napisał portal Niezależna.pl, „Gazeta Wyborcza" w ciągu ośmiu lat (2016–2023) otrzymała z USAID około 20 mln dolarów, czyli nawet 2,5 mln rocznie. Kolejnym tytułem na liście beneficjentów była „Krytyka Polityczna", która dostała w podobnym okresie 5 mln dolarów. 1,5 mln dolarów miało przypaść portalowi OKO.press. Pieniądze otrzymywały także TVN oraz Fundacja Helsińska.

▶ Za obce pieniądze znaleźli Ibrahima i małą Eileen?

Czy to były powody, dla których owe media odnajdywały Ibrahima, który płynął rzeką sześć dni, szukały dzieci z Michałowa oraz epatowały krzywdą małej Eileen, która nie istniała? Były to media, które posunęły się do tak daleko idącej walki z polską racją stanu, jak atakowanie obrońców polskiej granicy, czyli otwarte wspieranie Putina i Łukaszenki. To nie mieściło się w głowie, ale wyjaśnienie mogło być równie proste jak kuriozalna, antypolska decyzja Leszka Millera w sprawie Baltic Pipe – PIENIĄDZE.

Z kolei na łamach „Journal of Democracy" wspieranego przez Narodowy Fundusz Wspierania Demokracji ukazał się pod koniec 2023 roku szokujący tekst polskich autorów Karoliny Wigury i Jarosława Kuisza, nawołujący de facto do likwidacji demokracji w Polsce. „Nowy rząd Polski musi zatem zrobić coś więcej niż tylko powrócić do liberalnej demokracji; musi zająć się sprawiedliwością przejściową" – apelowali. Gdy Donald Trump postanowił zamknąć USAID, Karolina Wigura z „Kultury Liberalnej" zaalarmowała: „Decyzja Donalda Trumpa o wstrzymaniu amerykańskiej pomocy dla organizacji zagranicznych rozlewa się szeroko i dotyczy także nas". Podobnie zareagowała reszta odciętych od kasy (anty)polskich mediów. Czy te informacje staną się dla nas impulsem do wprowadzenia standardów Żeromskiego? ■

eprasa.pl 3207be40fc

Tomasz Łysiak



Jak Moskal pieniędzmi Polskę rozebrał…

Jakob Johann Sievers, bałtycki Niemiec, który sprawował w 1793 roku funkcję posła rosyjskiego (ambasadora) w Polsce, doprowadził do II rozbioru Polski, czyli prusko-rosyjskiego aktu rozgrabienia Rzeczypospolitej. To było apogeum procesu niszczenia polskiej państwowości, który trwał już od pierwszych dekad XVIII wieku, a miał swój smutny finał w III rozbiorze po upadku insurekcji kościuszkowskiej. Listy i pamiętniki Sieversa to porażający zapis destrukcji dokonywanej świadomie, m.in. za pomocą takich instrumentów „nacisku" jak pieniądze pompowane szerokim strumieniem do tej części polskich elit decyzyjnych, które w końcu przyczyniły się do zniszczenia suwerenności ojczyzny formalnie naszymi, własnymi rękami. Na tym polegał diaboliczny plan carycy Katarzyny. Smutno czyta się te pamiętniki – także przez wzgląd na to, iż z tej historii snuć można wiele analogii do czasów współczesnych.

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 3207be40fc

Gdy opowiadamy o procesie upadku Rzeczypospolitej w XVIII wieku, trzeba cofnąć się do czasów saskich i niesławnego Sejmu Niemego z roku 1717. Wówczas to, jeszcze za panowania na tronie carów Piotra Wielkiego, Rosja silnie ingerowała w przebieg i wyniki owego sejmu: w efekcie Rzeczpospolita została praktycznie ogołocona z wojska (10 tys. wobec armii mocarstw ościennych liczących setki tysięcy żołnierzy). To wtedy właśnie gwarancje liberum veto czy wolnej elekcji, a także kwestia tego, iż car Piotr stał się opiekunem dysydentów polskich, były dla Moskali narzędziem utrzymywania wewnętrznego chaosu w Polsce. Jednym słowem – środki polityczne i finansowe szły na to, by nasza ojczyzna osłabiała się sama, wyniszczającym wewnętrznie konfliktem i walką stronnictw. Przy czym, co ciekawe, Rosja stawała tutaj zawsze (już właśnie od czasów Sejmu Niemego) w roli obrończyni wartości, takich jak wolność i swobody w rodzaju liberum veto.

„Król jest winien półtora miliona dukatów"

W 1764 roku doszło do elekcji Stanisława Poniatowskiego na tron polski, a stało się to w wyniku gry politycznej i poparcia Katarzyny, która zapewniła koronę swojemu faworytowi. I rozbiór Polski w jakiejś mierze był swego rodzaju porażką Rosji, która musiała podzielić się łupem z Austrią i Prusami. Przy II rozbiorze, w 1793 roku, zarówno Rosja, jak i Prusy chciały, aby wszystko rozegrało się, powiedzmy, „lege artis" – czyli żeby polski sejm ratyfikował traktaty i sam zgodził się na rozbiór kraju. Aby tego dokonać, trzeba było znaleźć nie tylko użytecznych dla moskiewskiej sprawy demiurgów (jakim właśnie miał być Sievers), lecz także wyłowić słabych moralnie polskich posłów i ich przekupić. Pieniądz płynący szerokim strumieniem do kies skorumpowanej szlachty, magnatów, a nawet samego, zadłużonego na dworze carycy po uszy, króla – był podstawowym narzędziem realizacji planu rozbiorowego. Samo przyjrzenie się temu, w jaki sposób Sievers przymusił Poniatowskiego do udziału w konfederacji generalnej w Grodnie (działo się to w lutym 1793 roku), powoduje, że na mdłości się zbiera. Oto gdy nowy ambasador spotkał się z polskim królem, przedstawił mu stanowisko Jej Cesarskiej Mości Katarzyny i fakt, iż otrzymał rozkazy od niej, aby „zaprosić" monarchę na obrady grodzieńskie. Nie omieszkał przy tym zaznaczyć, jak imperatorowa była „niezadowolona" po obradach sejmowych sprzed dwóch lat i tego, co się stało 3 maja. Dodał, że Katarzyna jest „skłonna wydobyć go z tego położenia" i umożliwić powrót na tory „legalności". Proszę zwrócić uwagę, jeśli szukamy porównań i analogii, wszystkie te manipulacje toczone są w klimacie „przywracania praworządności", dbałości o „legalność", z podkreśleniem tego, iż wszelkie nieszczęścia Rzeczypospolitej powstały jedynie z tego względu, iż weszła ona na drogę bezprawia, rewolucyjnego wywracania porządku (w istocie zaś, co wiemy, były to próby naprawy państwa). Płaszczył się w czasie tych spotkań Poniatowski, zapewniał, że chciał „jedynie iść za głosem narodu", że jest niezmiernie przywiązany do carycy etc. Sievers dowiedział się od bankiera Teppera, iż król jest „mu winien półtora miliona dukatów, młodszy Radziwiłł sto dziesięć, a hrabia Potocki sto tysięcy dukatów". Poseł podsumował długi królewskie – wyszło mu trzydzieści milionów złotych (czyli milion pięćset sześćdziesiąt sześć tysięcy dukatów), po czym doszedł do wniosku, że właśnie dzięki owym długom można będzie króla przymuszać do różnych rzeczy, choćby do wyjazdu na konfederację do Grodna.

„Chwalą swe przywiązanie do Rosji"

Trzeba pamiętać też, że wszystko działo się w porozumieniu z Prusami (w styczniu 1793 roku Rosja i Prusy podpisały tajną konwencję rozbiorową) i po wkroczeniu na terytorium Rzeczypospolitej wojsk Królestwa Pruskiego. Notabene traktaty podziałowe były spisywane odrębnie – pomiędzy Polską i Rosją oraz Polską i Prusami. Rzecz cała jednak polegała na tym, żeby groźbą, przemocą i przekupstwem do tego doprowadzić. Wielu członków polskiej elity polityczno-państwowej Rosjanie „urabiali" już wcześniej, w tym także, niestety, jeśli chodzi o członków polskiego duchowieństwa. Pisał do cesarzowej Sievers w liście z 30 marca 1793 roku: „To pewna, że do każdego miejsca jest piętnastu do dwudziestu kandydatów; wszyscy mają tę zasługę, że się sami chwalą, że sławią swoje przywiązanie do Rosji i że na ostatnim sejmie pozornie tylko jej się sprzeciwiali. Mało kto stanowi wyjątek. Na ich czele stoi biskup Kossakowski. […] Uspokoiłem go zapewnieniem, że W. Imp. Mć teraźniejszym posiadaczom nic nie zabierze, a usługi hojnie nagrodzić potrafi".

Ta metoda – groźby lub przekupstwa – osiągnęła swoje apogeum w dobie rozbiorowej. Czasem też stosował Sievers po prostu rozwiązania siłowe. W czerwcu i na początku lipca kazał dwukrotnie aresztować kilkunastu posłów w ich mieszkaniach. Korespondował wtedy z rosyjskim baronem, generałem Osipem Igelströmem, naonczas dowódcą wojska rosyjskiego w Polsce (miał on być potem, od grudnia 1793 roku, następcą Sieversa na stanowisku posła rosyjskiego w Warszawie). I tenże Igelström pisał do niego w liście z 28 czerwca: „Każdy z nich przez egoizm działa

eprasa.pl 3207be40fc

i myśli, a patriotyzmu za pokrywkę używa [chodzi o Polaków – przyp. T.Ł.]. Sadzę, że należy posługiwać się tą samą bronią, zawsze o patriotyzmie prawić, a egoizm niszczyć lub zaspokajać, nigdy zaś patriotyzmu z egoizmem nie kompromitować". Pisał też o tym, by podsycać wzajemną nienawiść między Polakami. Jednak czy w istocie, gdy już doszło do najgorszych scen na sejmie grodzieńskim – trzymania siłą posłów na sali obrad (i króla!), pod bagnetami i na celowniku armat, póki się nie zgodzą traktatów podpisać, nie było postawieniem ich w sytuacji jednoznacznie kompromitującej? A jednak wielu dało się kupić. I to jest najbardziej porażające.

„Opłacałem mieszkanie znacznej liczby posłów"

Znajdujemy porażające dane w liście Sieversa pisanym do Igelströma w styczniu 1794 roku, a więc już po rozbiorze. Widzimy konkretne kwoty, nazwiska, podsumowania: „Zabielle dawałem po 1000 dukatów miesięcznie, nie trzymając się dnia wypłaty i wstrzymując ją czasami przez osiem do dziesięciu dni, w miarę powodu, dla którego więcej lub mniej byłem z niego zadowolony"; „Ożarowski miał w ciągu dwóch miesięcy po przyjeździe moim po 500, a od tego czasu także po 1000 miesięcznie. Zapłaciłem także nadto 1000 dukatów za mieszkanie i pojazdy posłów jego. Przypominasz sobie Mój Kochany Jeneral, że otrzymał od ciebie 1000 dukatów za wybory krakowskie i sandomierskie". Tu zwróćmy uwagę, pojawiają się konkretne polityczne cele, za jakie płacono – za wybory, sejmiki, sejmy. Pieniędzmi kształtowano politykę Rzeczypospolitej wedle własnych chęci i dla swego (rosyjskiego) dobra. Kolejny na liście – marszałek sejmowy Bieliński: „[…] otrzymał on przed otwarciem sejmu 2200 dukatów, mianowicie 500 miesięcznie i 1700 przez Twoje ręce [Igelströma – przyp. T.Ł.]". Dalej mamy hrabiów Ankwicza i Miączyńskiego – obaj inkasowali od Sieversa po 1500 dukatów miesięcznie, „pierwszy oprócz tego za wybór jego krakowski, a drugi 1500 za wybory lubelskie". Nie dość na tym, ambasador rosyjski szukał wszelkich sposobów na to, żeby uzależnić od siebie decydentów polskich: „Opłacałem mieszkanie bardzo znacznej liczby posłów. Boscamp [Karol Boscamp-Lasopolski służył jako szpieg rosyjski, człowiek Moskali w Polsce – przyp. T.Ł.] miał polecenie żywić jednych, gościć drugich i utrzymywać w porządku 14 najętych pojazdów".

„Służył mi z wielkim pożytkiem"

Za wybory podlaskie pieniądze wziął kasztelan Ossoliński, zaś książę Poniński „pobierał nieco więcej, jak pensja jego". „Służył mi on pośrednio – pisał w liście ambasador – lecz z wielkim pożytkiem razem z synem swoim, księciem Aleksandrem, który 500 dukatów pobierał". Nie koniec na tym – „Biskupowi Kossakowskiemu doręczyłem 4000 dukatów na wybory litewskie. Wymagał on ode mnie 8000; ponieważ jednakże przez powierzenie mu zarządu dóbr biskupstwa krakowskiego dałem mu 150 000 rubli rocznego dochodu, sądziłem, iż to wystarczało na zobowiązanie go i na pokrycie nakładów wyborczych". Potem następuje długa lista nazwisk posłów, którzy brali mniejsze kwoty – po 100, 200, 600 dukatów miesięcznie. Wreszcie ten najważniejszy – Stanisław August Poniatowski: „Król oprócz 20 000 dukatów na podróż z Warszawy do Grodna, pobierał od czasu do czasu […], od 1 września przez trzy następne miesiące pod 3 000 dukatów. Na podróż jego z powrotem do Warszawy, dałem mu 3 000 dukatów. Płaciłem mu 1 000 dukatów za dom, który zajmowałem (…). W końcu widząc, że w chwili wyjazdu swego, tylko niewiele dukatów miał w kasie i że aktu zamknięcia sejmu nie podpisał, przysłałem mu w dwa dni po wyjeździe jego 1000 dukatów przez sekretarza Friesego, który w zamian przywiózł mi akt podpisany". Zapłacono też posłom za trakt rozbiorowy, zarówno ten z Rosją, jak i z Prusami.

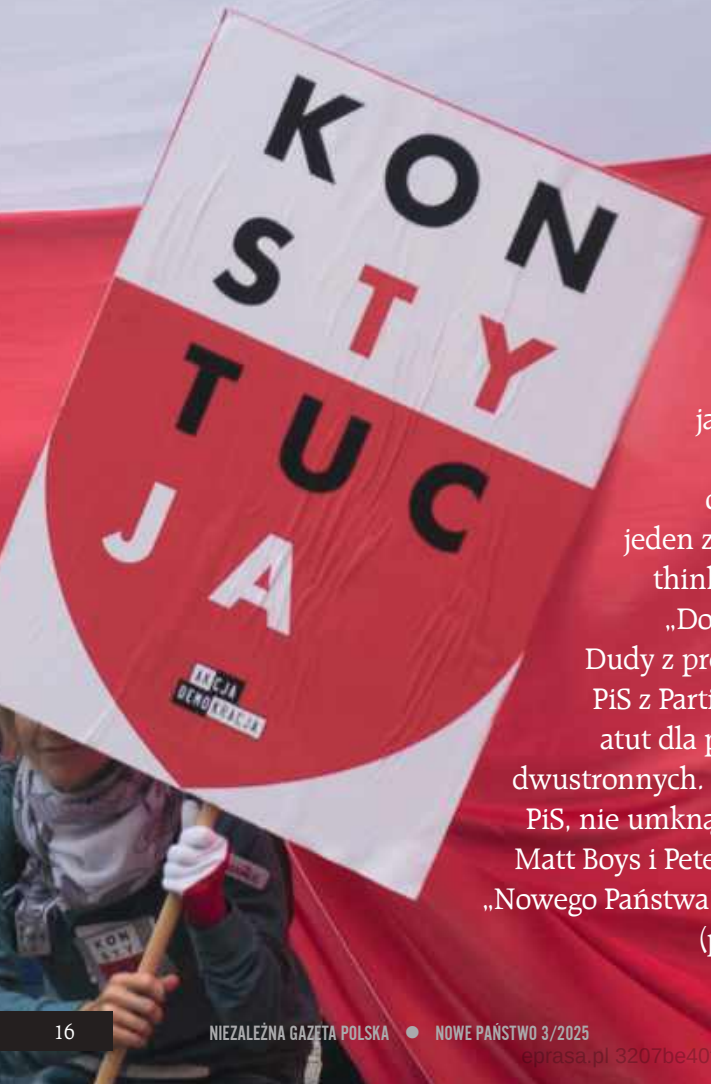
Pieniądz płynący szerokim strumieniem do kies skorumpowanej szlachty, magnatów, a nawet samego, zadłużonego na dworze carycy po uszy, króla – był podstawowym narzędziem realizacji planu rozbiorowego.

Dzisiaj, gdy czyta się takie słowa, różne emocje targać mogą człowiekiem – od złości po głęboki wstyd. A przecież gdy się znad kart dawnych ksiąg, znad arkuszy, na których spisano XVIII-wieczne pamiętniki, podniesie głowę, widać jak na dłoni, że dawne metody znowu są w użyciu. Że znowu obce pieniądze płynęły do Polski, by czynić ją słabszą, rozjątrzoną, rozbitą wewnętrznie i skłóconą. Historia lubi się powtarzać, chociaż prawie nigdy nie robi tego w tej samej formie i w tych samych okolicznościach. A jednak mechanizmy bywają podobne. ■

eprasa.pl 3207be40fc

Kiedy Demokraci rządzą niedemokratycznie: przypadek Polski

Matt Boyse, Senior Fellow, Hudson Institute
Peter Doran, Adjunct Senior Fellow, Foundation for the Defense of Democracies



„Klasyczne nadużywanie prawa w celach politycznych (lawfare)", „kryminalizacja różnic politycznych", „ignorowanie wyroków sądów", „cywilne wyroki śmierci" – to niektóre z zarzutów, jakie stawiają rządowi Donalda Tuska autorzy amerykańskiego raportu, ogłoszonego przez Hudson Institute, jeden z najważniejszych konserwatywnych think tanków w Stanach Zjednoczonych. „Doskonałe relacje prezydenta Andrzeja Dudy z prezydentem USA i bliskie powiązania PiS z Partią Republikańską stanowią poważny atut dla polskiej polityki zagranicznej i relacji dwustronnych. Dalsze próby rządu KO, by zniszczyć PiS, nie umkną uwadze Waszyngtonu" – ostrzegają Matt Boys i Peter Doran. Specjalnie dla Czytelników „Nowego Państwa" przedrukowujemy raport w całości (pomijając jedynie część przypisową).

eprasa.pl 3207be40fc

Streszczenie
I Obecna sytuacja
II Istnieją inne punkty widzenia
III Jak do tego doszło?
IV Przekraczanie granic
V Co dalej i implikacje dla Stanów Zjednoczonych
VI Rekomendacje

STRESZCZENIE

Widmo nadal krąży po Europie, choć wielu sądziło, że spór ten dawno został rozstrzygnięty: chodzi o to, co stanowi rząd demokratyczny i jakie zachowania są dopuszczalne we współczesnych demokracjach. Pytania te odnoszą się do kilku państw członkowskich Unii Europejskiej, jednak najbardziej zaostrzona dyskusja toczy się wokół Polski. Spór jest gwałtowny i głęboki, ponieważ rządząca centrolewicowa Koalicja Obywatelska (KO) – kierowana przez swoją największą partię (Platforma Obywatelska [PO]) oraz premiera Donalda Tuska – oskarża centroprawicowe Prawo i Sprawiedliwość (PiS) o naruszanie kluczowych zasad demokracji, rządów prawa (ROL) i wolności mediów. PiS, na czele którego stoi były premier Jarosław Kaczyński, odpowiada, że zarzuty te są wprowadzające w błąd lub nieprawdziwe, a obecny rząd sam dopuszcza się nadużyć właśnie w tych obszarach.

O co w tym wszystkim chodzi i kto ma rację? Czy nie rozstrzygnięto już tego dawno temu? Nie do końca. Istnieje bowiem niejedno uzasadnione spojrzenie na ten splot zagadnień – zarówno w odniesieniu do okresu, kiedy Prawo i Sprawiedliwość sprawowało władzę w Polsce (2015–2023), jak i od czasu, gdy Koalicja Obywatelska objęła urząd w grudniu 2023 r. Te kwestie są bardziej złożone i mają więcej niuansów niż to wynika z powszechnej narracji o „demokratach" i „nieliberalnych politykach skrajnej prawicy".

Rok po odzyskaniu władzy rząd kierowany przez KO wciąż utrzymuje, że jego zwycięstwo w wyborach parlamentarnych w październiku 2023 r. rozwiązało te spory, a nawet że w ten sposób „uratowano demokrację", pokonując „skrajną prawicę" z PiS. Od tamtej pory rząd KO podejmuje zdecydowane kroki w celu „przywrócenia rządów prawa", „odbudowy porządku konstytucyjnego" i odwrócenia innych zmian wprowadzonych przez PiS podczas jego kadencji – zmian, które według KO przekształcały Polskę w autokrację lub populistyczne państwo autorytarne. Rząd posuwa się nawet do rozważań nad formalną delegalizacją PiS, porównując obecną sytuację do powojennych Niemiec lub Jugosławii. KO oskarża PiS o nieustanne blokowanie jej szlachetnych wysiłków i podtrzymywanie „nieliberalizmu" za pośrednictwem prezydentury i sądownictwa.

Administracja Bidena, w tym były ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Mark Brzezinski, Komisja Europejska oraz większość dziennikarzy, think tanków i komentatorów przyjęły narrację KO bezkrytycznie i posługują się jej językiem.

Ten spór jest cenny, ponieważ wydobywa na światło dzienne ważne pytania o dalekosiężne konsekwencje polityczne. Na przykład: w jakim stopniu Unia Europejska może decydować o tym, jak państwa członkowskie organizują swoje społeczeństwa? Czy wyłącznie interpretacja „demokracji" według Komisji Europejskiej jest dopuszczalna, czy też dozwolone są odmienne warianty, mieszczące się jednak w pewnych granicach? W jakim zakresie i w jakiej mierze prawo UE ma pierwszeństwo przed prawem krajowym? Gdzie dokładnie przebiega granica między tym, co wynika z traktatów UE, a suwerennością państw członkowskich? Czy traktaty mogą mieć wyższość nad konstytucjami państw – pytanie stawiane nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach UE. Czy rząd może dążyć do tego, by media w jego kraju były własnością krajowych firm, nie narażając się na zarzut „nacjonalizmu"? Czy UE ma jurysdykcję nad sądownictwem państw członkowskich w takim stopniu, by móc szczegółowo narzucać, jak powinno być zorganizowane? W jaki sposób traktaty europejskie są stosowane w innych państwach członkowskich?

KO przedstawia te kwestie w sposób zgodny z własną interpretacją, podczas gdy PiS prezentuje zupełnie odmienne stanowisko. Różnica ta wywołała napięcia w relacjach Polski z administracjami Obamy i Bidena, które trzymały polityków PiS na dystans, nawet jeśli więzi dwustronne pozostawały silne. Zaszło to również na szkodę relacji Polski z UE: Komisja Europejska, Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej oraz Europejski Trybunał Praw Człowieka napiętnowały rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego (2015–2023) i uruchomiły procedurę z art. 7, idąc nawet tak daleko, że wstrzymały około 137 miliardów euro z Instrumentu na rzecz Odbudowy i Zwiększania Odporności oraz z Funduszu Spójności z powodu obaw dotyczących sądownictwa i ROL. Działania te wzmocniły eurosceptycyzm w Polsce i innych państwach członkowskich, gdzie politycy przyglądali się temu uważnie, a niektórzy kwestionowali interpretacje UE, co wywołało reakcję określaną mianem „populizmu", „nieliberalizmu" lub jeszcze ostrzej.

Nie istnieje tylko jedno uzasadnione stanowisko w tych sporach. Na przykład jeśli próby PiS, by media w Polsce były własnością polskich podmiotów, naruszają wolność mediów, to czy ten sam zarzut nie po-

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

eprasa.pl 3207be40fc

winien dotyczyć innych demokracji, takich jak Kanada czy Francja, w których dopuszcza się maksymalnie 20–25 procent zagranicznego kapitału w mediach? Czy Warszawa nie może próbować „repolonizować" mediów w kraju, z których większość sprzedano zagranicznym firmom po 1989 r., kiedy polska gospodarka była wyjątkowo słaba? Jeśli KO zarzuca PiS-owi upolitycznienie mediów publicznych, to jak ocenić fakt, że media w Polsce przez cały okres po 1989 r. były podporządkowane poglądom partii rządzącej – i tak jest również teraz pod rządami PO – zgodnie z zasadą *cuius regio, eius* telewizja?

Jeśli KO twierdzi, że musi „przywrócić porządek konstytucyjny", ponieważ sędziowie mianowani przez PiS w Trybunale Konstytucyjnym są z nim związani, to czy nie należałoby także „przywrócić rządów prawa" w Stanach Zjednoczonych, gdzie sędziowie od wczesnych lat republiki byli powoływani w drodze politycznych nominacji? Jeśli polscy sędziowie są niezdolni do orzekania z powodu związków z partią polityczną, to jak ocenić fakt, że prezes niemieckiego Federalnego Trybunału Konstytucyjnego był wiceprzewodniczącym klubu poselskiego CDU w Bundestagu aż do momentu swej nominacji do sądu w 2018 r.?

Te kwestie bywają bardzo zawiłe, nie są powszechnie zrozumiałe i wymagają dalszej analizy i dyskusji. Szczere odpowiedzi są kluczowe dla przyszłości wolności i demokracji w Polsce i poza jej granicami.

Nasza analiza prowadzi do kilku wniosków:

1. Obawy przed upadkiem demokracji w Polsce w latach 2015–2023 były od dawna przesadzone. Wynik wyborów w 2023 r. wyglądałby zupełnie inaczej, gdyby państwo stało się „autokracją", było „autorytarne" lub „przechwycone", jak twierdzili krytycy. W tamtym okresie Polska z pewnością nie była autokracją, a „gen demokracji" pozostawał silny w dynamicznej polskiej scenie politycznej przez cały czas po 1989 r. Jednak od momentu objęcia władzy rząd KO podejmuje wątpliwe, jeśli nie bezprawne działania, rzekomo w celu „przywrócenia demokracji", z których wiele uderzająco przypomina to, o co sam oskarżał rząd PiS.

2. Nie wszystkie zarzuty wobec rządów Szydło i Morawieckiego są błędne, ale są one wybiórcze, niespójne i często zbyt uogólnione. Istniało zjawisko klientelizmu, jednak zjawisko to dotyczyło również wcześniejszych rządów w Polsce, w tym tych pod przewodnictwem PO w latach 2007–2015. Rządy PiS korzystały z oprogramowania szpiegującego Pegasus, jednak rząd Tuska jak dotąd nie udowodnił, że odbywało się to bez poszanowania właściwej procedury, a inwigilacja miała miejsce także w innych państwach UE. Rządy PiS faktycznie starały się przywrócić polską własność zagranicznych mediów, ale inne demokracje (np. Francja i Kanada) również „nacjonalistycznie" podchodzą do kwestii struktury kapitałowej spółek medialnych w swoich krajach. Rządy PiS dyskryminowały TVN, obecnie należący do amerykańskiego koncernu Warner Bros. Discovery, lecz spór rozwiązano drogą cichej dyplomacji. Nawet zagorzali krytycy PiS przyznają, że TVP (Telewizja Polska S.A.) za rządów KO nie uniknęła ingerencji politycznych i jest spleciona z jej polityką. Polska scena medialna jest żywa i dynamiczna, lecz telewizja publiczna od 1989 r. zwykle podążała za zasadą *cuius regio, eius* telewizja. Rządy PiS nie były w tym zakresie wyjątkiem. Podejście rządów PiS do kwestii związanych z UE również nie było odosobnione, co widać teraz, kiedy KO sprzeciwia się unijnej polityce azylowej. Główne instytucje, takie jak Komisja Wenecka, opowiedziały się przeciwko PiS w sprawach, w których KO utrzymuje, że doszło do naruszenia ROL, ale również zgadzały się z PiS w innych kwestiach. Nie chodzi o to, by bagatelizować te problemy, lecz narracja, wedle której rząd KO składa się wyłącznie z demokratów, a PiS z potencjalnych autokratów, jest uproszczona i nieścisła.

3. Analiza kontekstu, złożoności i sprzeczności związanych z tymi zagadnieniami nie jest „gdybaniem". UE wybiórczo piętnowała PiS w sposób szczególnie surowy i nie zawsze postępowała tak samo wobec innych państw członkowskich. Administracje Obamy i Bidena oceniały rządy PiS surowiej z powodu ich bardziej tradycyjnego i konserwatywnego podejścia do polityki publicznej (np. migracji i aborcji) oraz nacisku na zachowanie kompetencji tam, gdzie traktaty UE pozostawiają państwom pewną swobodę (np. w zakresie organizacji sądownictwa). Trudno nie dojść do wniosku, że krytycy oceniają polską scenę polityczną według standardów progresywnych i według gotowości rządu do bezwarunkowej realizacji wszystkich inicjatyw UE, w tym tych, wobec których istnieją uzasadnione różnice zdań.

4. Od momentu objęcia władzy w grudniu 2023 r. rząd koalicyjny pod przewodnictwem KO prowadzi kampanię polegającą na nadużywaniu prawa (tzw. lawfare) i kryminalizacji różnic politycznych, mającą na celu uniemożliwienie PiS-owi ponowne stanie się realnym wyzwaniem dla tej koalicji. KO przekracza granice, stosując metodę „żelaznej miotły", by rozwiązać te problemy. Termin, którego premier Tusk używa w tym kontekście – „demokracja walcząca" – nawiązuje do działalności antykomunistycznej z czasów Solidarności, prowadzonej przez ojca byłego pre-

eprasa.pl 3207be40fc

miera PiS Mateusza Morawieckiego, i usprawiedliwia niemal każde środki w walce z przeciwnikami. Niektórzy polscy komentatorzy łączą to pojęcie z niemieckim z lat 30. XX wieku – streitbare Demokratie – używanym przez Karla Loewensteina na opis środków uznanych za konieczne, by przeciwstawić się nazistom. Sugeruje to, że członkowie obecnego rządu postrzegają PiS jako niewiele lepszy od nazistów i że sytuację w Polsce można porównać do procesów norymberskich. Niektórzy w KO mówią o „depisizacji", co przywodzi na myśl „dekomunizację" – pojęcie, w myśl którego wszyscy komuniści mieliby być usunięci ze stanowisk i nie mogli pełnić funkcji publicznych, gdyby rzeczywiście je przeprowadzono po 1989 r. Inni liderzy KO używają terminu „dezintegracja" na określenie planu rozbicia PiS w celu zneutralizowania tej partii. Politycy KO mówią publicznie, że Polska przechodzi szczególny moment, który uzasadnia nadzwyczajne środki służące przywróceniu porządku konstytucyjnego. Skłania to nawet krytyków rządu do pytania, czy Tusk „będzie autokratą, aby zreformować kraj". Prowadzi to również do poważnych i niedemokratycznych nadużyć władzy.

5. Przykład Polski może pomóc w ustaleniu, jak należy rozumieć takie zagadnienia, jak wolność mediów, rządy prawa i ustrój demokratyczny w XXI wieku. Sprowadzanie ich do prostego hasła „walki o demokrację" nie wystarcza, biorąc pod uwagę różnice w interpretacjach prawnych i politycznych – oraz brak zgody co do samego znaczenia terminu demokracja. Jeden obóz definiuje go przede wszystkim jako demokrację liberalną, uważając, że wyłącznie kraj, który spełnia wszystkie postępowe warunki, jest naprawdę demokratyczny. Drugi obóz skłania się do używania pojęć takich jak wolność, uporządkowana wolność, republika lub suwerenność demokratyczna, co odzwierciedla konserwatywne bądź tradycjonalistyczne rozumienie ustroju. Tymczasem Rosja Władimira Putina oraz komunistyczne Chiny intensywnie pracują nad podważeniem i osłabieniem idei demokracji w teorii i praktyce. Niezbędna jest więc szersza debata, by rozstrzygnąć różnice między tymi dwoma podejściami – i możliwe, że trzeba będzie dopuścić pewne odstępstwa od progresywnego rozumienia demokracji. Jeśli dojdzie do dalszej eskalacji tych różnic, ucierpią relacje rządów państw członkowskich UE z wyborcami, a także stosunki transatlantyckie.

6. Zdecydowane zwycięstwo republikanów w wyborach w USA w listopadzie 2024 r. oraz długoletnie krytyczne stanowisko premiera Tuska wobec prezydenta Donalda Trumpa podnoszą stawkę w relacjach polsko-amerykańskich dla rządu KO. Przywódcy KO mają rację, mówiąc, że stosunki amerykańsko-polskie są i pozostaną silne, niezależnie od tego, kto sprawuje władzę w obu stolicach, ale administracja Trumpa jest świadoma wyraźnych sympatii KO wobec Partii Demokratycznej oraz jej krytyki prezydenta w ostatnim cyklu wyborczym. Doskonałe relacje prezydenta Andrzeja Dudy z prezydentem USA i bliskie powiązania PiS z Partią Republikańską stanowią poważny atut dla polskiej polityki zagranicznej i relacji dwustronnych. Dalsze próby rządu KO, by zniszczyć PiS, nie umkną uwadze Waszyngtonu i mogą osłabić wpływy Polski, ze szkodą dla jej interesów narodowych i prestiżu, a także dla relacji dwustronnych. Polska korzysta z istnienia silnej opozycji, a PiS reprezentuje bardzo znaczną część elektoratu, który wspiera cele bezpieczeństwa narodowego kraju i Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego w czasie bezprecedensowych wyzwań dla europejskiego porządku bezpieczeństwa i narastającej rywalizacji między światowymi mocarstwami.

I OBECNA SYTUACJA

Gorzki podział między Prawem i Sprawiedliwością (PiS) a Koalicją Obywatelską (KO), dwiema największymi partiami politycznymi w Polsce, nie sprowadza się wyłącznie do tego, co wielu określa mianem „kryzysu demokracji". Pytania o to, która partia rządzi w sposób demokratyczny, wspiera wolność mediów i szanuje niezawisłość sądów oraz rządy prawa (ROL), są istotne, lecz nie tak proste, jak się powszechnie twierdzi. Wątki ideologiczne, polityczne i osobiste odgrywają tu ogromną rolę. Toczy się walka między demokratami [...] dotycząca światopoglądu, filozofii politycznej, podejścia do tradycji/nowoczesności, wartości, stopnia suwerenności w ramach Unii Europejskiej oraz relacji z Niemcami. Te konkurencyjne wizje przyszłości Polski wynikają także z osobistych rywalizacji, które mają swoje źródła w przeszłości.

Po jednej stronie stoi KO – zdecydowanie proeuropejska, prorządowa wobec Niemiec, liberalna gospodarczo koalicja centrolewicowa, której największą partią składową jest Platforma Obywatelska (PO) z premierem Donaldem Tuskiem na czele. Tusk to były przewodniczący Rady Europejskiej i ważny polityk unijny. Po drugiej stronie jest PiS – partia o tradycyjno-konserwatywnych poglądach społecznych, z silniejszą ingerencją państwa w gospodarkę, bardzo antyrosyjska, sceptyczna wobec Niemiec, starająca się zachować jak najwięcej suwerenności w ramach traktatów unijnych. Na jej czele stoi były premier Jarosław Kaczyński, polityk bardziej tradycyjny, od lat skoncentrowany niemal wyłącznie na Polsce.

eprasa.pl 3207be40fc

Ten podział nie zaczął się dopiero po przejęciu władzy przez PiS w grudniu 2015 r. i rzekomym „demontażu demokracji" czy polskiego porządku konstytucyjnego, jak twierdzą krytycy. Relacje między Tuskiem a Kaczyńskim zmieniły się zasadniczo w 2005 r., kiedy to przeszły od zwykłego współistnienia (jeszcze jako byłych działaczy Solidarności) do nieodwracalnej rywalizacji po tym, jak PiS pokonał PO w wyborach parlamentarnych we wrześniu 2005 r. Obie partie uległy wtedy przeobrażeniom w wyniku decyzji, by nie tworzyć wspólnej koalicji, choć zmiana w PO była głębsza. Przed 2005 r. ważną rolę w PO odgrywali konserwatywni politycy, tacy jak Jan Maria Rokita. Była to wówczas partia centroprawicowa, w dużej mierze antypostkomunistyczna, częściowo kwestionująca postkomunistyczny establishment i panujący układ. Później PO zaczęła wchłaniać oligarchię postkomunistyczną, tak że obecnie w KO i partiach stowarzyszonych zasiadają politycy wywodzący się z dawnej lewicy postkomunistycznej. Zamiast spodziewanej koalicji z PO, PiS utworzył rząd z populistyczną Samoobroną i ultraprawicową Ligą Polskich Rodzin (LPR). Co więcej, w październiku 2005 r. Lech Kaczyński (brat bliźniak Jarosława) zdecydowanie pokonał Tuska ponad 8-procentową różnicą w wyborach prezydenckich. Po powrocie do władzy i objęciu sterów w dwóch rządach koalicyjnych (2007–2015) PO ugruntowała narrację o „demokracji". Katastrofa smoleńska z kwietnia 2010 r., w której zginął prezydent Lech Kaczyński i 95 innych osób (w tym współzałożyciel PO i były marszałek Sejmu Maciej Płażyński), dodatkowo pogłębiła podział między Kaczyńskim a Tuskiem.

Jednak i w wymiarze polityki publicznej PO i PiS różniły się zasadniczo. Podczas rządów koalicyjnych pod przewodnictwem PO w latach 2007–2015 obie strony wielokrotnie ścierały się o podział kompetencji między Sejmem a prezydenturą. PO Donalda Tuska opowiadała się za dość radykalnymi reformami konstytucyjnymi, by ograniczyć kompetencje prezydenta i ułatwić rządowi uchwalanie ustaw oraz sprawowanie władzy; PiS z kolei broniło prerogatyw zapisanych w konstytucji. Próby PO z tamtego okresu, by „upłynnić" polską demokrację i uczynić ją „bardziej efektywną", zakończyły się fiaskiem, ale wskazywały na to, że celem partii było reinterpretowanie porządku konstytucyjnego tak, aby sprzyjał jej agendzie. Dopełnieniem tych lat sporów było wydarzenie sprzed wyborów w 2015 r., gdy PO wybrała do Trybunału Konstytucyjnego większą liczbę sędziów niż zezwalało na to ówczesne prawo, co wywołało oburzenie i skłoniło PiS do analogicznej odpowiedzi tuż po objęciu władzy. W 2021 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł, że postępowanie PO było bezprawne.

Te różnice pozostały w centrum sporu PO–PiS, gdy PiS pokonał PO w 2015 r., zdobywając pierwszą po 1989 r. większość parlamentarną. Będąc u władzy PiS dążył do reformy sądownictwa, które już wcześniej i nadal cieszy się w społeczeństwie bardzo złą opinią – częściowo dlatego, że przeszło ono stosunkowo niewielkie zmiany po 1989 r. i wielu sędziów oraz strukturę sądów zachowano z okresu PRL. Faktycznie mniej niż 1 procent sędziów z czasów komunistycznych – w większości członków partii – zostało usuniętych z urzędu po 1989 r. Choć większość tych sędziów przeszła na emeryturę, to przez prawie trzy dekady kształtowali oni polski wymiar sprawiedliwości i nowe pokolenia prawników. PiS chciał naprawić te problemy i zerwać z porządkiem sprzed 1989 r., m.in. poprzez mianowanie nowych sędziów, próby usunięcia tych, którzy pozostali na swoich stanowiskach, oraz utworzenie izby dyscyplinarnej. KO uznała wszystkie te działania za rażące naruszenie rządów prawa i tak mocno forsowała tę narrację, że instytucje unijne i inne podmioty zewnętrzne – w większości niezorientowane w zawiłościach polskiego prawa – całkowicie przyjęły ją za pewnik.

II ISTNIEJĄ INNE PUNKTY WIDZENIA

Nie istnieje wyłącznie jedno słuszne stanowisko w tym splocie spraw. Są one skomplikowane, rzeczywistość jest bardziej zniuansowana, a Polska nie była i nie stawała się autokracją. Co więcej, obecny rząd doprowadził do skrajności swoją politykę „żelaznej miotły", zapowiadaną na długo przed wyborami w 2023 r., mającą na celu „oczyszczenie stajni Augiasza", aż sam przekroczył granicę między zachowaniami demokratycznymi a niedemokratycznymi – co niektórzy przewidywali.

Komisja Europejska oraz organizacje pozarządowe słusznie monitorują stan instytucji demokratycznych, rządów prawa i zarządzania w państwach członkowskich UE, jak również na świecie. Powinny jednak pamiętać, by stosować te same kryteria wobec wszystkich państw członkowskich w sposób równy, a nie wybiórczy, co mogłoby wyglądać na działania umotywowane politycznie. Bruksela powinna dostrzegać nadużywanie aparatu prawnego (lawfare), gdy do niego dochodzi, i wskazywać próby kryminalizacji różnic politycznych podejmowane przez rządy państw członkowskich, w tym przez partie sprzyjające jej politycznie – tak jak ma to miejsce dziś w Polsce. Trzeba podkreślić, że w czasie rządów PiS występowały kwestie budzące wątpliwości z punktu widzenia rządów prawa, np. wprowadzenie izby

eprasa.pl 3207be40fc

dyscyplinarnej przy Sądzie Najwyższym. PiS ma jednak rację, wskazując, że traktat z Lizbony uwzględnia tożsamość narodową państw członkowskich i został oparty na zasadzie pluralizmu konstytucyjnego, która gwarantuje państwom członkowskim kształtowanie własnych systemów wymiaru sprawiedliwości w sposób suwerenny, o ile zachowana jest niezawisłość sądów. To rodzi uzasadnione pytania o zakres kontroli UE, zwłaszcza w sprawach konstytucyjnych. Także inne państwa członkowskie UE, m.in. Rumunia i Niemcy, wyrażały wątpliwości co do granicy między suwerennością państwa a rolą Brukseli. UE uznała wątpliwości Warszawy za wyzwanie dla swojej nadrzędności i odpowiedziała zdecydowanie, nakładając poważne kary, w tym tzw. opcję nuklearną w postaci procedury z art. 7, co doprowadziło do wstrzymania około 36 miliardów euro z Funduszu Odbudowy i Zwiększania Odporności oraz 76 miliardów euro z Funduszu Spójności z powodu obaw związanych z ROL i innymi kwestiami.

Rząd Morawieckiego utrzymywał, że spełnił wymogi UE dotyczące izby dyscyplinarnej, kiedy Sejm w lipcu 2022 r. przyjął ustawę zastępującą ją nową izbą odpowiedzialności zawodowej. Komisja Europejska nie zaakceptowała jednak tego rozwiązania, uznając, że samo w sobie nie wystarczy do pełnego zrealizowania „kamieni milowych" w obszarze rządów prawa, warunkujących wypłatę funduszy. Ustawa – podobnie jak wszystkie inne ustawy dotyczące sądownictwa w Polsce – nadal obowiązuje. Gdy Komisja w lutym ogłosiła, że wypłaci 137 miliardów euro jeszcze przed wprowadzeniem przez KO zmian w polskim sądownictwie, powstało wrażenie, że UE nagradza proeuropejską KO za samo tylko złożenie obietnic reform, których nie wdrożyła, a jednocześnie karze PiS za to, że śmiało kwestionował jej interpretację prawa unijnego. Poza Węgrami inne państwa członkowskie UE nie znalazły się pod równie skrupulatną lupą ani nie spotkały się z równie dotkliwymi konsekwencjami. Zwrócono na to uwagę i przyczyniło się to do wzrostu eurosceptycyzmu w pozostałych państwach członkowskich, gdy wyborcy w coraz większym stopniu dostrzegali podwójne standardy stosowane przez Komisję wobec rządów realizujących politykę bardziej tradycyjną, konserwatywną oraz starających się zachować jak największą suwerenność w obrębie UE, przy jednoczesnym przestrzeganiu traktatów unijnych.

▶ Rankingi

Politycy i instytucje, które od połowy drugiej dekady XXI wieku wysuwały najcięższe zarzuty wobec rządów PiS, zyskiwali mocne wsparcie ze strony najważniejszych organizacji pozarządowych (głównie z USA i Europy Zachodniej), które publikują coroczne lub dwuletnie raporty o stanie demokracji, rządów prawa i praw człowieka. Najstarszą z tych organizacji jest Freedom House (założona w 1941 r.); obecnie jest ich około piętnastu. Oceniają one, które kraje są demokracjami, jakie to rodzaje demokracji, kto się rozwija, kto się cofa („backsliding"), gdzie występują słabości – a także na czym one polegają. Instytucje te postrzegają się (i są powszechnie postrzegane) jako autorytatywni arbitrzy w kwestii tego, czy dane państwo jest demokratyczne, na ile wolne są w nim media oraz czy przestrzega ono rządów prawa.

Część tych instytucji skupia się głównie na demokracji (np. Freedom House z raportami „Freedom in the World i Nations in Transit", Varieties of Democracy [V-Dem], Economist Intelligence Unit [EIU], Democracy Perception Index), inne na rządach prawa (np. coroczny raport Komisji Europejskiej o stanie ROL, unijny „Justice Scoreboard", Civil Liberties Union for Europe, World Justice Project, International IDEA), jeszcze inne na wolności mediów (Reporterzy bez Granic), a kolejne na zarządzaniu (Transparency International i jej Indeks Percepcji Korupcji). Fundacja Bertelsmanna i jej „Transformation Index" obejmują te kwestie łącznie.

Analiza raportów tych instytucji dotyczących krajów Europy Środkowej (CE) od połowy do końca drugiej dekady XXI wieku pokazuje, że Polska plasowała się zazwyczaj w średniej grupie państw regionu. Zwykle zajmowała wyższą pozycję niż Rumunia czy Bułgaria, które nie spotkały się jednak z tak silną krytyką ze strony UE ani administracji Obamy i Bidena. W rankingach widać ogólną tendencję spadkową, z wyjątkiem Economist Intelligence Unit, który poprawił ocenę Polski w okresie, gdy wielu krytykowało jej rząd. Raport EIU za 2022 r. zauważył, że Polska zanotowała jeden z największych wzrostów w UE w porównaniu do poprzedniego roku. Freedom House w swoich rankingach „Nations in Transit i Freedom in the World" regularnie lokował Polskę na różnych poziomach, a różnice między ocenami Freedom House a V-Dem bywają znaczące. W 2022 r. w rankingu „Freedom in the World" Polska znalazła się trzy pozycje niżej niż Stany Zjednoczone. Różne były także używane pojęcia: od „free" (wolna), przez „semi-consolidated democracy" (częściowo skonsolidowana demokracja), „electoral democracy" (demokracja wyborcza), „flawed democracy" (demokracja wadliwa), aż po „defective democracy" (demokracja ułomna). „EU Justice Report" z lat 2016–2021 wykazywał, że Polska sytuowała się na poziomie zbliżonym do kilku innych państw członkowskich w zakresie niezależności sądownictwa.

eprasa.pl 3207be40fc

Nie ulega wątpliwości, że rankingi dostarczają przydatnych informacji o trendach krajowych i międzynarodowych. Można się jednak jedynie domyślać przyczyn rozbieżności – jedna z nich to różne metodologie, często bardzo złożone lub nieprzejrzyste dla laika. Analiza tych zestawień pokazuje, że rankingi się różnią i nie zawsze opierają się na przejrzystych, obiektywnych źródłach krajowych. Często lepiej oceniają rządy o orientacji liberalnej lub progresywnej i akceptujące szerokie interpretacje kompetencji UE niż te, które tego nie robią. Innymi słowy, państwo członkowskie UE, które prowadzi konserwatywną lub tradycjonalistyczną politykę społeczną i stara się zachować maksymalną suwerenność w ramach UE, zazwyczaj wypada gorzej w tych rankingach niż takie, które przyjmuje progresywne stanowisko „Brukseli ma zawsze rację". W istocie badania pokazują, że kwestie brane pod uwagę przy tworzeniu rankingów są złożone, wyniki mogą się istotnie różnić i być niekiedy arbitralne, a na pozycję kraju mogą wpływać czynniki polityczne. Mimo to administracje Obamy i Bidena, Komisja Europejska i komentatorzy przyjmowali wnioski z tych rankingów za niepodważalne.

Również naukowcy z uznanych ośrodków akademickich stawiali pytania dotyczące tej sieci zagadnień związanych z demokracją. Niektórzy zwracali uwagę, że użycie terminów, takich jak „cofanie się demokracji" (democratic backsliding), „autokracja" czy „neoautorytaryzm" może być problematyczne. W artykule z 2021 r., stanowiącym przegląd ponad stu publikacji naukowych o zjawisku cofania się demokracji, badacze z Uniwersytetu Stanforda – Haemin Jee i Hans Lueders – oraz Rachel Myrick z Duke University wskazali, że brak precyzji w pomiarze „backsliding" wywołuje spory co do tego, kiedy, gdzie i dlaczego dochodzi do tego zjawiska, a niespójne definicje demokracji prowadzą do nieporozumień koncepcyjnych. W 2022 r. Darin Self w Oxford Bibliographies odnotował znaczną rozbieżność w sposobach konceptualizacji i mierzenia „nieliberalizmu" oraz brak konsensusu w literaturze naukowej co do tego, czym jest „nieliberalna demokracja" lub czy w ogóle taki twór istnieje.

Również doświadczeni praktycy zauważają, że rankingi nie są narzędziem naukowym. Niedługo po objęciu władzy przez PiS w 2015 r. były prezes Freedom House Adrian Karatnycky publicznie nie zgadzał się z opiniami komentatorów, że PiS zmierza ku dyktaturze, przekonując, by „dać PiS szansę", i dowodząc, że partia ta reprezentuje główny nurt konserwatyzmu, w którym występują różne skrzydła. W 2020 r., po latach zarzutów kierowanych pod adresem polskich rządów o „nieliberalizm", były wieloletni badacz Freedom House Arch Puddington wrócił do korzeni semantycznych pojęcia, twierdząc m.in., że „nie istnieje coś takiego jak nieliberalna demokracja" oraz że w Polsce istnieje pluralizm polityczny i zwłaszcza pluralizm medialny.

▶ III JAK DO TEGO DOSZŁO?

Partie wchodzące w skład obecnego rządu koalicyjnego pod przewodnictwem KO od lat atakują PiS, zarzucając mu szereg nadużyć – od korupcji, nadużycia władzy i nielegalnej inwigilacji, po ograniczanie wolności mediów i naruszanie rządów prawa (ROL). Pierwsze z tych zarzutów są stosunkowo proste, natomiast pozostałe bywają dość zawiłe, ponieważ często wymagają szczegółowej wiedzy na temat kontekstu, historii, przepisów i systemów prawnych, które nie są powszechnie znane. Mimo to zarzuty się utrwaliły, ponieważ wiele rządów, mediów i komentatorów przyjmuje je za pewnik. W niektórych sprawach ważne instytucje, takie jak Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej oraz Europejski Trybunał Praw Człowieka, orzekały na niekorzyść Polski. Jednak po bliższej analizie okazuje się, że niektóre z tych kwestii są w istocie wysoce dyskusyjne, stosuje się podwójne standardy i dochodzi do wybiórczego ścigania – prawdopodobnie z powodów politycznych.

▶ Korupcja i inwigilacja

We wszystkich rządach Polski po 1989 r. występowały korupcja i zjawisko klientelizmu, za które powinny grozić konsekwencje karne i dyscyplinarne. Niektóre zarzuty KO o korupcję są uzasadnione. Najbardziej widocznym przykładem była afera wizowa w Ministerstwie Spraw Zagranicznych (MSZ), w której polskie konsulaty w niektórych krajach rozwijających się mogły wydać nawet kilkaset wiz – a nie, jak donosiły niektóre media, kilkaset tysięcy – w zamian za łapówki. W związku z tym ówczesny premier Morawiecki zdymisjonował wysokiego urzędnika MSZ. W takich sprawach wymiar sprawiedliwości działa, a choć incydent ten stawia w złym świetle odpowiedzialnych urzędników, to wszystkie rządy Polski borykały się z korupcją w różnych formach. Czas pokaże, czy okres rządów PiS był pod tym względem gorszy od innych, jednak w corocznych raportach Indeksu Percepcji Korupcji (Transparency International) w latach 2018–2022 Polska zajmowała w Europie Środkowej dość wysoką pozycję.

Szczegóły dotyczące użycia przez rząd PiS oprogramowania szpiegowskiego Pegasus wobec ponad 500 polskich celów pozostają niejasne, lecz pewne jest, że

eprasa.pl 3207be40fc

rząd korzystał z tej technologii. PiS bronił swoich działań, twierdząc, że wszystkie przypadki podlegały nadzorowi sądowemu, co rząd Tuska przynajmniej częściowo potwierdził. Sprawa przybrała formę oskarżeń i kontroskarżeń o legalność komisji sejmowej powołanej do zbadania problemu. Komisja śledcza Parlamentu Europejskiego w 2022 r. orzekła, że doszło do nadużyć, i wskazała, że inne państwa członkowskie UE także stosowały tę technologię. Nie jest jasne, czy działania PiS istotnie różniły się od podobnych przypadków w innych krajach UE.

Media

Krytyka polityki medialnej PiS koncentrowała się głównie wokół trzech kwestii: upolitycznienia organu regulacyjnego, upolitycznienia nadawców mediów publicznych oraz zakupu mediów przez spółki państwowe. Pierwsza dotyczy Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji (KRRiT), która rzekomo naruszyła unijną dyrektywę i Europejski Akt o Wolności Mediów, ponieważ jej członkowie byli blisko związani z PiS. Krytycy twierdzili, że to ogranicza wolność słowa, a tym samym wolność mediów. Powołania te jednak nie były nielegalne i niewiele różniły się od powołań do innych organów regulacyjnych lub rad nadzorujących media państwowe w innych demokracjach (np. FCC, PBS, CBC, BBC, ARD/ZDF).

Krytycy mają rację, że przekaz w głównym kanale telewizji państwowej TVP (Telewizja Polska S.A.) był prorządowy – czasem w sposób nieco nachalny – co potwierdziły obserwacje Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Jeżeli jednak KO oskarża PiS o upolitycznienie mediów publicznych, to jak ocenić fakt, że media państwowe we wszystkich rządach po 1989 r. wyrażały poglądy aktualnie sprawujących władzę – i czynią to również teraz, pod rządami PO, kierując się zasadą cuius regio, eius telewizja?

Luki w krytyce KO wobec PiS uwidoczniły się po tym, jak premier Tusk przejął władzę w grudniu 2023 r. Będąc w opozycji, Tusk i jego sojusznicy potępiali wpływ rządu PiS na państwowych nadawców radiowych i telewizyjnych. Zaraz po zwycięstwie wyborczym zapowiedzieli determinację, by „depolityzować" media publiczne. W zamian wywołali jednak prawdziwą burzę.

Na polecenie nowego ministra kultury i dziedzictwa narodowego, Bartłomieja Sienkiewicza, i przy poparciu uchwały sejmowej, rząd KO wprowadził do siedziby TVP uzbrojonych w pałki policjantów. Urzędnicy przerwali sygnał dwóch kanałów telewizji publicznej, wyłączyli ich strony internetowe, zamknęli konta na YouTube i przerwali transmisje na żywo w trakcie emisji. W całej Polsce ekrany telewizorów nagle zrobiły się czarne, bez wyjaśnienia dla widzów. Metody były stanowcze, a to, co powinno być rutynową wymianą osób z nominacji politycznej, zmieniło się w wysoce upolitycznioną akcję z oskarżeniami o nielegalność.

Te kroki wzbudziły nawet „poważne wątpliwości" Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, która wcześniej regularnie krytykowała PiS, a partia Lewica Razem wyraziła zaniepokojenie, że przejęcie kontroli nad mediami publicznymi jest „ryzykowne prawnie", ponieważ zwiększa „upartyjnienie" instytucji publicznych. Nawet minister sprawiedliwości Adam Bodnar miał powiedzieć: „Przywracamy konstytucyjność i szukamy jakiejś podstawy prawnej", gdy zakwestionowano przejęcie mediów publicznych. Jeden z uczestników akcji w TVP został później zacytowany: „To, co robimy, pachnie stanem wojennym, ale krzyk 50 osób jest lepszy niż dowód słabości władzy".

Tymczasem w rankingu wolności prasy Reporterów bez Granic (RSF) od 2018 r. Polska utrzymuje się na względnie stabilnym poziomie, z niewielkim spadkiem w 2021 r. Zajmuje miejsce tuż poniżej Rumunii i tuż powyżej Bułgarii, chociaż RSF ogłosiła w Polsce „stan wyjątkowy wolności prasy", nie robiąc tego w żadnym innym państwie UE. Sprzeczności tego rodzaju skłoniły część obserwatorów do komentowania, że rząd KO oraz niektóre inne rządy w Europie Środkowej są oceniane według innych kryteriów niż PiS. Ponadto raporty pokazują, że jeśli TVP sprzyjała PiS w trakcie jego rządów, to teraz sytuacja nie wygląda lepiej – politycy wspierający rząd mają do 85 procent czasu antenowego w mediach państwowych.

U źródeł problemu leży nie tylko upolitycznienie, lecz także rola państwa w gospodarce. Kolejne polskie rządy – zarówno PO, jak i PiS – przez wiele lat zwiększały państwowy wpływ na PKB lub kontrolę nad nim do tego stopnia, że rząd jest właścicielem lub ma kontrolę nad niemal połową z 20 największych firm w Polsce i zatrudnia ponad 50 procent pracowników w tym segmencie.

Wybory pociągają za sobą istotne konsekwencje dla spółek państwowych. Zwycięzca przejmuje stanowiska, awanse i korzyści finansowe. Zmiana partii rządzącej przetasowuje ekonomiczne układy wygranych i przegranych. Dotyczy to także telewizji publicznej, z której korzysta 30–40 procent polskich gospodarstw domowych.

Kiedy PiS objął władzę w 2015 r., rozszerzył kontrolę państwa nad sektorem mediów publicznych. Przyjął ustawę podporządkowującą wszystkich nadawców publicznych, w tym sieć ogólnopolskich stacji telewizyjnych TVP, Ministerstwu Skarbu. Dodatkowo dał urzędnikom prawo powoływania i odwoływania dziennikarzy oraz dyrektorów stacji. Bę-

eprasa.pl 3207be40fc

dąc w opozycji, partia Tuska potępiała ten krok. Po powrocie do władzy przejęła te same szerokie uprawnienia – i wykorzystała je przeciw PiS.

Zmiana kadry kierowniczej u nadawców państwowych po wyborach w 2023 r. powinna być procesem rutynowym, podobnie jak zmiany w Voice of America po wyborach prezydenckich w USA. Zamiast zastosować ustalone procedury, pozwalające dostosować linię redakcyjną w państwowych mediach i mianować nowych członków KRRiT (odpowiedzialnych za nadzór nad mediami publicznymi), menedżerów i producentów, rząd KO wybrał metodę „spalonej ziemi" w przestrzeni publicznej. Był to pierwszy przejaw polityki „żelaznej miotły" (iron broom) w ramach „demokracji walczącej", którą rząd stosuje od tamtej pory wobec przeciwników politycznych.

Działania te podważyły zasadny w założeniu cel rządu, by depolityzować media publiczne. Zamiast rozmontować państwowe struktury własności i wpływu na media, rząd kontynuował dotychczasową praktykę. Po usunięciu z mediów i instytucji nadzorujących je osób związanych z poprzednim obozem politycznym, koalicja KO obsadziła te same stanowiska własnymi nominatami.

Jeśli uznaje się, że to źle, iż rząd PiS mianował ludzi do mediów państwowych, to na jakiej podstawie KO usprawiedliwia własne podobne działania? Rząd Tuska nie udzielił tu wystarczającej odpowiedzi. Zamiast tego powołał nowych członków rad nadzorczych w mediach państwowych, w tym w kilku polskich kanałach telewizyjnych, Polskim Radiu i Polskiej Agencji Prasowej. Nowo wybrane rady nadzorcze mianowały kolejno nowe zarządy, nadzorujące poszczególnych nadawców.

Cykl trwa, a premier Tusk tylko wzmocnił politykę „żelaznej miotły". „Dzisiejsze działania" – stwierdził – „mają na celu (…) przywrócenie porządku prawnego i zwykłej przyzwoitości w życiu publicznym. Możecie liczyć na naszą determinację i żelazną konsekwencję w tej sprawie". Nowa ekipa zastąpiła starą.

Mimo wcześniejszych zastrzeżeń rządu Tuska co do upolitycznienia mediów publicznych w okresie rządów PiS, nie zmieniono zasadniczo państwowej własności mediów ani praktyki powoływania i nadzorowania menedżerów w państwowych stacjach. KO jedynie wymieniła kontrolę polityczną nad mediami państwowymi na inną, pozostawiając cały system w znacznej mierze niezmieniony.

Sytuacja jest tym bardziej uderzająca w kontekście szerszego krajobrazu medialnego w Polsce. Ogromna większość największych mediów reprezentuje nurt lewicowo-liberalny, proeuropejski, i była bardzo krytyczna wobec PiS w czasie jego rządów. Ta dysproporcja z biegiem lat stała się wyraźniejsza. Podejmowane wielokrotnie próby stworzenia dużego nadawcy o bardziej konserwatywnym charakterze nie przyniosły sukcesu. PiS uzasadniał swoje zmiany w TVP w latach 2015–2023 próbą wyrównania pola medialnego. Te próby zostały cofnięte, a lewicowo-liberalne media znów zdominowały przekaz. W ostatnich latach konserwatyści zdołali co prawda uzyskać przyczółek w sektorze telewizyjnym i radiowym pod marką Republika, obie te stacje rozwijają się szybko. Niedawno jeden z wicepremierów (wicepremier Krzysztof Gawkowski) zasugerował odebranie im koncesji, uzasadniając to rzekomym podżeganiem do przemocy. Ostatecznie jednak do tego nie doszło, ponieważ inny wicepremier uznał, że byłoby to działanie bezprawne.

Po odzyskaniu władzy przez KO ucichły także zarzuty o manipulację mediami kierowane wobec rządów PiS. Jednym z największych był ten o zagranicznej własności mediów. Gdy KO była w opozycji, uważała, że rządy PiS ograniczały wolność mediów, wspierając zakup niemieckiego wydawnictwa Polska Press przez państwowego giganta paliwowego, spółkę Orlen.

Spór dotyczył wsparcia rządów PiS dla przejęcia mediów, które w latach 90. kupiły zagraniczne firmy. Miało to miejsce w czasie, gdy polska gospodarka była w złym stanie. Kilkadziesiąt lat później prywatni właściciele chcieli sprzedać te aktywa. KO sprzeciwiała się próbom repolonizacji mediów, ponieważ PiS miał istotny wpływ na Orlen. Jeśli jednak w innych demokracjach, takich jak Kanada czy Francja, dopuszcza się maksymalnie 20–25 procent zagranicznej własności w sektorze mediów, to sprzeciw Tuska i innych wobec sprzedaży prywatnych aktywów medialnych polskiej spółce można uznać za przykład stosowania podwójnych standardów wobec przeciwników politycznych. Czy rząd polski nie ma prawa zachęcać rodzimych firm do kupowania krajowych mediów? Premier Tusk i jego sojusznicy twierdzili, że nie.

W latach 2020 i 2021 pojawiła się także kwestia TVN, dużej stacji telewizyjnej należącej do amerykańskiego koncernu Discovery (obecnie Warner Bros. Discovery), gdy rząd PiS dyskryminował spółkę. Aby ominąć zakaz posiadania przez podmioty spoza Europy więcej niż 49 procent udziałów w polskich mediach, Discovery zarejestrowało TVN w Niderlandach. Rząd Morawieckiego próbował najpierw utrudnić przedłużenie koncesji TVN, a później Sejm przyjął ustawę, którą krytycy uznali za wymierzoną w TVN24 – kanał informacyjny krytyczny wobec PiS. W obu przypadkach spory rozwiązano na drodze cichej dyplomacji między rządem USA, rządem PiS i Discovery. Tymczasem w grudniu 2024 r. Tusk wpisał TVN na

eprasa.pl 3207be40fc

listę „aktywów strategicznych," co ograniczy możliwość sprzedaży stacji przez amerykańskiego właściciela i ma na celu wpłynięcie na ewentualną zmianę jej centrolewicowej linii politycznej.

Sądownictwo

Zarzuty dotyczące sądownictwa i rządów prawa są najpoważniejsze, ponieważ stały się podstawą uruchomienia wobec Polski procedury z art. 7 UE, a zarówno Trybunał Sprawiedliwości UE, jak i Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekały przeciwko rządom PiS. Sądy te jednak nigdy wprost nie uznały wszystkich nominacji sędziowskich za nielegalne, wskazywały jedynie na nieprawidłowości, które mogłyby zostać naprawione przez polskie sądy krajowe. Rząd KO i inni krytycy używali wyjątkowo mocnych sformułowań, opisując rzekome nadużycia, mówiąc o „zniszczeniu," „gwałtownym naruszeniu" czy „niemal dewastacji" konstytucji i nazywając Polskę państwem „bezprawia", bo „zrujnowano" w niej sądownictwo. Krytycy utrzymywali, że „przywrócenie porządku konstytucyjnego" jest niezbędne, sugerując, że ów porządek przestał istnieć. To retoryka walki. Najważniejsze zarzuty dotyczyły:

– „zapakowania" Trybunału Konstytucyjnego sędziami „lojalnymi";
– powoływania i weryfikacji nowo mianowanych sędziów;
– próby usuwania sędziów z urzędu;
– „nielegalnych" reform sądownictwa;
– utworzenia izby dyscyplinarnej;
– połączenia stanowisk ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

PiS miał uzasadnienie dla reform

Zarzuty i kontrzarzuty dotyczące sądownictwa mają charakter prawniczotechniczny. PiS przedstawił szczegółowe argumenty, dlaczego podjął takie kroki. Biorąc pod uwagę burzę, jaką wywołały te reformy sądowe, warto przeanalizować kontekst i zrozumieć, co nimi kierowało.

Być może najważniejszą przyczyną był fakt, że żaden wcześniejszy rząd nie przeprowadził poważnej reformy sądownictwa od 1989 r. Sądownictwo w Polsce od dekad cieszyło się niskim zaufaniem społecznym, co stanowiło uzasadnioną przesłankę do naprawy. W 2015 r., kiedy PiS obejmował władzę, panował dość powszechny pogląd, że sądy są mało skuteczne w zapewnianiu sprawiedliwości i wymagają reform. Stało się to głównym argumentem rządu PiS, by podjąć ambitne działania naprawcze: chodziło o usunięcie strukturalnych problemów, z jakimi polski system prawny zmagał się od upadku komunizmu. Reformy wprowadzono w czasie narastającej frustracji wobec sądownictwa, wyrażającej się w znacznej erozji zaufania publicznego, niezadowoleniu w samym środowisku sędziowskim i ogromnych zaległościach w rozpatrywaniu spraw, co podważało efektywność i sprawiedliwość systemu. Impuls do reform wynikał więc zarówno z wieloletnich problemów strukturalnych, jak i z coraz głębszego rozczarowania społeczeństwa tym, jak sądownictwo radzi sobie z pełnieniem swoich funkcji w sposób skuteczny i bezstronny.

Na pierwszym planie pojawił się kryzys zaufania do wymiaru sprawiedliwości oraz brak wiary w niezawisłość sądów. Na poparcie tego twierdzenia rząd PiS przywoływał m.in. badanie World Justice Project z 2017 r., w którym Polska wypadła gorzej niż inne kraje rozwinięte, zwłaszcza w obszarach odpowiedzialności sądowej i ochrony podstawowych praw obywatelskich. Rzeczywiście, w rankingu obejmującym 35 państw Polska zajęła 24. miejsce. System sądownictwa uzyskał szczególnie niskie oceny w zakresie kontroli władzy wykonawczej oraz ochrony podstawowych wolności.

Brak zaufania do sądów był powszechny. Zaledwie 24 procent obywateli uważało, że sędziowie działają niezależnie „zawsze" bądź „w większości przypadków," a 61 procent respondentów wskazało, że sędziowie ich zdaniem podlegają wpływom zewnętrznym albo w ogóle nie są niezawiśli. Co więcej, podobne poglądy występowały już w 2012 r., gdy zaledwie 22 procent wyrażało wiarę w bezstronność sądów, a 66 procent sądziło, że sędziowie ulegają wpływom zewnętrznym. Dążąc do naprawy rosnącego w społeczeństwie rozczarowania systemem prawnym, rząd PiS chciał wzmocnić długofalową legitymizację sądownictwa w Polsce.

Równie niepokojący był pogląd samych sędziów. Rząd PiS znów powoływał się na wyniki badań opinii: w 2015 r. tylko 35 procent sędziów uważało, że awanse w sądownictwie opierają się wyłącznie na kryteriach merytorycznych – takich jak osiągnięcia i doświadczenie. Wskazywało to na szeroko rozpowszechnione obawy przed nepotyzmem i faworyzowaniem w środowisku sędziowskim.

Rząd PiS miał też rację, że społeczne wyobrażenie nieuczciwości praktyk sędziowskich podważało wiarygodność sądownictwa nie tylko wśród obywateli, lecz także w samym środowisku prawniczym. W badaniu z 2017 r. PiS zwracał uwagę na to, że polscy sędziowie określają nadmierne obciążenie sprawami jako pilny problem, drugi najważniejszy po potrzebie awansów przyznawanych według obiektywnych kry-

eprasa.pl 3207be40fc

teriów. Sędziowie w Polsce od dawna wskazywali na zbyt dużą liczbę spraw, którymi się zajmowali, jako kluczowy czynnik psujący funkcjonowanie sądownictwa. Wszystkie te czynniki składały się na wszechobecne poczucie frustracji i przekonanie, że wymiar sprawiedliwości nie działa tak, jak powinien, co w konsekwencji wymagało reform.

Drugim motorem reformy sądownictwa była przewlekłość postępowań sądowych, podważająca zaufanie obywateli do tego, że system jest zdolny do sprawnego orzekania, oraz wywołująca obawy o zasadę: „sprawiedliwość opóźniona to sprawiedliwość zaprzeczona". Polska dysponuje dość liczną kadrą sędziowską – w okresie reform było to około 10 000 sędziów – co jednak nie przekładało się na sprawne rozstrzyganie spraw. W rzeczywistości Polska plasowała się na siódmym miejscu wśród państw UE pod względem liczby sędziów w przeliczeniu na mieszkańca. Dla porównania rząd PiS wskazywał na Francję, która choć jest prawie dwa razy większa od Polski, to ma mniej niż 7000 sędziów. Pomimo dużej liczby sędziów w Polsce postępowania sądowe ciągnęły się bardzo długo. Zdaniem rządu PiS nie wynikało to z braków kadrowych, lecz z nieefektywności proceduralnych. Dodatkowo Polska ponosi wysokie nakłady na wymiar sprawiedliwości: 1,77 procent budżetu państwa przeznacza się na sądy – to najwyższy odsetek w UE. Mimo to nie zapobiegało to opóźnieniom, według rządu, wskutek nieefektywności strukturalnych.

Niesprawne sądownictwo odbija się negatywnie na obywatelach i na gospodarce. Przewlekłe procesy zniechęcają ludzi i firmy do drogi sądowej, a ponadto tworzą niepewność co do egzekwowania praw. Taka sytuacja szkodzi rządom prawa i reputacji Polski jako państwa z rzetelnym wymiarem sprawiedliwości. Decyzja rządu PiS o przeprowadzeniu reform wynikała więc nie tylko z niezadowolenia społecznego, lecz także z konieczności przywrócenia wiarygodności i efektywności systemu. Reformy miały za zadanie rozwiązać zarówno kwestię niezawisłości sądownictwa, jak i praktyczne problemy związane z opóźnieniami w postępowaniach, tak aby polski wymiar sprawiedliwości mógł działać bardziej sprawiedliwie i skutecznie dla wszystkich obywateli.

Wreszcie, nie jest powszechnie znane, że niemal wszyscy sędziowie z czasów PRL pozostali na swoich stanowiskach po 1989 r. Z najnowszej listy sędziów Sądu Najwyższego wynika, że jest tam 17 osób, w tym niektórzy, którzy w sądach komunistycznych skazywali działaczy Solidarności. Sądy niższej instancji nie zostały w ogóle zlustrowane czy zdekomunizowane, a wielu ówczesnych sędziów awansowano. Inne źródła wskazują, że co najmniej 10 procent wszystkich sędziów w Polsce wywodzi się jeszcze z okresu sprzed 1989 r. i nadal orzeka.

Choć procentowo nie wydaje się to dużą liczbą, to w kontekście kluczowej roli sądownictwa jest ona znacząca, zwłaszcza w kraju takim jak Polska, doświadczonym przez dziesięciolecia brutalnych reżimów. Proporcja ta stopniowo maleje w miarę przechodzenia sędziów na emeryturę, jednak nie oddaje pełnego obrazu. Po 1989 r. nowych sędziów mianowali i awansowali często sędziowie jeszcze z czasów komunistycznych, w ramach zamkniętego, hermetycznego systemu, w którym osoby pracujące w aparacie sądowym przed 1989 r. mogły kształtować kolejne pokolenia sędziów. Wielu przedstawicieli tego środowiska postrzegało siebie jako „nadzwyczajną kastę" stojącą ponad państwem. System ten niemal nie dopuszczał zewnętrznej kontroli czy równowagi, a brakowało w nim skutecznych mechanizmów dyscyplinarnych wobec sędziów, którzy łamali prawo. Chociaż wielu byłych komunistów stało się demokratami, trudno się dziwić, że taki stan rzeczy budzi sprzeciw wśród znacznej grupy Polaków, którzy cierpieli pod rządami komunistycznego wymiaru sprawiedliwości. Przy takich realiach nie jest jasne, dlaczego PiS miałby postępować niewłaściwie, starając się dokończyć zadanie oczyszczenia sądownictwa z osób o komunistycznym rodowodzie bądź dokładniej weryfikować sędziów nominowanych, awansowanych i kształtowanych przez te kręgi.

Domniemane „pakowanie sądów"

Obsadzanie stanowisk sędziowskich, w tym w Trybunale Konstytucyjnym, stanowi sedno sporu o rządy prawa (ROL). W Polsce, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, ma ono charakter polityczny. PiS mianował na stanowiska wielu sędziów, którzy prawdopodobnie mają poglądy zbliżone do tej partii. Mało kto jednak wie, że niektórzy z tych nowo powołanych sędziów orzekali w wielu sprawach przeciwko rządom PiS. Po powołaniu sędziów nie można ich odwołać, a wpływanie na ich decyzje jest trudne. Czy PiS rzeczywiście „zapakował" Trybunał? Liczby są duże, lecz wszyscy rządzący po 1989 r. mianowali sędziów. Od lat w Polsce sędziowie mają też rozmaite powiązania polityczne. W 1995 r. pierwszy prezes Sądu Najwyższego, Adam Strzembosz, zgłosił swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich. Wielu polityków – np. Zdzisław Czeszejko-Sochacki, Jerzy Ciemniewski, Marek Kotlinowski czy Adam Jamróz – zasiadało w Trybunale Konstytucyjnym przed 2015 r., a Jerzy Stępień został nawet jego prezesem. Inni sędziowie otwarcie wspierają KO, niektórzy jawnie uczestniczą w konwencjach politycznych.

eprasa.pl 3207be40fc

Platforma Obywatelska działała politycznie, gdy kończyła rządy w 2015 r.; wówczas w agresywnie partyjny sposób uchwaliła ustawę zezwalającą ustępującemu parlamentowi na wybór pięciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego. UE nie skrytykowała PO za to posunięcie. Odpowiedź PiS budziła kontrowersje, lecz KO trudno uznawać za stronę niewinną, skoro również dokonywała partyjnych, a w tym przypadku nielegalnych, nominacji. Nawet najbardziej zagorzali krytycy PiS przyznają, że w Polsce nie funkcjonuje „podwójny system prawny".

Jeżeli polscy sędziowie są niezdolni do orzekania z powodu powiązań z partią polityczną, to jak ocenić fakt, że prezes Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe był wiceprzewodniczącym klubu parlamentarnego CDU w Bundestagu aż do momentu nominacji w 2018 r.? Albo przypadki innych sędziów w Niemczech, za którymi stoją partie polityczne czy którzy są wybierani przez komisje złożone z osób powiązanych politycznie? Czy w takim razie procedura nominująca sędziów sprzyjających partii rządzącej nie wymagałaby „przywrócenia rządów prawa" także w USA, gdzie sędziów od wczesnych lat republiki wyłania się w procesie politycznym, lub w Niemczech i innych krajach?

▶ Izba Dyscyplinarna

Utworzenie przez PiS Izby Dyscyplinarnej do oceny pracy sędziów miało uzasadniony cel. W końcu brakowało zaufania do sądownictwa, a w praktyce prawie nie istniała odpowiedzialność sędziów, którzy orzekali w czasach PRL przeciwko Polakom lub dopuszczali się wykroczeń w wolnej Polsce. Po 1989 r. tylko jeden sędzia został pozbawiony stanowiska w postępowaniu dyscyplinarnym za wyrok polityczny. Czy PiS nadużywał działalności Izby Dyscyplinarnej? Krytycy tak twierdzą, jednak osobom niezorientowanym w zawiłościach tych instytucji trudno oddzielić argumenty merytoryczne od politycznych antypatii i interesów. Statystyki pokazują, że choć liczba sędziów poddanych postępowaniom dyscyplinarnym wzrosła w porównaniu z poprzednimi latami, to żaden z nich nie został przez Izbę Dyscyplinarną usunięty z zawodu. Niektórzy uznawali to za porażkę samej Izby, uznając ją za nieskuteczną. PiS słusznie wskazywał, że powinna istnieć instytucja odpowiedzialna za ściganie sędziów za poważne przewinienia, w tym przestępstwa.

Po kilkuletnich debatach i kontrowersjach PiS przystał na żądania UE, by Izbę zamknąć, co nastąpiło w 2022 r. Zastąpiła ją Izba Odpowiedzialności Zawodowej. Rząd KO zaprezentował obecnie plan, który przewiduje cofnięcie awansów części sędziów i wymuszenie na tych, którzy chcieliby zachować stanowiska, aktu tzw. czynnego żalu – formy publicznych przeprosin, ostatnio stosowanej w czasach reżimu komunistycznego.

▶ Minister sprawiedliwości i prokurator generalny

Czy PiS osłabił mechanizm kontroli i równowagi, łącząc funkcje ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego w jednym urzędzie? Praktyka międzynarodowa rzeczywiście tego nie zaleca, nawet jeśli np. w Kanadzie łączy się te stanowiska, a sama Polska, od 1989 r., zasadniczo utrzymywała taki model. PO rozdzieliła je w okresie swoich rządów (2007–2015), natomiast PiS ponownie je połączył, dostosowując je do potrzeb Zbigniewa Ziobry, stojącego na czele trudnego koalicjanta – Solidarnej Polski. Od zwycięstwa w październiku 2023 r. koalicja KO kontynuuje tę praktykę, którą tak głośno krytykowała; po roku rządów KO minister sprawiedliwości Bodnar nadal pełni funkcję prokuratora generalnego, choć projekt ustawy o ich rozdzieleniu rzekomo został już przygotowany. Jeżeli jest to tak poważne naruszenie, dlaczego rząd Tuska wciąż się przy nim utrzymuje?

▶ UE nagradza KO, zanim ta wdraża zmiany

Nietrudno zrozumieć, dlaczego Komisja Europejska wyraźnie wolała zwycięstwo KO w wyborach 2023 r. i z zadowoleniem przyjęła powrót byłego przewodniczącego Rady Europejskiej Tuska na urząd premiera. Priorytet PiS, aby zachować jak najwięcej suwerenności w ramach traktatów unijnych, kłócił się z preferencją unijnych decydentów, by państwa członkowskie nie kwestionowały priorytetów UE. Występowały liczne obszary tarć, lecz to sprawy związane z sądownictwem były najważniejsze i stanowiły podstawę zastosowania procedury z art. 7. W ramach kary za tę postawę UE zamroziła Polsce około 137 miliardów euro z różnych programów unijnych.

Wyraźne było, że Komisja „wsparła" KO w wyborach, gdy zasygnalizowała gotowość do odmrożenia środków z Funduszu Odbudowy i Zwiększania Odporności (Recovery and Resilience Facility) niedługo po tym, jak w grudniu 2023 r. władzę objął rząd KO, a następnie w lutym otworzyła drogę do wypłaty pieniędzy związanych z ROL. Pozwoliło to na przelanie znacznej części środków, zanim KO faktycznie wdrożyła jakiekolwiek z wymaganych reform, za brak których karany był PiS. Takie działanie pokazuje, że polityka odgrywała dużą rolę w sposobie, w jaki UE podchodziła do spraw wewnętrznych Polski: KO mogła obiecać wyborcom, że środki unijne zostaną od-

eprasa.pl 3207be40fc

blokowane, jeśli wygra wybory. Fakt, iż rząd KO przyjął twardą linię w kwestiach, za które Komisja Europejska krytykowała wcześniej PiS – np. nielegalnej migracji – nie stanowi już problemu dla UE.

IV PRZEKRACZANIE GRANIC: NADUŻYWANIE PRAWA (LAWFARE) I PENALIZACJA RÓŻNIC POLITYCZNYCH

Od 1989 r. zmiany rządów w Polsce zazwyczaj przebiegały spokojnie. Nowe koalicje dochodziły do władzy, odchodzili dotychczasowi nominaci polityczni, pojawiali się nowi, a kierunki polityki ulegały zmianie zgodnie z wynikiem wyborów. Nadchodzący rząd krytykował poprzedników za różnorodne błędy, czasem włączając w to poważne nadużycia, a nawet działania przestępcze niektórych urzędników. Zwykle jednak urzędnikom pozwalano dokończyć kadencję, a spory odchodziły w niepamięć, z wyjątkiem najpoważniejszych przypadków. Nawet rządy wywodzące się z dawnej opozycji solidarnościowej, które przejmowały władzę po rządach postkomunistycznych, stosowały stosunkowo łagodne procedury przejmowania urzędów.

Obietnice wyborcze

Przekazanie władzy między rządem Morawieckiego a Tuska wygląda jednak inaczej. Przed wyborami w 2023 r., kiedy politycy Koalicji Obywatelskiej (KO) ostrzegali, że w najważniejszych wyborach od 1989 r. stawką jest demokracja, jednocześnie sygnalizowali bezprecedensowe rozliczenia wobec polityków PiS. KO prowadziła kampanię, w której zapowiadała postawienie przed sądem prezydenta Dudę, premiera Morawieckiego, prezesa NBP Adama Glapińskiego i inne osoby, utrzymując, że dopuściły się one poważnych przestępstw. Obietnica ścigania osób za „łamanie konstytucji i rządów prawa" zaostrzyła krajowe podziały, bo mogłaby stawiać przed sądem ministrów PiS i innych kluczowych polityków, w tym nawet byłego premiera Morawieckiego i Jarosława Kaczyńskiego, za działania, które *de facto* nie są przestępstwami w ścisłym sensie.

Od tego czasu rząd KO oskarża polityków PiS o szereg czynów, za które obiecuje ich pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Politycy KO posługują się przy tym bardzo podniosłą retoryką, mówiąc o „rozliczeniu zła", nazywają poprzedników „złodziejami, szumowinami, ludźmi bez sumienia", grożąc, że muszą oni zostać usunięci z życia publicznego.

Retoryka w polskich kampaniach wyborczych bywa ostra, zważywszy na istotne różnice w wizjach przyszłości kraju oraz wzajemną osobistą niechęć głównych liderów. Nasuwają się jednak pytania: czy PiS rzeczywiście tak dalece odbiegało od politycznego nurtu głównego, że wymagało znacznie bardziej drastycznych działań niż przy innych zmianach rządów? Czy też KO i jej sojusznicy zagraniczni zdołali tak zawęzić okno Overtona, że poglądy niegdyś akceptowalne nagle stały się nie do przyjęcia? A może krytycy stosują wobec PiS podwójne standardy, preferując partie progresywne lub centrowe, które nie kwestionują unijnej polityki? Czy polscy komentatorzy mieli rację, mówiąc, że „aby zrobić omlet, trzeba rozbić jajka"? Czy premier Tusk, posługując się ideą demokracji walczącej (demokracja walcząca), ma uzasadnienie, by atakować PiS nawet działaniami „wykraczającymi poza literalne zapisy prawa"? Rząd KO realizuje swoją obietnicę przedwyborczą, używając szeregu środków do ukarania opozycji – co budzi uzasadnione obawy, że KO przekroczyła dopuszczalne granice.

Nadużywanie prawa (lawfare)

Od momentu, gdy rząd KO objął władzę w grudniu 2023 r., w polskich mediach pojawiają się nieustannie doniesienia o domniemanych przestępstwach popełnionych przez polityków i urzędników związanych z PiS. Część z nich dotyczy śledztw prowadzonych przez służby, w tym wojskowy kontrwywiad. Wiele z tych informacji zdaje się opierać na kontrolowanych przeciekach ze źródeł państwowych. Po publikacjach w mediach szybko następują oświadczenia rządowych lub policyjnych urzędników, co sprawia wrażenie skoordynowanych działań. Słowo „przestępca" pojawia się często w kontekście PiS. W wielu przypadkach doniesienia mają charakter wstępny i są pozbawione szczegółów, ale osoby zainteresowane – zgodnie z prawem wciąż niewinne – zostają niejako otoczone aurą przestępstwa, choć nierzadko nie postawiono im zarzutów, nie mówiąc o wyroku. „Cywilne wyroki śmierci" działają długoterminowo, a sprawy często nie zostają wyjaśnione. W konsekwencji reputacja jest niszczona, ludzie ponoszą wydatki na obsługę prawną, towarzyszą temu inne uciążliwości, a wrażenie bezprawia wisi w powietrzu. To klasyczne nadużywanie prawa w celach politycznych (lawfare). Duża liczba podobnych przypadków wskazuje na świadomą strategię rządu. KO tak regularnie wysuwa zarzuty karne wobec przedstawicieli PiS, że sprawia to wrażenie realizowania polityki lawfare. Być może część tych osób rzeczywiście jest winna, lecz niewielka liczba wyroków skazujących przy ogromie stawianych zarzutów budzi wątpliwości.

eprasa.pl 3207be40fc

Czystki

KO ma pełne prawo wymienić kluczowych urzędników czy ważnych nominatów politycznych, którzy pełnią funkcje z nadania rządowego. Każdy demokratyczny rząd zmienia obsadę stanowisk, ale KO posunęła się w tym dalej niż dotychczas. Naruszyła na przykład ustawę przyznającą prezydentowi wyłączność w mianowaniu i odwoływaniu ambasadorów, publikując listę 50 ambasadorów RP przeznaczonych do odwołania. Część z nich skierowano do pomniejszych zadań w MSZ, by zmusić ich do odejścia. Innych pozbawiono stanowisk bez propozycji nowego przydziału. W kilku przypadkach placówki przejęli chargés d'affaires, co *de facto* obniżyło rangę stosunków z danymi państwami, które nie mogą traktować ich na równi z pełnoprawnym ambasadorem. Ten impas między rządem KO a Kancelarią Prezydenta RP zapewne potrwa co najmniej do wyborów prezydenckich w maju 2025 r., czyli około 18 miesięcy od rozpoczęcia nowej kadencji rządu.

KO zwolniła też cenionych profesjonalistów z instytucji finansowanych przez państwo, którzy nie byli otwarcie zaangażowani politycznie i przetrwali wiele wcześniejszych zmian władzy. Plan KO, by postawić prezesa NBP Glapińskiego przed Trybunałem Stanu – co byłoby niezgodne z prawem UE – skłonił prezes Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde do publicznej deklaracji obrony jego osoby. Przypadki te bardziej przypominają czystki niż normalną i potrzebną wymianę kadr. Albo – jak ujęli to niektórzy politycy KO – „depisizację", czyli termin przywodzący na myśl „dekomunizację": proces, w ramach którego wszyscy komuniści zostaliby usunięci z urzędów i pozbawieni możliwości pełnienia funkcji publicznych, gdyby faktycznie go przeprowadzono po 1989 r.

Ograniczanie zaplecza finansowego PiS

Decyzja Państwowej Komisji Wyborczej (PKW) z sierpnia 2024 r., wedle której PiS mogłoby stracić miliony złotych z dotacji państwowych, do których miałoby prawo, rzekomo za niewłaściwe wydanie środków publicznych podczas kampanii w 2023 r. (oraz około 10 mln zł rocznie do 2027 r.), wygląda na próbę finansowego osłabienia PiS, tak by nie mogło ono konkurować w wyborach prezydenckich 2025. PKW, zdominowana przez większość związaną z KO, ma interes w tym, by ograniczyć fundusze PiS, zwłaszcza że partia ta rośnie w sondażach, niezadowolenie społeczne z rządu Tuska wzrasta, presja na premiera, by przedstawić wyniki, rośnie, a ministrowi sprawiedliwości Bodnarowi nie udaje się uzyskać wielu skazań działaczy związanych z PiS.

W listopadzie 2024 r. PKW posunęła się dalej, całkowicie pozbawiając PiS corocznej subwencji. Oświadczyła również, że ewentualne unieważnienie decyzji z sierpnia 2024 r. przez Sąd Najwyższy nie zostanie uznane. Szef PKW skrytykował tę decyzję, został jednak przegłosowany przez większość prorządową w PKW. Kiedy w grudniu 2024 r. Sąd Najwyższy uchylił decyzję PKW i nakazał przywrócić PiS finansowanie, politycy KO wezwali do zignorowania wyroku, argumentując, że został wydany przez tzw. neosędziów, mianowanych po 2018 r. Jeszcze w tym samym miesiącu PKW zaogniła sytuację, odmawiając wykonania decyzji izby Sądu Najwyższego o zwrocie funduszy PiS. W efekcie pod znakiem zapytania stoi kilkadziesiąt milionów złotych, które PiS mogłoby otrzymać w kolejnych latach, co może wpłynąć na wybory prezydenckie 2025.

PKW nie tylko stara się pozbawić PiS funduszy, lecz także stosuje wobec tej partii odmienne standardy. Komitet uznał inny wyrok, wydany przez niemal identyczny skład Sądu Najwyższego, który przywrócił finansowanie dla Konfederacji, innej prawicowej partii opozycyjnej. Premier Tusk skomentował to słowami: „PiS uczy się prawdziwego znaczenia słów »prawo i sprawiedliwość«". Dodał też niedawno, że bez rozliczenia PiS nie będzie w Polsce odnowy.

Odmowa uznawania wyroków sądów

Sprawa z PKW to najnowszy przykład szerszego zjawiska w polskim systemie prawnym: rząd nie uznaje niekorzystnych dla siebie orzeczeń sądowych. Pierwszy głośny przypadek miał miejsce w styczniu 2024 r., kiedy rząd odwołał Dariusza Barskiego z funkcji prokuratora krajowego, twierdząc, że został on powołany bezprawnie (w 2022 r.). Barskiemu uniemożliwiono fizycznie wejście do biura, zastępując go Dariuszem Kornelukiem, prokuratorem lojalnym wobec rządu, mającym koordynować śledztwa przeciw politykom PiS. We wrześniu 2024 r. Sąd Najwyższy uznał to odwołanie za bezprawne i stwierdził, że Barski jest nadal prokuratorem krajowym, co w listopadzie potwierdził Trybunał Konstytucyjny. Mimo to rząd odmówił zastosowania się do wyroku, a minister sprawiedliwości Bodnar otwarcie oświadczył, że nie uznaje orzeczenia Sądu Najwyższego. Uznał je za wydane przez neosędziów, mimo że skład orzekający tworzyło trzech doświadczonych sędziów, uznanych w środowisku prawniczym. Premier Tusk i inni ministrowie rządu publicznie deklarują, że nie uznają tych orzeczeń. Ponadto od kilku miesię-

eprasa.pl 3207be40fc

cy rząd nie publikuje wyroków Trybunału Konstytucyjnego, co zwróciło uwagę Komisji Weneckiej.

Próby masowego odwoływania sędziów

Kolejnym znaczącym krokiem jest próba cofnięcia wszystkich nominacji sędziowskich dokonanych od 2018 r. Rząd twierdzi, że każdy sędzia mianowany lub awansowany od czasu reform PiS (około 30 procent) jest „niesędzią" lub „neosędzią", a wydane przez nich wyroki mogą być unieważniane. Nie jest przy tym konsekwentny: wyroki korzystne dla rządu wciąż bywają uznawane, a niekorzystne – odrzucane.

We wrześniu 2024 r. minister sprawiedliwości Bodnar ogłosił, że sędziowie chcący pozostać na stanowiskach będą musieli złożyć oświadczenie krytyczne wobec własnych decyzji, w stylu komunistycznej „samokrytyki", przyznając się do „życiowego błędu", przyjmując nominację. Tylko w takim wypadku mogliby zachować stanowiska; niektórzy z nich i tak byliby zdegradowani lub poddani postępowaniu dyscyplinarnemu.

Ogłoszenie to wywołało silną reakcję i oburzenie także wśród liberalnych komentatorów i środowisk prawniczych. W opinii Komisji Weneckiej stwierdzono, że:

„Nie można ustawą zadeklarować nieważności wszystkich nominacji [...] ani twierdzić, że dotychczasowe orzeczenia ETPC [Europejskiego Trybunału Praw Człowieka] i TSUE [Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej] czy decyzje polskiego Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego unieważniają z mocą wsteczną te nominacje, a masowe unieważnienie ex tunc wszystkich uchwał polskiej KRS nie mieści się w koncepcji rządów prawa".

Minister sprawiedliwości zapowiedział, że uszanuje tę opinię i wycofuje się z pomysłu „dobrowolnej skruchy", lecz nadal nie wiadomo, jakie kroki podejmie rząd, ponieważ jednocześnie wzmaga on kwestionowanie ważności nominacji sędziowskich.

Represje wobec konserwatywnych organizacji obywatelskich

Jedną z pierwszych zapowiedzi rządu w grudniu 2023 r. była kontrola wszystkich dotacji państwowych udzielonych organizacjom pozarządowym i innym podmiotom w czasach rządów PiS. Ministerstwo Kultury sporządziło „czarną listę" konserwatywnych i chrześcijańskich organizacji, których projekty – finansowane w latach 2015–2023 – mają zostać poddane kontroli. Interpretowano to powszechnie jako sygnał, że organizacje otrzymujące wsparcie publiczne za czasów PiS zostaną poddane szczególnemu nadzorowi i wykluczone z kolejnych dotacji. Praktyka ta trwa nadal i powtarza się w innych instytucjach państwowych. W marcu 2024 r. stanowisko prezesa Narodowego Instytutu Wolności (głównej agencji odpowiedzialnej za finansowanie NGO) objął Michał Braun, polityk KO. Następnie Instytut zażądał od niektórych NGO zwrotu środków z poprzednich lat, komentując na swojej stronie internetowej, że to dopiero początek. Możliwe, że kiedy zostanie zakończony audyt projektów realizowanych przez USAID zainicjowany jeszcze przez administrację Trumpa, okaże się, że fundusze trafiały do organizacji wspierających priorytety KO.

Aresztowania

Nie brakowało również spektakularnych zatrzymań polityków PiS i osób związanych z partią. Trudno ocenić słuszność takich działań, gdy różne sądy wydają sprzeczne postanowienia, a rząd przedstawia zatrzymania jako uzasadnione, podczas gdy PiS utrzymuje, że są bezzasadne. Zwykle formułuje się wobec zatrzymanych publiczne zarzuty, odbiera immunitet poselski, stosuje areszt tymczasowy, a proces jest odległy w czasie lub w ogóle się nie rozpoczyna.

Najbardziej spektakularną sprawą było wejście policji do Pałacu Prezydenckiego w styczniu 2024 r. w celu aresztowania posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika za rzekome nadużycia władzy, jakich mieli się dopuścić w 2007 r., stojąc na czele Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Sprawę rozwiązało ponowne ułaskawienie ich przez prezydenta Dudę; obaj obecnie zasiadają w Parlamencie Europejskim. Jednak metody, jakimi rząd KO ich ścigał – w tym tempo i radykalizm działań – rodzą pytania, czy nie był to atak z innych powodów. Rząd odebrał też immunitet poselski Marcinowi Romanowskiemu, by postawić mu zarzuty udziału w „zorganizowanej grupie przestępczej". Przewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy (PACE), Theodoros Rousopoulos, przypomniał marszałkowi Sejmu Szymonowi Hołowni, że Romanowski, jako członek PACE, korzysta z immunitetu, a postępowanie wobec niego powinno zostać zawieszone. Rząd dążył także do odebrania immunitetu poselskiego byłemu ministrowi sprawiedliwości Michałowi Wosiowi, by zbadać szerokie zarzuty o nadużycia władzy. Z kolei warszawski ksiądz, ks. Michał Olszewski, został zatrzymany pod zarzutem korupcji związanej z działalnością charytatywną i spędził w areszcie prawie siedem miesięcy, zanim go niedawno zwolniono. Nie wiadomo, czy sprawy te mają faktyczne podstawy; widać jednak, że schemat jest podobny, a wyroki zapadają w opinii publicznej, zanim jeszcze dojdzie do procesu.

eprasa.pl 3207be40fc

Śledztwa

KO nadal bada działania wielu polityków i urzędników rządów PiS. Tylko przykładowo:

W maju 2024 r. powołała komisję ds. zbadania wpływów Rosji i Białorusi. Jej zadaniem jest m.in. ustalenie, czy były minister obrony Antoni Macierewicz dopuścił się „zdrady dyplomatycznej". Komisja sprawia wrażenie rewanżu za podobną, utworzoną przez PiS w maju 2023 r.

Wstępne wnioski komisji, ogłoszone w październiku 2024 r., zawierały nieudokumentowane oskarżenia o finansowanie operacji wpływu Rosji w USA, osłabianie zdolności polskich służb specjalnych i brak przygotowania kraju na rosyjską inwazję w 2022 r. Macierewicz to polityk kontrowersyjny, ale o wyraźnym antykomunistycznym dorobku. Czy jest rosyjskim agentem?

Ministerstwo Obrony skierowało 41 zawiadomień o domniemanych nieprawidłowościach przeciw specjalnej podkomisji PiS z 2016 r. badającej katastrofę smoleńską z 2010 r. Jarosław Kaczyński od dawna utrzymuje, że Rosja zestrzeliła samolot przy udziale Tuska. Wydaje się, że wyjaśnienie tej tragedii do końca nigdy nie zadowoli wszystkich stron, a wzajemne śledztwa nie przybliżają do rozwiązania.

Wszystkie te działania wskazują, że KO wyraźnie przekroczyła granice i stosuje praktyki przypominające te, o które niegdyś sama oskarżała PiS. W grę wchodzi nie tylko zwykła zmiana polityki, lecz także rozrachunki, zemsta i załatwianie porachunków. To wygląda jak próba odwetu za to, że PiS przez lata pokonywało KO, za ostre ataki osobiste, np. gdy Kaczyński nazywał Tuska „niemieckim agentem" i „zdrajcą Polski", oraz za krytykę poprzedniego rządu Tuska za nieudany „reset" w relacjach z Kremlem w latach 2007–2014. To przykre, że dwa demokratyczne, prozachodnie i atlantyckie ugrupowania polityczne posuwają się do tak ostrej retoryki i radykalnych działań. Sugeruje to, że rząd KO może mieć trudności z odbudową zaufania do instytucji, bo jedynie pogłębia polaryzację, niewiele zważając na dobro wspólne kraju. Gdy KO utraci władzę, może zostać potraktowana w podobny sposób, gdy role się odwrócą.

V CO DALEJ I JAKIE SĄ KONSEKWENCJE DLA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Retoryka dotycząca „przywracania demokracji" i „przywracania porządku konstytucyjnego" w Polsce opierała się na założeniu, że Polska nie jest demokracją i że ład konstytucyjny przestał funkcjonować. W okresie rządów PiS w latach 2015–2023 Polska nie była ani autokracją, ani państwem autorytarnym, a jej instytucje nie zostały „przechwycone". Gdyby tak było, wynik wyborów z października 2023 r. wyglądałby inaczej. Gen demokracji pozostaje w polskim systemie politycznym silny od 1989 r. Pewne działania PiS w okresie jego rządów mogły być dyskusyjne, a nawet bezprawne, ale to samo dotyczy działań KO od czasu jej powrotu do władzy w 2023 r. – mimo to Polska nadal jest demokracją.

Techniczny i prawniczy charakter tych kwestii utrudnia ich zrozumienie nawet dobrze poinformowanym obserwatorom z zewnątrz, nie mówiąc już o dokonaniu obiektywnej oceny. Nawet oni mają swoje luki w wiedzy i uprzedzenia polityczne. Dyskusje były szeroko zakrojone, ale często brakowało im kontekstu i uwzględnienia niuansów. Po obu stronach sporu istnieją solidne argumenty natury prawnej i politycznej, a odpowiedzi nie zawsze są jasne i jednoznaczne. Krytycy znacznie wyolbrzymili kwestie demokracji i rządów prawa, sprowadzając je z dość technicznych, specyficznych dla Polski spraw na poziom międzynarodowy i czyniąc z nich głośne problemy w Unii Europejskiej. To wyolbrzymienie przyczyniło się do wywołania reakcji w niektórych państwach członkowskich – często nazywanej nieliberalizmem, populizmem czy gorzej – co zwiększa presję na UE i stwarza dogodną pożywkę dla przeciwników, którzy mogą wykorzystywać różnice, zjednywać sobie sojuszników oraz osłabiać więzi transatlantyckie. Stosowanie podwójnych standardów lub wybiórcze ich używanie wzmaga eurosceptycyzm. Reakcje KO na rządy PiS z lat 2015–2023 były nadmierne, przez co KO utraciła moralną wyższość, do której rości sobie prawo, nawet jeśli wielu nadal uważa, że KO „uratowała Polskę przed autokracją". PiS nie było doskonałe, lecz KO także nie jest, choć przedstawia się jako obrońca prawdy, sprawiedliwości i „polskiej drogi".

Czy tylko obóz KO jest demokratyczny, a PiS nie? Nie. Obóz KO rozumie demokrację jako demokrację liberalną, podczas gdy PiS definiuje ją raczej przez pryzmat suwerenności demokratycznej z konserwatywno-tradycjonalistycznym charakterem. Demokracja nie obowiązuje wyłącznie wtedy, gdy wyborcy „głosują właściwie", a gdy głosują inaczej – to nie jest od razu „populizm". Polscy wyborcy niekoniecznie są „skrajną prawicą", jeśli sympatyzują z ugrupowaniami innymi niż KO. Mimo to taka narracja dominuje w znacznej części Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, a Polska nie stanowi tu wyjątku.

Tak długo, jak polskie społeczeństwo będzie głęboko podzielone między PiS a KO i jak długo liderzy obu obozów będą siebie nawzajem postrzegać jako zagrożenie dla państwa, utrzymają się poważne różnice w pojmowaniu demokracji i rządów pra-

eprasa.pl 3207be40fc

wa. Trudno nie odnieść wrażenia, że w tym konflikcie dużą rolę odgrywa chęć odwetu, ponieważ premier Tusk nie zapomni swoich wyborczych porażek ani tego, że określano go mianem „pachołka" Rosji i Niemiec, którego należy wykluczyć ze sceny politycznej, przedstawianego wręcz jako uosobienie zła w Polsce. Liderzy PiS jeszcze długo będą pamiętać, że zarzucano im, iż stanowią zło i zagrożenie dla rodzin w Polsce oraz dla miejsca Polski w Europie. Oba obozy będą kontynuować polityczną walkę, dążąc do realizacji różnych wizji przyszłości kraju.

Stawka jest wysoka w momencie, gdy rząd Tuska przekroczył rocznicę swojego funkcjonowania, zwłaszcza w obliczu zbliżających się wyborów prezydenckich w 2025 r., a sondaże wskazują, że większość Polaków ocenia pracę rządu negatywnie. Wielu Polaków, zwłaszcza kobiety i ludzie młodzi, uważa, że ich sytuacja życiowa pogorszyła się od momentu objęcia władzy przez obecną ekipę. Przykładowo, nieco ponad połowa populacji, 51,8 procent, negatywnie ocenia pracę rządu, a 39,3 procent pozytywnie.

Pociąganie osób do odpowiedzialności za rzekome „łamanie konstytucji i rządów prawa" jeszcze bardziej zaostrza podziały, jako że rząd KO formułuje zarzuty wobec polityków PiS za działania, które wcale nie muszą być przestępstwami w sensie prawnym. Podczas gdy KO nadal określa PiS mianem „skrajnej prawicy" czy „nieliberalnym", sama stosuje „nieliberalizm lewicy", co osłabia Polskę w obliczu wyzwań związanych z rywalizacją wielkich mocarstw. Zachowanie UE, która sprawiała wrażenie, że jej celem w Polsce jest zmiana rządu, również pogłębiało podziały. Bruksela nie chciała, by PiS wygrało wybory w 2023 r., i widocznie „przechyliła szalę" na korzyść KO podczas wyborów państwa członkowskiego. Zwrócono na to uwagę i chociaż Komisja Europejska ma wielu zwolenników, nie brakuje przeciwników, którzy widzą w jej działaniach ingerencję w sprawy wewnętrzne suwerennego państwa członkowskiego.

Po 1989 r. w Polsce obowiązywała zasada, by po zmianie władzy „kreską odciąć" przeszłość, określana skrótowo hasłem „gruba kreska". Była to praktyka kontrowersyjna i z dzisiejszej perspektywy błędna, bo zbrodnie popełnione przez komunistycznych funkcjonariuszy w okresie sowieckim pozostały w dużej mierze bezkarne. Niemniej zmiany rządów po 1989 r. następowały między różnymi odmianami koalicji demokratycznych, a nadużycia nie miały charakteru nawet w przybliżeniu tak ciężkiego, jak zbrodnie sprzed 1989 r. KO realizuje dziś coś w rodzaju odwetu w przebraniu „rozliczeń" i powinna zachować ostrożność w dalszych działaniach, choćby dlatego, że w przyszłości sama może znaleźć się w opozycji, a jej politycy mogą zostać potraktowani w podobny sposób, gdy role się odwrócą.

Wyraźne zwycięstwo republikanów w wyborach w USA w listopadzie 2024 r. i długoletnie krytyczne poglądy premiera Tuska wobec prezydenta Donalda Trumpa (105) powodują, że stawka w relacjach polsko-amerykańskich jest dla rządu KO wysoka. Liderzy KO słusznie wskazują, że relacje amerykańsko-polskie są i pozostaną silne, niezależnie od tego, kto sprawuje władzę w obu stolicach, ale administracja Trumpa dostrzega wyraźne sympatie KO wobec Partii Demokratycznej i jej krytykę prezydenta w trakcie ostatniej kampanii wyborczej. Prezydent Duda cieszy się znakomitymi relacjami z prezydentem Trumpem, a bliskie związki PiS z Partią Republikańską stanowią duży atut dla polskiej polityki zagranicznej i stosunków dwustronnych.

Co powinna zrobić Polska, by osiągnąć korzystny efekt? Dalsze próby rządu zmierzające do zniszczenia PiS nie pozostaną niezauważone i KO może stracić wpływy w Waszyngtonie, jeśli będzie kontynuować tę politykę wobec sojuszniczej partii politycznej. Polska potrzebuje PiS, które reprezentuje bardzo znaczną część elektoratu, aby wzmocnić swoje cele w zakresie bezpieczeństwa narodowego oraz w NATO w czasie bezprecedensowych wyzwań dla europejskiego porządku bezpieczeństwa i nasilającej się rywalizacji wielkich mocarstw. Również Stany Zjednoczone odnoszą korzyści, gdy PiS jest ważnym graczem na polskiej scenie politycznej.

▶ VI REKOMENDACJE

▶ Docenić odporność Polski jako demokracji

Narracja, wedle której polska demokracja stała w latach 2015–2023 na krawędzi upadku, została wyolbrzymiona. Gdyby Polska faktycznie stała się autokracją lub popadła w autorytaryzm, jak twierdzą krytycy, wynik wyborów z 2023 r. wyglądałby inaczej. Polska konsekwentnie wykazuje silne nastawienie demokratyczne, zakorzenione w jej porządku politycznym po 1989 r., a „gen demokracji" pozostaje żywy i nienaruszony. W dalszej perspektywie należy skupić się na wzmacnianiu praktyk i instytucji demokratycznych, zamiast ulegać bezzasadnym obawom o jej rzekomy koniec.

▶ Nie wyolbrzymiać krytyki rządów PiS

Choć istniały zastrzeżenia co do niektórych praktyk w czasie rządów Szydło i Morawieckiego, takich

eprasa.pl 3207be40fc

jak klientelizm czy użycie oprogramowania szpiegowskiego Pegasus, nie były one zjawiskami unikatowymi dla PiS i nie należy ich wyolbrzymiać. Z pewnością nie uzasadniają one apokaliptycznego języka, jaki stosuje obecny rząd. Podobne działania podejmowały wcześniejsze rządy – zarówno PO, jak i w innych państwach UE. Wysiłki PiS, by media były w posiadaniu krajowych podmiotów, znajdują odpowiedniki w innych demokracjach, np. we Francji czy w Kanadzie. Choć nie można bagatelizować tych problemów, należy unikać uproszczonego, zbyt ogólnego przedstawiania działań rządów PiS. W rzeczywistości były one znacznie bardziej złożone, zwłaszcza w porównaniu z ostatnimi działaniami antydemokratycznymi rządu KO.

▶ Zrozumieć kontekst krytyki UE i polskiej polityki

Krytyka polskich decyzji prawnych i politycznych, zwłaszcza ze strony UE, bywa wybiórcza i niespójna. Unia nie stosuje tak samo surowych standardów wobec innych państw członkowskich w kwestiach dotyczących mediów i sądownictwa. Surowa ocena rządów PiS przez administracje Obamy i Bidena oraz przez UE w znacznym stopniu odzwierciedlała różnice ideologiczne. Krytycy postrzegają próby rządu PiS zmierzające do utrzymania jak największej kontroli nad pewnymi kwestiami wewnętrznymi w ramach traktatów unijnych przez pryzmat progresywny. Trzeba uznać, że istnieją różne interpretacje pojęć demokracji i rządów prawa we współczesnym świecie, a ewentualne rozbieżności należy rozwiązywać z większą przejrzystością i w drodze dialogu.

▶ Wzmocnić przywiązanie do porządku konstytucyjnego w obliczu kampanii „demokracji walczącej" rządu KO

Od objęcia władzy w grudniu 2023 r. rząd koalicyjny pod przewodnictwem KO prowadzi kampanię nadużywania prawa (lawfare) i kryminalizowania różnic politycznych, by zneutralizować, jeśli nie całkowicie zniszczyć, PiS. Ta strategia – określana przez polityków rządowych mianem „demokracji walczącej" – stanowi niebezpieczny precedens w sporach politycznych. Powoływanie się na grupy antykomunistyczne z czasów Solidarności i wysiłki KO na rzecz delegitymizacji PiS za pomocą nadzwyczajnych metod osłabiają konstytucyjne fundamenty państwa. Dążenie do „depisizacji" (wykorzeniania PiS) i „dezintegracji" (rozbicia PiS) grozi destabilizacją systemu politycznego i dalszym skrajnym podziałem elektoratu. Rząd KO powinien kierować się zasadami demokracji i unikać autorytarnych praktyk w dążeniu do utrzymania władzy w dłuższej perspektywie.

▶ Na nowo zdefiniować pojęcia demokracji, rządów prawa i sprawowania władzy w XXI wieku

Spór o wolność mediów, rządy prawa i zasady sprawowania władzy w Polsce jest częścią szerszej, globalnej dyskusji o ewolucji tych koncepcji. Aktualny, zero-jedynkowy sposób ujmowania tych zjawisk jako „walki o demokrację" jest niewystarczający, ponieważ pomija różnorodność uprawnionych spojrzeń na to, czym demokracja powinna być w XXI wieku. Podział na demokrację liberalną i konserwatywne pojmowanie wolności i suwerenności demokratycznej wymaga głębszej analizy i dialogu. W sytuacji, gdy takie reżimy jak Rosja Putina czy komunistyczne Chiny intensywnie działają na rzecz podważenia i osłabienia wartości demokratycznych, Europa i Stany Zjednoczone powinny ponownie przemyśleć swoje podejście do tych napięć, zwłaszcza w odniesieniu do państw członkowskich UE. Bardziej zniuansowana debata jest konieczna, by wypełnić lukę między poglądami progresywnymi a konserwatywnymi, tak by demokracja pozostała silna i zdolna do adaptacji w obliczu zmieniających się wyzwań.

▶ Priorytetowo potraktować relacje strategiczne z Waszyngtonem w warunkach globalnych napięć

Choć rząd pod przewodnictwem KO jest zdecydowanie proeuropejski i nastawiony na współpracę z Niemcami, zwycięstwo Partii Republikańskiej w wyborach w listopadzie 2024 r. oraz krytyka prezydenta Donalda Trumpa ze strony premiera Tuska podnoszą rangę polskiej polityki zagranicznej. Relacje amerykańsko-polskie zapewne pozostaną silne bez względu na to, kto zasiada w Białym Domu, ale administracja Trumpa jest bardzo świadoma sympatii polityków KO wobec Partii Demokratycznej i ich krytycznych uwag wobec prezydenta w ostatniej kampanii wyborczej. Silne więzi, jakie PiS zbudował z Partią Republikańską, wzmacniają stosunki dwustronne. Dalsze próby zniszczenia PiS przez rząd KO mogą zagrozić tym ważnym powiązaniom, osłabiając pozycję Polski w Stanach Zjednoczonych i przynosząc szkody dla szerszych interesów strategicznych. Rząd KO powinien bardziej się starać o ponadpartyjne wsparcie w Waszyngtonie, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo i dalszy postęp w realizacji celów NATO, zwłaszcza w obliczu obecnych wyzwań w zakresie globalnego bezpieczeństwa i napięć geopolitycznych. ■

eprasa.pl 3207be40fc



Małgorzata Matuszak



TRANSHUMANIZM
– wyzwolenie czy koniec człowieka?

eprasa.pl 3207be40fc



Mimo że idee transhumanizmu wyrastają ze szlachetnych pobudek udoskonalenia istoty ludzkiej, to głosiciele tego nurtu wydają się w swoich postulatach posuwać do twierdzeń, że celem człowieka powinno być przezwyciężenie ludzkiej natury oraz w istocie cyborgizacja istoty ludzkiej.

FOT. ADOBE STOCK

Świat, w którym żyjemy, rozwija się dynamicznie i staje się coraz bardziej nieprzewidywalny. Technologiczne i naukowe myślenie, szybko absorbowane przez społeczeństwo, z jednej strony triumfuje, z drugiej zaś napawa niepokojem. Czy bowiem technologia i nauka są dla człowieka tylko wyzwoleniem, czy może zwiastują również jego kres? I jakie jest w tym miejsce nurtu myślowego nazywanego transhumanizmem, którego sposób widzenia człowieka przez wielu postrzegany jest jako ostateczny, bo głoszący jego kres? Transhumaniści nie chcą czekać na to aż zmiany zachodzące w otaczającym nas świecie doprowadzą do zmian w nas. Oni pragną je uprzedzić i sami tych modyfikacji dokonać.

Czym jest transhumanizm?

Transhumanizm jest nurtem myślowym i społeczno-politycznym, który narodził się w związku z postępem nauk i osiągnięciami technologicznymi na przełomie XX i XXI wieku. Znajduje on jednak podłoże filozoficzne już w epoce oświecenia i tak ważnego dla niej humanizmu, w myśl którego głoszono wiarę w naukowe możliwości ugruntowania ludzkiego świata oraz wyzwolenie człowieka z ograniczeń natury dzięki rozumowi i jego zdobyczom – nauce i technice. Humanizm w centrum świata stawia człowieka, głosi jego doskonałość i wyjątkowość oraz dąży do wyzwolenia go z ograniczeń naturalnych. Głównie dzięki sile ludzkiego rozumu, który może w racjonalny sposób zorganizować ludzką rzeczywistość i naturę. Głosząc wiarę w ludzkie możliwości, zarówno w znaczeniu społecznym, jak i jednostkowym zakłada głęboko postępującą racjonalizację życia oraz postęp techniczny i naukowy, dzięki którym człowiek będzie wolny od nacisku natury – biedy, niedogodności życia, a także od chorób, starzenia się i śmierci.

I tu możemy przejść do transhumanizmu, który czerpie inspiracje z humanistycznej wiary w rozum oraz możliwości wyzwolenia człowieka od natury dzięki technologii i naukom, takim jak: medycyna, nanotechnologia, biotechnologia czy inżynieria genetyczna. Transhumanizm jest w swej łagodnej formie nurtem filozoficznym dokonującym namysłu nad człowiekiem w dobie rozkwitu techniki, w formie zaś mocniejszej – prądem społecznym i politycznym chcącym dokonać udoskonalenia ludzkiej natury dzięki zdobyczom tejże techniki. Przedrostek „trans-" wskazuje tutaj na możliwość „przekroczenia samego siebie" przez gatunek ludzki, poprzez „skrzyżowanie" człowieka z maszyną i otwarcie w ten sposób nowych perspektyw dla człowieka. Transhumaniści wierzą, że zdołają uwolnić czło-

eprasa.pl 3207be40fc

wieka od chorób, starzenia i śmierci, czy to przenosząc jego umysł i dane tego umysłu do wnętrza maszyny, co dałoby mu nieśmiertelność w sensie umysłowym, czy też modyfikując ciało do tego stopnia, aby zmienić je w biorobota, który nie podlegałby ludzkim ograniczeniom i byłby odporny na starzenie się i choroby. W przypadku transhumanizmu ideologia epoki technologicznej miesza się z filozofią humanistyczną, nadając inny ton ideom humanistycznej wiary w możliwości człowieka, gdyż transhumanizm w centrum nie stawia człowieka, lecz maszyny, które byłoby w stanie skorygować ludzką naturę oraz uwolnić człowieka od jego przyrodzonych ograniczeń.

Jeśli się bowiem przyjrzymy planom korekty natury ludzkiej, które głoszą ideologowie transhumanizmu, trudno nie zadać sobie pytania, czy są one rzeczywiście wyzwoleniem dla człowieka, czy raczej kresem człowieka jako takiego i zniszczeniem jego natury, którą tak bardzo podziwiali dawni humaniści począwszy od epoki renesansu?

Postulaty transhumanizmu

Termin „transhumanizm" jako określenie konkretnego poglądu pojawia się po raz pierwszy już w 1950 roku w eseju biologa ewolucyjnego Juliana Huxleya, który pisze w „Cocktail party": „Rodzaj ludzki, o ile tego zapragnie, może dokonać transcendencji siebie – nie tylko sporadycznie, jedna osoba w jeden sposób, druga w inny, ale jako całość, jako ludzkość. Potrzebujemy nazwy dla tego nowego przekonania. Być może transhumanizm się sprawdzi: człowiek pozostanie człowiekiem, ale transcendującym samego siebie poprzez realizowanie i rozwój nowych możliwości swojej natury". Transhumanizm w ujęciu Huxleya nie nawoływał ani do przyspieszenia ludzkiej ewolucji, ani do radykalnej technicyzacji życia, a jedynie do świadomego uczestnictwa w procesie ewolucji.

W obecnie przyjmowanym znaczeniu transhumanizm został zdefiniowany w 1990 roku. Jeden z wczesnych jego ideologów, Max More, w tekście „List do Matki Natury" ogłosił siedem niezbędnych poprawek do natury ludzkiej. Chodziło tu przede wszystkim o przezwyciężenie przez człowieka naturalnych procesów starzenia się i śmierci. W tym celu More proponował zmiany na poziomie genetycznym oraz wprowadzanie do ciała syntetycznych organów, które mogłyby zastąpić te zużywające się w procesie ludzkiego życia oraz taką manipulację komórkami, w wyniku której nie ulegałyby starzeniu się. Był to zatem plan korekty tego, co postrzegane jest w ludzkim życiu jako negatywne. W następnym etapie jednakże nastąpić by miało wzmocnienie zdolności, w które już wyposażony jest człowiek. Modyfikacja istoty ludzkiej nie miała więc już na celu tylko korekty tego, co negatywne, lecz także udoskonalenie tego, co istnieje. Chodzi tu głównie o udoskonalenie funkcji poznawczych człowieka przez polepszenie pojemności neuronowej, zwiększenie pamięci ludzkiej i potencjału intelektualnego człowieka. Kolejnym celem, na czwartym etapie korekty, miało być skonstruowanie czegoś w rodzaju metamózgu przez poprawę objętości jego części korowej, a także zwiększenie zdolności sensorycznych poprzez wbudowanie systemu przewodników i czujników, które podnosiłyby ludzki poziom świadomości i wpływałyby na większą kontrolę emocjonalną istoty ludzkiej. W piątej poprawce głosił More zniesienie wpływu genów, które można byłoby samodzielnie poddawać inżynierii genetycznej, aby wyeliminować błędy ślepej ewolucji. W szóstym punkcie postulował poprawki w naturze ludzkiej dotyczące emocjonalności i motywacji człowieka, aby uczynić je bardziej wysublimowanymi oraz uczynić istotę ludzką mniej podatną na dogmatyzm i ślepe uleganie afektom, a większe poddanie właściwej motywacji człowieka, czyli racjonalności. W ostatnim punkcie zalecał większą integrację człowieka z dostępną i rozwijającą się szybko technologią w celu poprawy jego kondycji.

Jeden z wczesnych ideologów transhumanizmu, Max More, ogłosił siedem niezbędnych poprawek do natury ludzkiej – m.in. przezwyciężenie przez człowieka naturalnych procesów starzenia się i śmierci.

eprasa.pl 3207be40fc

Już bardzo pobieżne przyjrzenie się tym postulatom ujawnia ich utopijny charakter. Rodzi się również pytanie, czy ta utopia nie jest w istocie dystopią, a więc nie lepszym światem, lecz jego antytezą?

Człowiek doskonały i transczłowiek

Mimo że idee transhumanizmu wyrastają ze szlachetnych pobudek udoskonalenia istoty ludzkiej, to głosiciele tego nurtu wydają się w swoich postulatach posuwać do twierdzeń, że celem człowieka powinno być przezwyciężenie ludzkiej natury oraz w istocie cyborgizacja istoty ludzkiej czy też zmiana człowieka w istotę, która już nie będzie człowiekiem, a narzędziem, które miałoby tę zmianę umożliwiać. Ten nurt myślowy postrzega człowieka jako tylko jeden z etapów ewolucji, a nie jego konieczne dla przetrwania naszego gatunku, którego rosnąca populacja musi zapewnić sobie dostęp do dóbr i zasobów oraz zapewnić jednostkom ludzkim względnie dobre życie, co na skutek rosnących wyzwań współczesności staje się coraz trudniejsze. Podobnie uważa też znany w tych kręgach bioetyk – Julian Savulescu.

Jednak trzeba zadać pytanie, czy człowiek zmodyfikowany przez technologię będzie nadal człowiekiem, którego znamy i którym sami jesteśmy? Wątpię. Będzie to raczej istota, która być może zyska pewne niedostępne nam możliwości, ale, czego nie zakładają transhumaniści, straci równocześnie tę doskonałość, którą zawdzięcza właśnie temu, że jej życie jest ograniczone i skazane na starzenie i umieranie – wzajemną solidarność, wsparcie, pomoc i być może miłość, która być mo-

> Korekta ludzkiej natury może okazać się dla człowieka nie tyle jego wyzwoleniem z ograniczeń natury, ile ostatnim czynem, po którym już nie będzie... kogoś takiego jak człowiek.

cel, jak jeszcze to rozumiał humanizm. Człowiek powinien zostać przezwyciężony jako istota niedoskonała z racji swej natury, która podlega śmierci, cierpieniu i starzeniu się. Powinien stać się transczłowiekiem.

Jest w tym poglądzie jego głosicieli, a zarazem rzeczników postępu, kapitalizmu i rozumu, coś nieludzkiego już w samych głoszonych postulatach. Marvin Minsky, który pracował dla MIT i był jednym z pierwszych teoretyków transhumanizmu, proponował zastąpienie dawnej kultury – jako czynnika ograniczającego i wstecznego – technokulturą, która na czele z nauką i inżynierią miałyby dać człowiekowi namiastkę zbawienia na ziemi, zastępując mu religię! W kolejnych założeniach globalna sieć internetowa miałaby być pewnym metaumysłem, i w pewnym sensie ten etap cyborgizacji człowieka niestety już następuje, gdyż korzystając z różnych urządzeń, jesteśmy nieustannie podłączeni do globalnej sieci, która organizuje nam życie i bez której już nie możemy wyobrazić sobie społeczeństwa ludzkiego. Dla ucznia Minsky-'ego – Raya Kurzweila – czy Elona Muska założenia transhumanizmu, mające na celu zwiększenie ingerencji technologii i inżynierii w ludzkie życie, są że jest możliwa jedynie w obliczu naszego kresu na tej ziemi?

Pytania o istotę człowieka

Korekta ludzkiej natury może okazać się dla człowieka nie tyle jego wyzwoleniem z ograniczeń natury, ile ostatnim czynem, po którym już nie będzie kogoś takiego jak człowiek. Nadal bowiem zbyt mało wiemy o sobie i naszej naturze, aby wiedzieć, które zmiany są dla nas akcydentalne, a które dotykają naszej istoty i istoty również tych, na których nam zależy. Nie modyfikuje znacząco naszej natury to, że mamy w zasięgu bioniczne protezy czy soczewki kontaktowe, czy też nowoczesne leki, które pomagają nam leczyć różnego rodzaju dolegliwości, ale czy wszczepione do mózgu czipy czy środki mające poprawić naszą naturalną percepcję nie zmienią nas w kogoś, kim nie jesteśmy, ale też w kogoś, kim nie chcemy się stać. Czy bycie cyborgiem to naprawdę ostatnie marzenie ludzkości, która chce w ten sposób uciec przed sobą? I czy uwolnienie się od śmierci musi oznaczać bycie cyborgiem? Czy chodzi o to, by istota już nieludzka osiągnęła spełnienie, czy jednak chodzi nam o człowieka, o wciąż człowieka? ■

eprasa.pl 3207be40fc

Jakub Augustyn Maciejewski



Nihilista woła o pomoc

Emil Cioran (1911–1995) był filozofem pewnego paradoksu – szukano sensu życia w jego książkach o bezsensie życia, gdzie roztaczał przed czytelnikiem jedną z najbardziej mrocznych i nihilistycznych wizji człowieka. A jednak w spójności tej koncepcji jest kilka dziwnych rys.

To, że Cioran był Rumunem, ma tutaj ogromne znaczenie. Jego edukacja i zdobywanie doświadczenia przypadały na lata międzywojenne, kiedy kraj nad Dunajem przeżywał swoje złote lata – po I wojnie światowej bowiem Bukareszt aspirował do prawdziwie europejskiej polityki, obszar państwa był największy w historii, a w stosunkowo zacofanym i wiejskim, prowincjonalnym kraju doszło do eksplozji intelektualnej. Pokolenie wyrosłe w „wielkiej Rumunii" wydało bowiem takie umysły jak: Mircęę Eliadego (1907–1986), który zmienił zachodnie rozumienie religii poprzez nowatorskie objaśnienia sensu mitów i symboli w kulturze, Eugène'a Ionesco (1909–1994) – dramatopisarza, jednego z twórców francuskiego teatru absurdu, filozofa Constantina Noicaego (1909–1987) – szukającego w życiu totalnej wolności i intelektualnej niezależności, i Petre'a Tuttego (1902–1991) – XX-wiecznego rumuńskiego wieszcza literackiego.

Z peryferii Europy

Prowincjonalna Rumunia, na wsi przypominająca jeszcze realia z początków XIX wieku, włączona do grona niepodległych państw, potrafiła zakwitnąć wielkimi umysłami, których zresztą większość po II wojnie światowej trafiła do Francji, zasilając tamtejszą awangardę artystów. Cioran doszedł z językiem francuskim do takiej perfekcji, że jego nowi rodacy chętnie przypisują jego zasługi na konto własnej kultury. „Emil Cioran przelał wstręt wobec istnienia w esejach i aforyzmach, napisanych w języku francuskim tak wyszlifowanym, że on, Rumun, o formacji bardziej niemieckiej niż francuskiej, zaczął być uznawany pośród współczesnych autorów za czołowego francuskiego stylistę" – pisał wybitny historyk rumuński Lucian Boia.

W meandrach życia Ciorana, w jego rumuńskości jest jeszcze jedno zjawisko warte podkreślenie. Otóż człowiek, który twierdził, że żadna religia ani żaden system polityczny nie mają dla człowieka jakiejkolwiek wartości, a oświeconej jednostce pozostaje tylko niemoc i rozpacz, sam u progu II wojny światowej poparł Żelazną Gwardię, czyli zmilitaryzowaną rumuńską organizację faszystowską, która później dopuściła się nawet zbrodni wojennych u boku nazistowskich Niemiec.

Tak ten proces opisuje Boia: „[…] »rumuńskość« doprowadzona do skrajności stworzyła ideologiczną podstawę dla narodowo-ekstremistycznych orientacji, które namnożyły się w latach trzydziestych XX wieku, w szczególności ruchu legionistów (Żelazna Gwardia). Legioniści przyjęli mistykę narodową połączoną z żarliwym prawosławiem. »Czysta« Rumunia, o jakiej marzyli, prowadziła nieuchronnie do przemocy, totalitaryzmu i wrogości wobec »innych« (przede wszystkim wobec Żydów). Zapoczątkowany jako prawdziwa religia odrodzenia narodowego, przyciągając poprzez wzgląd na swój idealny projekt (ale równie niejasny i utopijny) kilku najwybitniejszych młodych intelektualistów epoki (w tym M. Eliadego i E. Ciorana), ruch legionowy zakończył swoją karierę w terrorze i krwi". Pytany po wojnie o swoje wsparcie dla tego ruchu Cioran nazywał ten epizod swojego życia „największą głupotą mojej młodości". Ale przecież jego pesymizm filozoficzny powstał na długo przed przystąpieniem do faszystów – zatem jak pogodzić głoszenie zupełnego bezsensu ludzkiego działania z kreowanym sensem superpaństwa tworzonego przez faszystów?

Jestem przypadkiem

Zwłaszcza że Cioran swoją pierwszą książkę, która znalazła szerokie uznanie, opublikował w 1934 roku. „Na szczytach rozpaczy" opowiadała właśnie o człowieku przez pryzmat ciemnych okularów autora.

W tej pracy czytamy na przykład o śmierci jako przeznaczeniu człowieka, które można zrozumieć tylko z poznaniem procesu agonii. A co to oznacza? „Mieć świadomość długotrwałej agonii to znaczy wyodrębniać indywidualne doświadczenie z jego naiwnej otoczki i naturalnego środowiska, aby obnażyć ich nicość i nieistotność, to znaczy atakować same irracjonalne korzenie życia". I to będzie cała metoda Ciorana – jeśli kochasz Boga, człowieka i życie, to jesteś w „naiwnej otoczce", a jeśli masz w sobie mądrość, to po prostu „obnażasz nicość i nieistotność [życia]". Tytułowe szczyty rozpaczy oznaczają, że każde pozytywne odczucie u człowieka musi być fikcją. „Kres i rozwiązanie bezmiernej tragedii życia, a w szczególności człowieka, dowodzą, jak iluzoryczna jest wiara w wieczność życia, i że mimo wszystko jedynym dla człowieka historycznego ukojeniem jest naiwne odczucie wieczności».

Znaczna część prac Ciorana pisana jest w formie krótkich akapitów, a czasem nawet zwykłych aforyzmów. Po części wynika to z depresji autora, który przez całe dekady cierpiał na tę psychiczną chorobę, pisząc po nocach w długich pasmach bezsenności. Dekadenckie elity zachodniej Europy rozsmakowały się w tych krótkich treściach, zwłaszcza że pochodziły one z traumatycznych przeżyć czy paranoidalnych przemyśleń wybitnego Rumuna.

Gdy Cioran dowiedział się o tym, że jego matka planowała usunąć ciążę z nim, ślad tekstowy po tej informacji brzmiał: „Jestem po prostu przypadkiem. Dlaczego traktować to wszystko tak poważnie?".

fot. Wikimedia

eprasa.pl 3207be40fc

Nienawiść do Boga

Mimo że był synem prawosławnego duchownego, religia chrześcijańska nie pozostawiła w jego umyśle cienia nadziei. Wobec Boga nie był obojętny, Boga bardziej nienawidził niż w ogóle tolerował. „Nienawidzę Jezusa za jego kazania, jego moralność, jego pomysły i jego wiarę. Kocham go za jego chwile zwątpienia i żalu, jedyne prawdziwie tragiczne w jego życiu, choć ani najciekawsze, ani najbardziej bolesne, bo gdybyśmy mieli sądzić ich cierpienie, ilu przed nim również miałoby prawo nazywać siebie synami Bożymi!". Także po II wojnie światowej, gdy na stałe osiadł we Francji, Cioran, pozostawał w pozycji nihilizmu i negowania sensu wszystkiego co ludzkie. Jego „Krótka historia upadku" (1949), „Zły demiurg" (1969) „O bezsensie narodzin" (1974) – to kolejne tyrady przeciwko człowiekowi.

„Zły demiurg" sięgnął już bezpośrednio po krytykę Boga – czy to wymyślonego przez ludzi, czy tego wymarzonego, czy tego prawdziwego. Cioran z jednej strony drwi z postaci Stwórcy, a z drugiej uznaje Jego istnienie za kpinę, szyderstwo i szkodę dla ludzi. Boga nie ma – ale jest fundamentem istnienia, oto paradoks Ciorana. „Cywilizację zniszczyć można tylko niszcząc jej bogów. Chrześcijanie, nie śmiąc zaatakować imperium frontalnie, uderzyli w jego religię. Na prześladowania wystawili się tylko po to, by tym głośniej grzmieć przeciwko niej, by zaspokoić swój nienasycony głód nienawiści». Odwrócenie pojęcia Boga u Ciorana wygląda na dokładnie o 180 stopni. „Wolno nam chyba domniemywać, że demiurg, pod wrażeniem niedoskonałości bądź nawet szkodliwości swego dzieła, zechce kiedyś doprowadzić je do zguby, owszem, tak nawet rzecz urządzi, by zginąć wraz z nim. Ale można również wyobrazić sobie, że on od zawsze nic innego nie robi, tylko usiłuje zniszczyć samego siebie, i że cały proces istnienia sprowadza się do owej powolnej autodestrukcji».

Tezy Ciorana nie są podparte nauką, myślą europejską czy cytatami z poprzednich autorów, lecz jego wewnętrznymi przekonaniami, intuicją i depresyjnym cierpieniem. Gdy Rumun pokazuje „boga bez skrupułów" i „boga ułomnego", zdaje się, że sam czuje się bezlitosny i ułomny. „Grzeszyć samotnością, krzywdzić bliźnich zrywając z nimi, znać radość tylko w oddaleniu. Być na wskroś samotnym. Niszczycielska energia wytwarzana przez umysł umacnia twą indywidualność i zagarnia cię – o ile wcześniej to ty jego nie zagarniesz...".

Podobnie nihilistyczne wyznanie czytamy w „Krótkiej historii upadku": „Jakże brzydzę się, Panie, nikczemnością Twoich dzieł i tymi ckliwymi duchami, które spalają dla Ciebie kadzidła i są do Ciebie podobne! Nienawidząc Cię, uciekłem z cukrowni Twojego królestwa, od paplaniny Twoich marionetek…

Ze wszystkiego, co próbowano po tej stronie nicości, czy istnieje coś bardziej żałosnego niż ten świat, poza ideą, która go poczęła?".

W świecie pustki

Cioran jest bezsprzecznie uznawany za wybitnego filozofa, choć te zachwyty nad negowaniem wszystkiego, co w człowieku sensowne i dobre, mogą zastanawiać. Admiratorami Ciorana byli jednak inni wpływowi ludzie intelektu swojej epoki, jednak o ściśle określonych poglądach. André Gide (1869–1951) sprzyjał Sowietom i komunistom w zburzeniu świata zachodniego, Susan Sontag winiła naszą cywilizację za wojny, choroby i niesprawiedliwości, wspierając komunistyczne reżimy jako rzekomo niewinne międzynarodowych konfliktów. Reżimy autorytarne prawicy (jak Hiszpania) czy totalitarne lewicy (jak Rumunia) Ciorana wprost zakazywały drukować, cytować i czytać. Jest więc pisarz rumuński w pewien sposób najdalej posuniętym przejawem wolności – człowiek ma w absolutnej swobodzie prawo brzydzić się siebie i świata, odrzucać wszystko, co dobre, a przede wszystkim odrzucać nadzieję. Jak taka demonstracyjna negacja wszystkiego może się szczerze podobać? Zapytałem o to studentów psychologii, którzy sami określają się jako nihiliści. Usłyszałem zastanawiające odpowiedzi – oto jedna z nich: „Patrząc na mnie, przez moje bolesne i złe doświadczenia życiowe, twórczość Ciorana pomaga mi ochłonąć – że w tym zwątpieniu nie jestem sam, że nie jest ono nadzwyczajne, że zło i rezygnacja istnieją. Cioran daje mi poczucie spokoju, bo skoro on przyjął tę rezygnację, to i moja rezygnacja jest bardziej zrozumiała".

W świecie pustki zatem Cioran staje się wieszczem. ■

TEZY CIORANA NIE SĄ PODPARTE NAUKĄ, MYŚLĄ EUROPEJSKĄ CZY CYTATAMI Z POPRZEDNICH AUTORÓW, LECZ JEGO WEWNĘTRZNYMI PRZEKONANIAMI, INTUICJĄ I DEPRESYJNYM CIERPIENIEM.

eprasa.pl 3207be40fc

Małgorzata Matuszak

Czym jest... pokusa

Pokusa wiąże się nieodłącznie z zakazem, zakazane jest zaś to, co nie nasze, co nam się nie należy i co może nam tylko zaszkodzić. Sprawia, iż zapominamy o tym, że zakazy nas ograniczają, ale i zarazem chronią. To, co przyjemne, pociąga, nawet gdy wiemy, że jest niezdrowe, gdyż ludzkie pragnienie, inaczej niż rozum, nie zna ograniczeń. Rozum pozwala człowiekowi trzymać się ograniczeń narzuconych mu przez naturę, zaś pragnienie każe człowiekowi wykraczać poza przyrodzone mu granice.

Ulegając pokusie, człowiek łamie zakaz zawarty w narzuconych mu granicach, przekracza je, ważąc się na więcej, niż może sobie pozwolić jako człowiek właśnie. Pokusa jest zatem formą wolności negatywnej. Człowiek łamiąc zakaz dla niego samego, aby dowieść sobie swojej mocy, tego, że granice dla niego nie istnieją, wolności bowiem nie zyskuje, lecz ją traci.

Znamy wiele przypowieści o pokusie i uleganiu jej. Jedna wiąże się z opowieścią o raju, gdzie człowiek żył w szczęściu i nieświadomości dobra i zła, a jednocześnie nie był oddzielony od świata natury. Bóg zakazał człowiekowi spożywania owoców z drzewa wiedzy, jednak Ewa złamała zakaz i tym aktem nieposłuszeństwa wobec Boga utraciła raj, dla siebie i dla Adama. Ewa tłumaczy swoje zachowanie tym, że została skuszona przez węża. Ten zaś, kto kusi do złego, składa tym samym fałszywe obietnice spełnienia. Przedstawia złamanie zakazu jako tylko pozornie złe, a uleganie pokusie pokazuje jako w istocie mało szkodliwe i błahe. Kuszony musi więc ulec złudzeniu, że nie czyni niczego szkodliwego, a sam zakaz jest pozbawiony podstaw i tym samym wymierzony w jego wolność.

U podstaw ulegania pokusie tkwi zawsze pewne fałszywe przekonanie, że nie czynimy niczego złego dla siebie, pozwalając się skusić czemuś, co zakazane. Wypieramy ze świadomości zasadność zakazu, aby nas nie obowiązywał. Dlatego pokusa okazuje się silniejsza niż nasza świadomość ograniczeń. To przekroczenie zakazu oznacza wszak brak umiaru, świadomość ludzkiej miary zaś pozwala jej się trzymać i odrzucać to, co kusi do przekroczenia miary. Pokusa łamiąc zakaz obowiązujący człowieka, pozwala mu przekroczyć miarę tego, co ludzkie i co go ogranicza, ale tym samym człowiek oddając się nadmiarowi – szkodzi sobie.

Drugą wielką opowieścią pokazującą, jak człowiek ulegając pokusie, ściąga na siebie zagładę, jest historia o Wieży Babel. Budowali ją ludzie, który chcieli sięgnąć nieba, Bożego majestatu, jednak za tę uzurpację zostali ukarani przez Boga, który pomieszał ich języki i odtąd nie mogli się porozumieć, a przez to kontynuować budowy. W tym przypadku człowiek również chciał przekroczyć swoje ograniczenia: pociągała go wizja sięgnięcia po to, co większe od niego samego. Ta pokusa sięgnięcia po to, co się człowiekowi na ziemi żyjącemu nie należy – nieba – ściąga na niego karę. Człowiek ulegając pokusie, wie, że może go spotkać kara, jednak sięga po to, co zakazane, łudząc się, że nie dosięgnie go sprawiedliwość natury czy też sprawiedliwość Boga.

> U PODSTAW ULEGANIA POKUSIE TKWI ZAWSZE PEWNE FAŁSZYWE PRZEKONANIE, ŻE NIE CZYNIMY NICZEGO ZŁEGO DLA SIEBIE, POZWALAJĄC SIĘ SKUSIĆ CZEMUŚ, CO ZAKAZANE.

Pokusa jest właściwa chyba tylko istocie ludzkiej. Wiąże się ona z pewnym złudzeniem, które każe bagatelizować to, że zło jest złem, i przedstawiać je sobie jako pewną formę dobra. Uleganie pokusie może być przyjemne, a ona sama przedstawiać się jako pewna forma spełnienia dla człowieka, ale w rezultacie jest ona zabójcza dla niego. Człowiek, oddając się pokusom, niszczy siebie, ale nie czyni tego ze złej woli, tylko na mocy pewnego błędu rozpoznania w tym, co złe, jakiegoś pozoru dobra. Jest ten błąd możliwy o tyle, o ile człowiek ma w sobie wpisaną potrzebę bycia kimś więcej, niż jest, a więc przekraczania samego siebie.

Tylko świadomość ograniczeń i wiedza o tym, kim się jest, może ustrzec człowieka przed błędnym przypisywaniem sobie możliwości kogoś, kim nie jest, i sięganiem tego, co niezgodne z nim samym i jego naturą. Tym byłoby trzymanie się własnej, wyznaczonej przez naturę miary, która chroni przed uleganiem pokusom, a więc wiedza o sobie i pokorne jej przyjęcie. ■

eprasa.pl 3207be40fc

Połamane wiosła. Jak komuna niszczyła olimpijczyków z II RP

Piotr Lisiewicz



„Uroczyście uczciła stolica pamięć poległych w latach hitlerowskiej okupacji polskich olimpijczyków" – pisał „Przegląd Sportowy" z 2 grudnia 1968 roku. Na Stadionie Dziesięciolecia odsłonięto tablice ku ich czci. Towarzysz Włodzimierz Reczek, członek KC PZPR, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, który w przyszłości, już w III RP, zostanie odznaczony Orderem Orła Białego przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, w oficjalnym przemówieniu opowiadał o „kaźniach gestapo". Wśród uczczonych ofiar „hitlerowców" znalazł się polski wioślarz, brązowy medalista olimpijski z Los Angeles, Stanisław Urban. Było to kłamstwo. Polski olimpijczyk, więzień Kozielska, został rozstrzelany przez Rosjan w Katyniu. O tym zabraniała mówić służąca Moskwie partia Aleksandra Kwaśniewskiego i Włodzimierza Reczka.

eprasa.pl 3207be40fc



Czwórka ze sternikiem na przystani. Widoczni od lewej: Edward Kobyliński, Stanisław Urban, sternik Jerzy Skolimowski, Janusz Ślązak i Jerzy Braun.

Towarzysz Reczek był ponoć pierwowzorem ministra sportu z „Misia" Stanisława Barei. Zawdzięczał swoje panowanie w polskim sporcie premierowi Józefowi Cyrankiewiczowi. „Nieśmiertelne nauki Józefa Stalina będą dla narodu polskiego gwiazdą przewodnią w pracy i walce o zwycięstwo idei postępu i pokoju. Odszedł Ukochany Wódz i nauczyciel, geniusz ludzkości, ale żyje jego wiekopomne dzieło" – twierdził Reczek po śmierci jednego z największych zbrodniarzy w historii świata. Z kolei w swoim pierwszym przemówieniu po objęciu władzy nad polskim sportem zapowiadał: „Infiltracja wroga klasowego w organizacje sportowe, próby zdobycia wpływu na młodzież musiały i muszą spotkać się z należytą odprawą, czujność musi nas dzisiaj obowiązywać".

Czujność nie zawiodła towarzysza Reczka także w sprawie Stanisława Urbana, gdy kłamał na temat okoliczności jego śmierci. Jego kłamstwo powielały usłużnie peerelowskie gazety. „A gdy wreszcie zapanował pokój, gdy straszliwie okaleczona Polska stanęła do odbudowy, na apelu nie stawiło się wielu Jej synów, którzy jak olimpijczyk Stanisław Urban, znaleźli śmierć w hitlerowskich obozach kaźni" – pisał zgodnie z linią partyjną w propagandowym artykule „Pierwsi w odbudowie" „Przegląd Sportowy" rok później.

Atletyczny „Bulwa" i smaczne obiady żony

Mówili o nim żartobliwie „Bulwa". Nie przypadkiem. Na zdjęciu z igrzysk z Los Angeles z 1932 roku wyróżnia się posturą, atletyczną budową ciała. Trenował także rugby, będąc jednym z najlepszych zawodników warszawskiego AZS. A jeden z kolegów-wioślarzy opisywał go jako „boksera ciężkiej wagi". Ale czy ta budowa była tylko atletyczna? Wiadomo, że na poprzednich igrzyskach z 1928 roku przy wzroście 188 centymetrów ważył zaledwie 73 kilogramy. Janusz Ślązak, jego przyjaciel, także wioślarz-olimpijczyk, żartował, że „Bulwa" „miał najlepszy apetyt wśród naszych wioślarzy i z tego powodu przysparzał dużo kłopotu". Miał przytyć kilkanaście kilo. Jak żartowano, „być może za tak dużą zmianę odpowiadały smaczne obiady serwowane mu przez żonę – Janinę Bereżyńską".

Zanim polscy wioślarze odnieśli sukces, złoty medal na poprzednich igrzyskach zdobył Kazimierz Wierzyński, w dyscyplinie… poezji, za tomik „Laur olimpijski". Jeden z wierszy porównywał mistrzów biegów do wioślarzy:

Jeden ma ręce-wiatraki, drugi wiosłuje stopą,
Jeden jest ludzkim kangurem, drugi jest antylopą.
Jeden jak tank się trzeszczący z boku na bok przewala,
Drugi dmuchnięty powiewem sunie lekko, jak fala.

Poeta Kazimierz Wierzyński był w tamtych latach popularny w Polsce niczym współczesne gwiazdy rocka, więc nastroje wokół występu olimpijczyków były gorące. Jak to było z pierwszym wioślarskim olimpijskim medalem? „2 lipca 1932 r. po południu Stanisław Urban postawił stopę na pokładzie statku SS Pułaski. Kierunek: Los Angeles! W czasie podróży na letnie igrzyska olimpijskie Bulwa – bo tak zwykli zwracać się do Urbana znajomi – starając się utrzymać wysoką formę sportową, trenował z kolegami na specjalnie przygotowanym basenie. Większość wioślarzy, tak jak Staszek, dobrze zniosła morską przeprawę, w przeciwieństwie do lekkoatletów czy szermierzy. Przyzwyczajeni do częstego bujania na wodzie, zachowali dobre humory. Może czuli, że do Miasta Aniołów płyną po olimpijski sukces?" – tak o wyprawie po historyczny medal piszą Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej".

Wyprawa statkiem na igrzyska

Wyprawa trwała długo. Jak czytamy, ponad miesiąc później, we wtorek 9 sierpnia 1932 roku na brzegach Long Beach Marine Stadium, olimpijskiej areny wioślarskiej, pojawili się reprezentanci Polski. Czwórka ze sternikiem w składzie: Edward Kobyliński, Stanisław Urban, Janusz Ślązak, Jerzy Braun i Jerzy Skolimowski rozpoczęła przygotowania do wyścigu. Oprócz Polaków na starcie półfinałów pojawili się Amerykanie, Japończycy, Włosi, Niemcy, Nowozelandczycy i Brazylijczycy. Polacy dzielili szatnię z Francuzami.

To były pierwsze tak nowoczesne igrzyska. Media zachwycały się pierwszą specjalnie wybudowaną wioską olimpijską, stadionem na 105 tysięcy widzów, a także fotokomórką, służącą ustalaniu dokładnej kolejności na mecie i jeszcze jedną nowością – trójstopniowym podium. Hymn olimpijski wykonał dwutysięczny chór.

W Los Angeles czekały na polskich wioślarzy luksusy. „Wspaniale urządzony był pokój do natrysków. Kilka rzędów kranów pozwalało mieć wodę od bardzo gorącej, aż do zupełnie zimnej. Ręczniki, mydło i japońskie trepy do wkładania na bosą nogę – darmo. Stale był też czynny gabinet dyżurnego lekarza i waga do ważenia zawodników" – czytamy w publikacji „Polacy na Igrzyskach X Olimpiady w 1932 r.".

„Wielki sukces w mieście Aniołów"

„Wielki sukces w mieście Aniołów" – tak o polskim brązowym medalu pisała prasa. Jak do niego doszło? Jak piszą Stokłosa i Wójcik, wioślarze Edward Kobyliński, Stanisław Urban, Janusz Ślązak, Jerzy

eprasa.pl 3207be40fc

Braun i Jerzy Skolimowski zmagania olimpijskie rozpoczęli w drugim półfinale, 9 sierpnia 1932 roku, o godzinie 15.20. Na trybunach wzdłuż toru zasiadły tysiące widzów. „Polacy rywalizowali z gospodarzami, czyli Amerykanami, oraz Japonią. Nie byli faworytami" – czytamy. Mimo to wygrali półfinał, co szeroko komentowano, a słowo „medal" zaczęło pojawiać się wśród prognoz sprawozdawców.

Trzy dni później był olimpijski finał, w którym Polacy zmierzyli się z Włochami, Niemcami Nowozelandczykami. „Czwórka polska, wyruszywszy źle ze startu, znajdowała się aż do tej chwili, na czwartym miejscu za Nową Zelandią. Począwszy od 500 m osady niemiecka i polska przyspieszają tempo, dzięki czemu Niemcy zbliżają się do Włochów na jedną długość, zaś Polska wyprzedza Nową Zelandię, a później nawet wysuwa się na drugie miejsce tuż za osadą włoską. Na 1400 m Niemcy wspaniałym zrywem mijają znów Polskę i zbliżają się o 3 długości do osady włoskiej. Czwórka polska widocznie słabnie i rezygnuje z walki o lepsze miejsce" – relacjonował najpopularniejszy polski magazyn „Ilustrowany Kuryer Codzienny". Mimo to radość z brązowego medalu była wielka.

„O tym, jak mocną i ważną grupą sportowców stali się w międzywojennej Polsce wioślarze, świadczy fakt, że na igrzyska olimpijskie do Los Angeles wysłano łącznie 20 zawodników, przedstawicieli tylko trzech dyscyplin: lekkoatletyki, szermierki i właśnie wioślarstwa. Działacze postawili na jakość, a nie na ilość – sytuacja gospodarcza w kraju zwyczajnie nie pozwalała na inną politykę. Koszty podróży i pobytu w Stanach Zjednoczonych były ogromne. Za Atlantyk popłynęli więc najlepsi z najlepszych i… rozbili bank. Dwudziestu olimpijczyków wróciło do Polski z siedmioma medalami: dwoma złotymi, jednym srebrnym i czterema brązowymi" – czytamy w „Sportowcach dla Niepodległej".

Konspiracja wioślarska

Stanisław Urban urodził się w Warszawie, w rodzinie Jana i Stefanii z Kuleszów. Kiedy? Według jednej z wersji 13 września 1907. Bogdan Tuszyński, znany dziennikarz sportowy, pisał, że co do daty jego narodzin pojawiają się trzy wersje: 1906, 1907 i 1910 rok. Nie było to wówczas przypadkiem odosobnionym. Urban z wykształcenia był handlowcem, jednak od wczesnych lat uprawiał wioślarstwo i rugby, postrzegane wówczas jak dyscyplina brutalna, niebezpieczna, grożąca kontuzjami. Natomiast za wioślarstwem stała już poważna tradycja.

Tego, dlaczego Urban miał zginąć w przyszłości w Katyniu, nie sposób zrozumieć bez znajomości historii polskiego wioślarstwa, mocno związanego z patriotyzmem i walką o niepodległość Polski. Mimo zakazu zakładania na terenie zaboru rosyjskiego polskich organizacji sportowych, wśród warszawskich mieszczan narodził się po powstaniu styczniowym pomysł utworzenia towarzystwa wioślarskiego dla Polaków. Efemeryczne grupy wioślarzy powstawały od 1873 roku. Dopiero w 1878 roku grupa 11 osób pod przewodnictwem kupca Antoniego Chojnackiego i rzemieślnika Władysława Deniszczuka utworzyła działające nielegalnie koło koleżeńsko-wioślarskie.

„O zachowanie polskości"

„Pierwszym klubem założonym w Warszawie był niemiecki Yacht Club Rzeczny (1872). W 1878 roku powstał pierwszy polski klub sportowy Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie, które oprócz działalności rekreacyjnej i sportowej odegrało również znaczącą rolę w walce o zachowanie polskości" – czytamy na stronie Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich. Pierwszą polską łódź wiosłową „Nimfa" zbudowano w warsztacie stolarza Mianowicza, a pierwszą przystanią była barka zakotwiczona na Wiśle u wylotu ulicy Bednarskiej.

W czerwcu 1882 roku dzięki staraniom pierwszego prezesa związku, doktora Henryka Stankiewicza, władze carskie zatwierdziły pierwszy statut zwany „Ustawą WTW". Nie było w nim oczywiście oficjalnie nic o działalności patriotycznej. Zgodnie ze statutem, celem towarzystwa było „zachęcanie ludności miejscowej do jazdy na łodziach wiosłowych i żaglowych jako też na statkach parowych". Kolejne polskie towarzystwa wioślarskie pojawiły się w innych miastach zaboru rosyjskiego, następnie austriackiego, zaś najpóźniej na terenie zaboru pruskiego. Pierwszy założony w tym zaborze był poznański Klub Wioślarski z 1904 roku, a kolejnym powstały w 1912 roku PTW „Tryton".

Wioślarze Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus

Polscy wioślarze z poszczególnych zaborów zaczęli ze sobą współpracować jeszcze w niewoli. „Funkcjonowanie na ziemiach polskich w pierwszej dekadzie XX wieku kilkunastu towarzystw wioślarskich wykazało potrzebę współpracy organizacyjnej i sportowej. Stąd w 1908 roku doszło do powołania Międzyklubowej Komisji Regatowej, prekursorki Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich. Oprócz międzyklubowych narad i regat organizowała ona przed I Wojną Światową zloty (spływy) wioślarskie" – dowiadujemy się ze wspomnianego artykułu.

W przystani związku organizowano bale, tańce i odczyty polskiej poezji. Klub organizował też uroczy-

eprasa.pl 3207be40fc

stości „wianków", które były demonstracją narodową. Przy WTW działały też chór Duda, śpiewający polskie pieśni, oraz teatr amatorski. Masowo obchodzono polskie uroczystości patriotyczne.

Plutony wioślarzy w umundurowaniu klubowym

Członkami związku wioślarzy byli wówczas także Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus. Zaborcy mało przychylnie patrzyli na uprawianie przez Polaków sportu, widząc w tym zagrożenie dla swojej władzy. Po zburzeniu mostów warszawskich i wkroczeniu armii niemieckiej do Warszawy w 1915 roku, WTW zorganizowało transport ludności przez Wisłę. Podczas wojny z bolszewikami w 1920 roku to samo WTW wystawiło do obrony mostów i przepraw sześć uzbrojonych plutonów w umundurowaniu klubowym.

Jak piszą Stokłosa i Wójcik, rozwój wioślarstwa u progu jego sukcesów nie był łatwy. „Okres wojny światowej, a zwłaszcza bolszewickiej – był naturalnie okresem osłabienia ruchu wioślarskiego. Zniszczenie inwentarza, w niektórych towarzystwach prawie doszczętne, trudne warunki finansowe oraz odpływ najżywotniejszych i najczynniejszych wioślarzy do wojska wpłynęły na zupełne prawie zamarcie i zatrzymanie rozwoju wioślarstwa" – pisało czasopismo „Stadjon" w 1925 (nr 22).

Za to w II RP ten sport rozwijał się szybko. W 1920 roku na pierwszych regatach w Brdyujściu pojawiło się osiem drużyn, czyli razem 85 zawodników. W 1939 roku, przed wybuchem II wojny światowej, istniały już 73 kluby wioślarskie w 41 miastach.

Czerwone koszulki z orłami i sprzęt do remontu

„Przygodę z wiosłami rozpoczął w Kole Wioślarzy Warszawskich, przemianowanym w 1927 r. na Klub Wioślarski »Wisła«. Następnie wstąpił w szeregi AZS Warszawa, by na koniec kariery zawodniczej zasilić WTW" – czytamy o Stanisławie Urbanie w „Sportowcach dla Niepodległej".

Urban szybko awansował do grona czołowych polskich wioślarzy, choć czy pojedzie w 1928 roku na igrzyska do Amsterdamu – nie było pewne, a to z racji wysokich kosztów takiej podróży, bo nie dość, że zawodników i trenerów dużo, to sporo trzeba wydać na transport łodzi. „O ile kostiumy reprezentantów – czerwone koszulki z orłami, białe spodnie, czapki i szafirowe stroje treningowe – były piękne i nowe, o tyle sprzęt wioślarski należało wyremontować" – pisało o przygotowaniach czasopismo „Sport Wodny".

„Ostatecznie Staszek Urban znalazł się w składzie na igrzyska i spisał się na nich bardzo przyzwoicie. Na otwarcie zmagań na kanale w Sloten – olimpijskiej arenie wioślarskiej – Bulwa i spółka pokonali mistrzów Europy z 1926 r., pewnych siebie Holendrów. Następnie nasi reprezentanci musieli uznać wyższość Brytyjczyków, późniejszych srebrnych medalistów, ale dzięki dobrej postawie w repasażach z Argentyną dotarli do trzeciej rundy. Niestety dostali w niej gorszy, nieosłonięty od wiatru tor i na finiszu zostali wyprzedzeni przez rywali – Kanadyjczyków" – relacjonował „Przegląd Sportowy" w tekście „Polacy w elicie wioślarskiej świata".

Gdy we wrześniu 1939 roku Niemcy zaatakowały Polskę, Stanisław Urban walczył w wojnie obronnej jako podporucznik rezerwy.

Skandal przed igrzyskami

Medal Polaków na kolejnych igrzyskach w Los Angeles przyćmił poprzedzający je skandal, do którego doszło na początku 1932 roku. „W murach warszawskiego AZS początek 1932 r. okazał się chłodny. Śnieżne zaspy otuliły okoliczne drogi – ale to nie zimowa aura sprawiła, że w klubie kilka osób było wyraźnie roztrzęsionych. Wszystko przez wioślarzy, bo oto Jerzy Braun, Edward Kobyliński, Janusz Ślązak i Stanisław Urban pokłócili się z działaczami. Konflikt był na tyle poważny, że cała czwórka spakowała manatki i odeszła do Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego (WTW). Echo sprzeczki jeszcze długo niosło się po warszawskich ulicach. Gazety traktowały konflikt w AZS jako zły prognostyk przed zbliżającymi się igrzyskami w Los Angeles" – piszą Stokłosa i Wójcik.

Być może chodziło o to, czy WTW faktycznie chce wysłać najlepszych na igrzyska? „Trzeba wiedzieć, że tylko Budziński i Mikołajczak nie budzili zastrzeżeń, nikt nie negował ich supremacji w kraju. Natomiast cztery faski: Braun, Ślązak, Urban, Kobyliński, starzy wioślarze AZS-u X razy bici przez poznańskie… wio-

eprasa.pl 3207be40fc

senną eliminację wygrali fuchsem, nieprzekonywująco" – czytamy w artykule „W wirze stolicy. Szermierka i wioślarka", opublikowanym przez „Słowo" z 1932 roku (nr 199, s. 2).

Na regaty z młodzieżą

Po opisanym wcześniej sukcesie w Los Angeles, Urban brał udział w mistrzostwach Europy w Budapeszcie w 1933 roku, odniósł też wiele sukcesów krajowych. Był mistrzem Polski w czwórkach ze sternikiem w 1933 roku i wicemistrzem w tej konkurencji w 1930 roku. Czterokrotnie zdobywał też brązowe medale mistrzostw Polski w ósemkach (1930, 1931), czwórkach bez sternika (1929) i dwójkach ze sternikiem (1931).

W 1934 roku Urban wywalczył wicemistrzostwo kraju w dwójce ze sternikiem. A zakończył zawodniczą karierę i poświęcił się szkoleniu młodzieży, z którą jeździł na regaty. Wokół żeglarstwa nadal organizowane było polskie życie kulturalne. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne WTW organizowało hucznie obchodzone nad Wisłą „wianki" oraz bale karnawałowe.

Cała olimpijska czwórka ze sternikiem wierna Polsce

Gdy we wrześniu 1939 roku Niemcy zaatakowały Polskę, Stanisław Urban walczył w wojnie obronnej jako podporucznik rezerwy. To niesamowite, ale wszyscy olimpijscy medaliści z Los Angeles zachowali się tak samo.

Dowcipniś Janusz Ślązak w czasie kampanii wrześniowej walczył w stopniu podporucznika rezerwy w składzie Armii „Modlin". Po dostaniu się do niewoli, przebywał m.in. w oflagu Woldenberg.

Edward Kobyliński w kampanii wrześniowej walczył w 36. pułku piechoty Legii Akademickiej, a szlak bojowy zakończył bitwą pod Kockiem.

Jerzy Braun walczył w stopniu plutonowego podchorążego rezerwy, w kampanii wrześniowej. Potem uniknął niewoli i przedostał się na Bliski Wschód. Trafił do Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. W składzie Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, a od maja 1942 roku 3. Dywizji Strzelców Karpackich, brał udział w obronie Tobruku oraz bitwie o Monte Cassino, gdzie został dwukrotnie ranny. 1 marca 1944 roku awansowany został na stopień podporucznika. Dwa razy został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po wojnie pozostał na wygnaniu w Wielkiej Brytanii. Zmarł 8 marca 1968 roku w Crawley koło Londynu, gdzie został pochowany.

Jerzy Skolinowski również walczył w wojnie obronnej. Po przegranej jesienią 1939 roku przedostał się na Węgry. Został uwięziony w miejscowości Tokaj. W styczniu 1940 roku uciekł z więzienia i przybył do Francji. Wstąpił do Armii Polskiej w Bressuire. Za czyny bojowe w Wogezach został odznaczony Orderem Virtuti Militari. W czerwcu 1940 roku został internowany w Szwajcarii. Latem 1941 roku uciekł i trafił do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Uczestniczył w kampanii afrykańskiej. Brał udział w bitwie o Tobruk.

We wrześniu 1944 roku spadochroniarz Akcji Kontynentalnej został zrzucony w okolicach Lamii. Zorganizował dezercję ponad 120 Polaków ze Śląska i Pomorza z niemieckich okrętów w porcie Valos do 2. Korpusu Polskiego we Włoszech. Następnie kontynuował działalność wywiadowczą. Jako oficer Secret Intelligence Service (Cpt. George Deen) został zrzucony na Bałkanach. Po wojnie zamieszkał w Londynie. Pracował jako architekt pod nazwiskiem George Skolly. W 1948 roku został odznaczony Królewskim Medalem za Odwagę. W latach 1949–1952 był wykładowcą na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie. Był projektantem Polskiego Cmentarza Wojennego na Monte Cassino.

Według historyków, w czasie wojny zamordowanych zostało ponad 50 członków WTW – w kampanii wrześniowej, w Katyniu, w obozach niemieckich, w egzekucjach, na frontach, w Auschwitz i w Powstaniu Warszawskim.

Prawda ofiarą sowieckiej zbrodni

Stanisław Urban trafił do sowieckiej niewoli. Jak ujawnił Bogdan Tuszyński, jego nazwisko znalazło się na listach Moszyńskiego i Tucholskiego wśród więźniów obozu w Kozielsku. W Katyniu zamordowany został strzałem w tył głowy.

W „Sportowcach dla Niepodległej" czytamy: „W książkach wydanych przed 1989 r. można natrafić na krótkie biogramy Bulwy. Część z nich podaje, że zginął on »w wojennej zawierusze«. Inne, przykładowo »Mała encyklopedia sportu«, informują, jakoby zmarł… w obozie koncentracyjnym. Ani słowa o Katyniu. Kolejną ofiarą sowieckiej zbrodni – po tysiącach wymordowanych polskich oficerów – stała się prawda".

PRL postanowiła też zniszczyć wioślarskie patriotyczne tradycje. W ramach socjalistycznej reformy sportu nakazano wioślarzom wstąpić do Zrzeszenia „Związkowiec", gdzie WTW miał działać jako sekcja. Następnie sekcję tę wcielono do klubu Skra Warszawa, której władze usunęły 400 dotychczasowych członków WTW, zostawiając w sekcji jedynie młodzież, poddawaną stalinowskiej indoktrynacji. ■

eprasa.pl 3207be40fc



Patrol kawalerii. Pierwszy z prawej rtm. Zdzisław Nurkiewicz „Noc”, „Nieczaj”, trzeci z prawej por. Adolf Pilch „Góra-Dolina”, Kampinos, wrzesień 1944 rok. (fot. AIPN)

Wyrok w imieniu Moskwy

Dariusz Jarosiński



eprasa.pl 3207be40fc



Rotmistrz Zdzisław Nurkiewicz „Noc", „Nieczaj" (w środku) ze swoimi kawalerzystami, obok sanitariuszka Urszula Koczarska „Ula" (później Downar-Zapolska), jesień 1944 roku.

Zdzisław Nurkiewicz ścigany był od 1 grudnia 1943 roku przez Sowietów, a od stycznia 1945 roku przez komunistyczne władze PRL; wielokrotnie zmieniał nazwisko, miejsce zamieszkania i pracy, nie mógł kontaktować się z rodziną, dziećmi. Zadenuncjowany przez bliską mu osobę, został aresztowany przez SB 12 stycznia 1959 roku. 15 miesięcy przebywał w areszcie do rozprawy sądowej. W czasie śledztwa poddany został potwornym torturom. Ponad 10 lat spędził w więzieniach. Więzienie opuścił ze względu na zły stan zdrowia. Ten wcześniej zdrowy, silny mężczyzna musiał poruszać się o lasce.

FOT. ARCH. (2)

Zielona Góra była w czasach Peerelu stolicą piosenki sowieckiej. „Pust wsiegda budiet słonce" – śpiewano. Wydaje się, że nie bez powodu komuniści wyróżnili tak to miasto. 25 marca 1960 roku Sąd Wojewódzki w Zielonej Górze, po 12 dniach pokazowego procesu, skazał byłego dowódcę 27. Pułku Ułanów Armii Krajowej, kawalera orderu Virtuti Militari, trzykrotnie odznaczonego Krzyżem Walecznych, chorążego/rotmistrza Zdzisława Nurkiewicza ps. „Noc", „Nieczaj" na karę śmierci. Wyrok został wydany na mocy dekretu Krajowej Rady Narodowej z dnia 31 sierpnia1944 roku „dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy i zdrajców narodu". Pod wyrokiem podpisali się sędziowie Mieczysław Piosik i Stanisław Matyjaszczyk. Dwóch ławników nie zgodziło się z opinią sądu i wyraziło zdanie odrębne od wydanego wyroku. W oczekiwaniu na wykonanie wyroku Zdzisław Nurkiewicz przebywał dziewięć miesięcy w celi śmierci. W wyniku apelacji, a także nacisków polskich środowisk emigracyjnych, kombatanckich związanych z Armią Krajową, Sąd Najwyższy w Warszawie 15 grudnia 1960 roku zmienił wyrok kary śmierci na karę 15 lat więzienia.

Czym rtm. Nurkiewicz „Noc", „Nieczaj" zasłużył sobie na karę śmierci z rąk komunistów?

Ułan z Nieświeża

Zdzisław Nurkiewicz urodził się w 1901 roku we Włocławku. Jego ojciec był podoficerem w armii carskiej, grał w orkiestrze wojskowej. Zdzisław uczęszczał do liceum ojców Salezjanów w Aleksandrowie Kujawskim. Jako zastępowy drużyny harcerskiej ze swoją drużyną oraz z członkami Polskiej Organizacji Wojskowej rozbrajał w 1918 roku Niemców w Aleksandrowie i Inowrocławiu. Rok później prosto z ławki szkolnej poszedł na ochotnika do wojska, aby bić bolszewików. Walkę zakończył pod koniec września 1920 roku w 31. Pułku Strzelców Kaniowskich po zwycięskiej bitwie warszawskiej. Za dzielną postawę został odznaczony po raz pierwszy Krzyżem Walecznych. Później jeszcze dwukrotnie otrzymał to odznaczenie.

Po demobilizacji powrócił do domu, ale nie na długo. Postanowił związać swoje życie z wojskiem. Razem z ojcem i stryjecznymi braćmi wstąpili do nowo tworzącego się w Inowrocławiu 27. Pułku Ułanów. Wkrótce pułk został przeniesiony do Nieświeża, miasta Radziwiłłów, jednego z najpiękniejszych polskich miast na Kresach. Wschodnia granica była niespokojna, trzeba było jej bronić przed napadami czerwonych band, od 1924 roku granicy strzegli żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza.

Patronem 27. Pułku Ułanów został król Stefan Batory, pogromca Moskali, założyciel Nieświeża. W IX Brygadzie Jazdy w Baranowiczach, w skład której wchodził 27. Pułk Ułanów, Zdzisław ukończył z pierwszą lokatą szkołę dla

eprasa.pl 3207be40fc

zawodowych podoficerów i chorążych. Jako prymus szkoły otrzymał honorową szablę oraz nominację na szefa podoficerskiej szkoły pułkowej. W czasie służby był wielokrotnie nagradzany, wyróżniany, zdobył wiele trofeów na zawodach sportowych.

W 1924 roku młody ułan ożenił się z Marią Serafinowicz, z którą miał troje dzieci. Zdzisław Rafał był synem pierworodnym. Rok 1927 okazał się nieszczęśliwy – zmarła żona Maria i dwuletnia córeczka. Później Zdzisław Nurkiewicz ożenił się po raz drugi z Józefą Hrynkiewicz.

We wrześniu 1939 roku przeszedł cały szlak bojowy w wojnie obronnej ze swoim 27. Pułkiem Ułanów. Szlak prowadził przez Lidzbark, Działdowo, Mławę, Modlin. Walczył w zwycięskiej szarży kawaleryjskiej pod Morańcami. Pod koniec września został ciężko ranny pod Samborem. Generał Władysław Anders, dowódca Nowogródzkiej Brygady Kawalerii, w której składzie walczyli ułani z Nieświeża, awansował Nurkiewicza do stopnia chorążego i przedstawił do odznaczenia Krzyżem Virtuti Militari.

Rany leczył m.in. w szpitalu koło Piotrkowa Trybunalskiego. Na początku 1940 roku wraz z bratem stryjecznym Edmundem po wielu perypetiach dotarli do Nieświeża do rodziny. Tam został aresztowany przez enkawudzistów, jednak szczęśliwie udało mu się zbiec z transportu na wschód i spotkać na krótko z żoną i dziećmi w miejscowości Starzynki. Zagrożony ponownym aresztowaniem, musiał ewakuować się do Warszawy.

W Puszczy Nalibockiej

Do Nieświeża powrócił w lipcu 1941 roku, wkrótce po napaści Niemiec na Związek Sowiecki. Okazało się, że 13 kwietnia 1940 roku żona Józefa wraz z dziećmi, Stefanem, Zbyszkiem, Jaśkiem i Danusią, zostali zesłani do Kazachstanu. Zesłania uniknął jedynie najstarszy syn Zdzisław Rafał. W Obwodzie Nieśwież zorganizował struktury ZWZ-AK, stworzył tam podlegającą organizacji dywersyjnej „Wachlarz" tajną placówkę o kryptonimie „Strażnica" i został jej pierwszym komendantem. Po dekonspiracji IV odcinka „Wachlarza", w maju 1942 roku przeszedł na teren Obwodu AK Stołpce, przyjął pseudonim „Bator" i nawiązał kontakt z komendantem Obwodu AK Stołpce por. Aleksandrem Warakomskim „Świrem" oraz kpt. Józefem Wierzbickim „Józefem" – inspektorem AK na obwody Stołpce, Nieśwież i Baranowicze.

Pracował w okolicach Stołpców jako buchalter, administrator w majątkach ziemskich. Zmieniał je często, aby nie zostać zdekonspirowanym, ale też dzięki temu poznawał okoliczny teren, ludzi, werbował ochotników do organizacji, kompletował sprzęt, siodła. Przygotowywał się do mobilizacji. Już wówczas jego wielkim marzeniem było odtworzenie 27. Pułku Ułanów.

Stołpce leżą na prawym brzegu rzeki Niemen. Tutaj znajdowała się graniczna stacja kolejowa przed granicą polsko-sowiecką. Na północ od miasteczka rozciąga się przepastna Puszcza Nalibocka, na początku wojny znajdowali tutaj schronienie Polacy zagrożeni wywózką do łagrów, na Syberię. Po wybuchu wojny niemiecko-bolszewickiej puszcza stała się siedliskiem sowieckich żołnierzy, którzy nie zdążyli ewakuować się przed napaścią Niemców w czerwcu 1941 roku. Dowództwo nad nimi objęli przerzuceni samolotami z Moskwy oficerowie, politrucy, aby bezładną, prawie 10-tysięczną zbieraninę przekształcić w zwarte oddziały partyzanckie. Sowieccy partyzanci traktowali te tereny jako swoje, głównym ich wrogiem nie byli Niemcy, a polscy mieszkańcy wsi i polskie podziemie zbrojne. Tereny puszczy stały się też schronieniem żydowskich rodzin. Żydzi utworzyli dwa duże obozy liczące około 1200 osób – pierwszym dowodzili bracia Bielscy, drugim Simcha Zorin. Wbrew nazwie „oddział" ugrupowania żydowskie nie walczyły z Niemcami. Były to bandy rabunkowe penetrujące polskie wsie i miasteczka.

Zarekwirowana przez bolszewików po wsiach żywność wywożona była samolotami do Moskwy. Pod koniec 1942 roku Sowieci zarządzili przymusowy pobór do swoich oddziałów. Otaczali wieś i zabierali młodych ludzi do sowieckich brygad, za dezercję karani byli rodzice. Mieszkańcy polskich wiosek organizowali oddziały samoobrony, ale na niewiele się one zdały.

8 maja 1943 roku oddziały sowieckich partyzantów z Brygady im. Stalina oraz oddział żydowski braci Bielskich zaatakowały miejscowość Naliboki. Bandyci zamordowali 128 polskich mieszkańców, także kobiety i dzieci. Spalili kościół, szkołę, pocztę, remizę i część domów mieszkalnych, osadę ograbiono. Wśród napastników świadkowie rozpoznali swoich niedawnych sąsiadów narodowości żydowskiej. Masakra bezbronnej polskiej ludności została przedstawiona w raportach sowieckich jako olbrzymi sukces militarny. Żydowscy zbrodniarze z oddziału Bielskich doczekali się po latach gloryfikacji – na podstawie książki Nechamy Tec powstał w Hollywood film „Opór" w reżyserii Edwarda Zwicka, w którym w rolę Tewjego Bielskiego wcielił się brytyjski aktor Daniel Craig, odtwórca roli Jamesa Bonda.

Mobilizacja

Po bolszewickim napadzie na Naliboki zintensyfikowane zostały działania zmierzające do powstania oddziału zbrojnego AK. Mobilizację przeprowadził 3 czerwca 1943 roku por. Kasper Miłaszewski „Lewald", zawodowy oficer Wojska Polskiego pochodzący z ziemi stołpeckiej. Do oddziału przyjmowano tylko uzbrojonych ochotników, a do kawalerii ponadto z własnym koniem. Zgłaszali się zaprzysiężeni wcześniej chłopcy, po wojskowym przeszkoleniu w warunkach konspiracyjnych. „Zbiórka odbyła się w majątku Kul. Zgłosiłem się ja, plut. [Józef] Niedźwiecki »Lawina«, wachm. [Jan] Jakubowski »Dąb«, dopro-

eprasa.pl 3207be40fc

wadzając łącznie ok. 40 konnych żołnierzy. Do tego doszły trzy zaprzęgi konne z prowiantem i furażem dla koni. I to właśnie był zalążek 27. Pułku Ułanów AK im. Króla Stefana Batorego" – wspominał po latach chor. Nurkiewicz. W ten sposób powstał Polski Oddział Partyzancki, zwany powszechnie polskimi legionami, pod dowództwem por. „Lewalda". Wkrótce uzyskał nazwę Batalion Stołpecki.

Po dwóch tygodniach od dnia mobilizacji oddział liczył 150 partyzantów. Chętnych do wstąpienia do oddziału nie brakowało, zdecydowanie gorzej było z uzbrojeniem. Sowieccy partyzanci otrzymywali broń ze zrzutów z Moskwy, polscy partyzanci nowogródzcy musieli zdobywać broń we własnym zakresie.

19 czerwca 1943 roku Batalion Stołpecki przeszedł swój chrzest bojowy. Tuż przed południem partyzanci zaatakowali niemiecki garnizon obsadzony przez 700 niemieckich żandarmów i białoruskich kolaborantów w miasteczku Iwieniec. Polscy partyzanci wykorzystali kompletne zaskoczenie Niemców. Walki trwały 18 godzin, zakończyły się 20 czerwca o godzinie 3 nad ranem. Partyzanci rozbili miejscowe więzienie, skąd wypuścili na wolność więźniów, zajęli ważne dla miasta budynki. Zabitych zostało ponad 100 niemieckich żołnierzy i konfidentów, straty własne były niewielkie – kilku zabitych. Zdobycz akowców była niewyobrażalna: 70 furmanek wyładowanych bronią, amunicją, sprzętem, żywnością. Ponad 100 białoruskich policjantów przystąpiło dobrowolnie do oddziału por. „Lewalda". Wydarzenie to przeszło do historii jako powstanie iwienieckie. Po tej akcji Batalion Stołpecki założył dwa obozowiska w Puszczy Nalibockiej w pobliżu jeziora Kromań. Liczył około 300 partyzantów.

W odwecie za akcję na iwieniecki garnizon w połowie lipca 1943 roku Niemcy przeprowadzili wielką operację pod kryptonimem „Hermann", skierowaną przeciwko polskim i sowieckim partyzantom. Do przeprowadzenia operacji zaangażowali niespotykane do tej pory siły wojska. Na terenie objętym pacyfikacją spalili 60 wiosek, zamordowali ponad 4 tys. bezbronnych mieszkańców puszczańskich wiosek, ponad 20 tys. osób wywieźli na roboty do Niemiec.

Wkrótce do AK w Puszczy Nalibockiej zaczęli jednak napływać nowi ochotnicy, w tym wiele osób, które zbiegły przed wywózkami na roboty do Niemiec. We wrześniu 1943 roku dowództwo nad Batalionem Stołpeckim objął cichociemny, ppor. Adolf Pilch „Góra". Początkowo wzbraniał się przed przyjęciem tej funkcji, tłumacząc to nieznajomością terenu, ludzi, a już wkrótce okazał się jednym z najlepszych dowódców partyzanckich II wojny światowej.

W tym okresie Batalion Stołpecki liczył około 400 żołnierzy. Tylko latem i jesienią 1943 roku grupa ta przeprowadziła 52 akcje wymierzone przeciwko Niemcom oraz posiłkującym ich policjantom białoruskim, podczas których m.in. przeprowadzono wspomnianą akcję na Iwieniec, zniszczono trzy mosty, wykolejono trzy pociągi.

Sowiecki podstęp

Sowieci z niepokojem obserwowali rosnący w siłę Batalion Stołpecki, choć początkowo stosunki pomiędzy nimi a oddziałem AK układały się poprawnie. Sytuacja zmieniła się jesienią 1943 roku. W początkach listopada do Batalionu Stołpeckiego przybyło czterech oficerów z Warszawy z Komendy Głównej AK, m.in. mjr Wacław Pełka „Wacław", w celu uzgodnienia współdziałania między oddziałami sowieckimi a polskim. Sowieci jednak już przygotowywali plan likwidacji polskiego oddziału. 14 listopada Pantelejmon Ponomarienko, szef Centralnego Sztabu Ruchu Partyzanckiego w Moskwie, wydał w depeszy zgodę na rozbrojenie i zniszczenie Batalionu Stołpeckiego.

Bolszewicy powtórzyli ten sam podstęp jak w przypadku oddziału AK por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica" nad jeziorem Narocz na Wileńszczyźnie w sierpniu 1943 roku. Na dzień 1 grudnia zaprosili 10 polskich oficerów na czele z por. Kasprem Miłaszewskim i mjr. Wacławem Pełką do obozu dowódcy sowieckiego zgrupowania, Czernyszewa. Wszyscy polscy oficerowie zostali tam rozbrojeni i aresztowani. W tym samym czasie sowieckie oddziały zaskoczyły i rozbroiły pozbawionych dowódców polskich partyzantów przebywających w swoich obozach. Wobec przeważających sił bolszewików tylko nieliczni akowcy podjęli obronę.

Tak o tych wydarzeniach pisał prof. Bogdan Musiał: „1 grudnia i w dniach następnych Sowieci wzięli do niewoli około 290 »legionistów«, rozbroili ich, niektórych rozstrzelali. Spośród 10 aresztowanych oficerów 5 zostało rozstrzelanych na miejscu, pozostałych, w tym Miłaszewskiego, przesłuchano, a następnie, w nocy z 13 na 14 stycznia 1944 roku, przewieziono samolotem i tam przekazano »Smierszowi«. Reszta polskich partyzantów została wcielona pod przymusem do oddziałów sowieckich, wielu z nich, głównie dowódców, później skrytobójczo zamordowano. Większość partyzantów wcielonych do oddziałów sowieckich zdezerterowała w ciągu kolejnych tygodni i miesięcy. Około 70 zdołało zbiec, natomiast 50 zginęło podczas próby ucieczki". Przebiegiem i wynikami całej operacji osobiście interesował się Stalin.

Uratowało się jedynie 20 partyzantów ppor. Adolfa Pilcha „Góry" i 40 kawalerzystów chor. Nurkiewicza „Nocy". „Noc" ze swymi jeźdźcami stacjonował w innym miejscu niż reszta oddziału.

Polscy żołnierze nie mieli szans na przetrwanie – z jednej strony mieli Niemców, z drugiej sowieckich partyzantów w sile niemal 10 tysięcy. Walka z dwoma wrogami byłaby samobójstwem. 9 grudnia ppor. „Góra", który objął dowodzenie nad ocalałymi żołnierzami,

eprasa.pl 3207be40fc

zdecydował się na desperacki krok i zawarł we wsi Kulszyce porozumienie z Niemcami o terminowym zawieszeniu broni, a także dozbrojeniu swojego oddziału, by móc bronić się przed Sowietami. Ppor. „Góra" z chor. „Nocą" uratowali w ten sposób nie tylko partyzantów przed zagładą, ale również setki, a może tysiące, polskich mieszkańców Kresów.

W książce wspomnieniowej „Partyzanci trzech puszcz" Adolf Pilch pisał: „Tak się rozpoczął okres współpracy, który trwał do końca czerwca, czyli przeszło pół roku. Przez cały czas częściowo otrzymywaliśmy od Niemców amunicję, broń zaś i większość amunicji kupowaliśmy od nich za słoninę, mięso, kury itp. produkty żywnościowe. Stosunek ich do nas przez cały czas był poprawny. Od razu zameldowałem o tym do KO [Komendy Okręgu] w Lidzie i otrzymałem aprobatę mojego kroku […]".

Podobnych porozumień lokalnych zawartych z Niemcami przez dowódców innych oddziałów AK na północno-wschodnich Kresach było kilka. Większe zagrożenie dla polskich mieszkańców Kresów stanowili bolszewicy i bandy rabunkowe aniżeli Niemcy. Komenda Główna AK, realizująca politykę Rządu RP na Uchodźstwie Stanisława Mikołajczyka, traktowała Sowietów jako sojusznika naszych sojuszników, czyli aliantów, nie rozumiała, że sytuacja oddziałów AK na Kresach była inna niż w Polsce centralnej. (Alianci zresztą i tak sprzedali nas bolszewikom). KG AK poleciła karać tych dowódców AK, którzy walczyli z Sowietami i przyjęli pomoc od Niemców.

„Ignorowanie przez dowództwo AK zarówno w Wilnie, jak i w Warszawie, rzeczywistości polegającej na tym, iż oddziały AK walczyły już od dawna z partyzantką sowiecką, doprowadziło do samobójczego oddania w ręce sowieckie w lipcu 1944 r. bez mała całej wileńskiej i nowogródzkiej organizacji wojskowej" – pisał Zbigniew S. Siemaszko w recenzji książki Józefa Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić", która ukazała tragizm polskiej AK na Kresach.

Jeźdźcy „Nocy"

Jeźdźcy chor. Nurkiewicza natychmiast po 1 grudnia podjęli bezpardonową walkę z partyzantami Czernyszowa, jak wynika z sowieckich raportów, kawalerzyści „Nocy" schwytali 70–120 partyzantów sowieckich.

Doszło do lokalnej wojny partyzanckiej polsko-bolszewickiej. Ppor. Pilch „Góra" ponownie odbudował oddział, tworząc Zgrupowanie Stołpeckie, którego ważnym członem był 27. Pułk Ułanów AK dowodzony przez chor. Nurkiewicza. Kawalerzyści „Nocy" dawali się szczególnie we znaki sowieckim partyzantom. „Banda Nurkiewicza wyrządza nam większe szkody niż Niemcy. Działa bezkarnie w rejonach stołpeckim i iwienieckim. Podczas nagłych ataków na wioski zabija i bierze do niewoli [sowieckich] partyzantów i inne osoby związane z partyzantami" – informowało wiosną 1944 roku dowództwo Brygady im. Żukowa.

Według dr. Kazimierza Krajewskiego: „Skupiając się na ochronie ludności przed wrogo nastawionymi bolszewikami, w ciągu pół roku Pilch stoczył z nimi około 120 walk i potyczek, zadając im straty sięgające około 600 ludzi, przy stratach własnych wynoszących pięćdziesięciu kilku poległych (liczba ta nie obejmuje strat ludności cywilnej mordowanej przez sowieckich partyzantów)".

Oddział „Góry" liczył w kwietniu 1944 roku 500 ludzi wyposażonych przez stronę niemiecką w broń i amunicję, którzy umilali życie kilku tysiącom sowieckich partyzantów w Puszczy Nalibockiej. Pod koniec czerwca było to już 860 partyzantów! Połowę stanowili kawalerzyści „Nocy". Żołnierze „Góry" słynęli nie tylko z waleczności, lecz także z wyglądu – nosili dobrze skrojone mundury Wojska Polskiego, buty oficerki, zimą półkożuszki.

Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że formowanie plutonu kawalerii jest o wiele trudniejsze i bardziej pracochłonne niż plutonu piechoty. Chorąży Nurkiewicz dokonał nie lada wyczynu, bo w warunkach wojennych odtworzył pułk ułanów w składzie: dowództwo, poczet sztandarowy, cztery szwadrony liniowe (w każdym pluton karabinów maszynowych na taczankach), pluton łączności ze zrzutowymi radiostacjami o zasięgu 25 kilometrów, kancelaria sztabowa, lazaret polowy, warsztaty. Ewenement stanowiła sytuacja, choć nie tak rzadka na Kresach, że dowódcą pułku był podoficer, a podlegali mu dowódcy szwadronów w stopniach oficerskich. Chociaż oddział kawalerii spełniał już wcześniej wymogi stawiane pułkowi, to dopiero oficjalnie od 1 września 1944 roku kawalerię chor. Nurkiewicza oficjalnie nazywano 27. Pułkiem Ułanów AK im. króla Stefana Batorego, a w sprawie samego chorążego został wysłany wniosek awansowy na stopień podporucznika.

Polowanie na „Nieczaja"

Dowództwo Okręgu AK Wilno zamierzało wykorzystać Zgrupowanie Stołpeckie do wileńskiej operacji „Ostra Brama", ale z powodu szybkich postępów Armii Czerwonej por. „Góra" podjął decyzję o wycofaniu się na zachód. 29 czerwca 1944 roku Zgrupowanie rozpoczęło marsz w kierunku Warszawy. Trzy kompanie piechoty na furmankach, za piechotą tabory, a dalej ułani na koniach. Cztery pełne szwadrony liniowe, pluton łączności, kwatermistrzostwo, szpital polowy. Wszyscy żołnierze w przedwojennym umundurowaniu. Za nimi duszpasterstwo i uchodźcy cywilni. Kolumna długa na kilka kilometrów. Po wielu perypetiach 26 lipca 1944 roku partyzanci dotarli do Modlina.

Dalsze losy Zgrupowania Stołpeckiego wymagają oddzielnego tekstu, więc jedynie zasygnalizuję, że od 31 lip-

eprasa.pl 3207be40fc

ca do 30 września Zgrupowanie stoczyło ponad 60 walk na terenie Puszczy Kampinoskiej oraz przedmieściach Warszawy. W walkach na Żoliborzu w Powstaniu Warszawskim zginęło 170 kresowych partyzantów. Dzięki Zgrupowaniu powstała w Puszczy Kampinoskiej „Niepodległa Republika Partyzancka". Piechurzy „Góry–Doliny" i ułani „Nocy" prowadzili działania partyzanckie do 17 stycznia 1945 roku.

Ranny w czasie walk rtm. Nurkiewicz został ukryty przez por. Pilcha „Dolinę" w domu rodziny akowców, państwa Dorocińskich w Brzustówku koło Opoczna. Por. „Górze" udało się przedostać do Wielkiej Brytanii. Chorym „Nieczajem", bo takim już posługiwał się pseudonimem, opiekowała się poznana w Kampinosie sanitariuszka Urszula Koczarska „Ula", z którą związał się uczuciowo i z którą miał później dwóch synów. „Ula" przyjęła takie samo nazwisko jak „Nieczaj" – Downar Zapolska. Po kuracji przenieśli się oboje na ziemie odzyskane.

Przed porodem dziecka „Ula" i „Nieczaj" zamieszkali w Warszawie u rodziców „Uli". „Nieczaj" podjął pracę w gminie Falenica jako poborca podatkowy. W czasie pobytu w Warszawie przyszedł na świat również ich drugi syn. Nieoczekiwanie „Nieczaj" został rozpoznany przez UB. Zostawił „Ulę" z dziećmi i pod koniec 1947 roku i wyjechał na ziemie odzyskane. Pracował w kamieniołomach koło Wałbrzycha, potem w młynie w okolicach Gorzowa Wielkopolskiego, jako pracownik techniczny w teatrze w Słupsku. Nigdzie nie przebywał długo, żył z dnia na dzień, w osaczeniu.

Podróżując pociągami po Polsce, kilka razy natknął się na swoich byłych żołnierzy, ułanów z AK – to były jedyne bardziej pogodne chwile w jego życiu. Żyli podobnie jak on – bezdomni, ścigani przez UB.

Po wielu latach, po raz pierwszy od jesieni 1940 roku, „Nieczaj" spotkał się w Krakowie z żoną Józefą, która powróciła z Danusią ze zsyłki w ZSRS. Dwóch synów nie przeżyło katorgi; najstarszy syn Zdzisław Rafał, aresztowany przez NKWD, przebywał na Magadanie nad Morzem Ochockim. Wiadomość o śmierci dzieci mocno przybiła „Nieczaja", choć był mężczyzną o silnej psychice. Zmienił nazwisko po raz trzeci, zamieszkał w Czatkowicach koło Krzeszowic. Jak zwykle często zmieniał pracę – pracował przy koniach w gospodarstwie rolnym, co sprawiało jemu, kawalerzyście, wiele radości, pracował w firmie budowlanej w Krakowie, zatrudnił się też w żwirowni w Ludźmierzu koło Nowego Targu.

Ostatnim zakładem pracy „Nieczaja" była kopalnia wapienia w Czatkowicach. 12 stycznia został aresztowany przez funkcjonariuszy MO i SB w asyście zielonogórskich prokuratorów. Zadenuncjowała go Jadwiga S., pochodząca ze Stołpców, rodzinnie z nim związana. Po przeprowadzonej rewizji w domu przewieziono „Nieczaja" do aresztu w Zielonej Górze.

W czasie śledztwa wymuszano na nim zeznania, bijąc metalowymi łańcuchami po plecach i nogach. Miał się przyznać do tego, że współpracując z Niemcami, mordował „bohaterskich" sowieckich partyzantów.

Pokazowy proces, który odbył się w marcu 1960 roku, był jedną wielką farsą. Oskarżycielami rtm. Nurkiewicza „Nieczaja" byli prokuratorzy Zdzisław Rozuma i Zdzisław Macka. Na rozprawę ściągnięto prawie 100 świadków. Nawet przywieziono z Białorusi ludzi z gotowymi już zeznaniami. Wielu świadków jednak zachowało się przyzwoicie. Używanie miała komunistyczna prasa. W „Gazecie Zielonogórskiej" pojawiały się artykuły, o ich wymowie świadczyły już same tytuły, na przykład: „Śmierć była jego rzemiosłem". Szczególną nienawiścią do polskiego bohaterskiego kawalerzysty wykazała się Alicja Zatrybówna, która dzieciństwo i młodość spędziła na Kresach w Baranowiczach, a ojciec jej został zamordowany w czasie wojny przez sowieckiego czekistę.

Pod wyrokiem skazującym rtm. Zdzisława Nurkiewicza na karę śmierci podpisali się sędziowie Mieczysław Piosik i Stanisław Matyjaszczyk. Sędzia Mieczysław Piosik w lutym 1961 roku awansował – został prezesem Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze. Funkcję tę pełnił do końca kwietnia 1976 roku, kiedy odszedł na emeryturę w wieku 66 lat.

Osobiście o karę śmierci zabiegał gen. Ponomarienko, dla bolszewika było to zwieńczenie po 17 latach pościgu za niezłomnym dowódcą polskich kawalerzystów. Ponomarienko w latach 1955–1957 był ambasadorem ZSRS w PRL. To on 22 lipca 1955 roku wręczył pezetpeerowskim pachołkom klucze do Pałacu Kultury i Nauki im. J. Stalina.

Rotmistrz Zdzisław Nurkiewicz zmarł 12 września 1980 roku.

W 1995 roku 27. Pułk Zmechanizowany z Braniewa (aktualnie 9. Brygada Kawalerii Pancernej im. Króla Stefana Batorego) przejął tradycje 27. Pułku Ułanów. Fotografia ostatniego dowódcy ułanów, rtm. Zdzisława Nurkiewicza „Nocy", „Nieczaja", wisi na honorowym miejscu w sali tradycji.

W roku 2005 syn rotmistrza, Maciej Downar Zapolski, przeprowadził w krakowskim sądzie proces o rehabilitację ojca.

***

Jak wynika ze statystyki Zdzisława Nurkiewicza, oddział jego kawalerzystów „w czasie swego istnienia stoczył około 80 potyczek i bitew. Brał udział wraz z piechotą w ponad 220 walkach, potyczkach i bitwach. Straty własne: zabitych 291, rannych 184, w tym chorąży 2 razy. Straty nieprzyjaciela: zabitych 1008, rannych 411" (wspomnienia „Straszny Dwór").

eprasa.pl 3207be40fc

Teresa Zarzeczańska. Kraulem przez kanał La Manche

Agnieszka Kowalczyk

30 sierpnia 1975 roku świat obiegła wieść, że poznanianka Teresa Zarzeczańska (1946–2023) jako pierwsza przedstawicielka narodu polskiego pokonała kanał La Manche. Otóż „po stu latach, a ściśle po stu latach i czterech dniach, gdyż tyle czasu minęło od chwili przepłynięcia kanału przez pierwszego śmiałka, rejestr skrupulatnych Anglików powiększył się do trzydziestu trzech narodowości", których reprezentanci odnieśli tryumf w zmaganiach z wodami „Diabelskiego Kanału".

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 3207be40fc



Kanał La Manche oddziela Wielką Brytanię od Francji, a poprzez Cieśninę Kaletańską łączy Morze Północne z Atlantykiem. Jako pierwszy sforsował go wpław 23–24 sierpnia 1875 roku angielski kapitan marynarki wojennej Mathews Webb, co zajęło mu 21 godzin i 45 minut! Po 36 latach tego samego brawurowego wyczynu dokonał angielski pływak Thomas Burgess (w czasie 22 godz. i 35 min.). Trzecim jego zdobywcą był Amerykanin Henry Sulliwan w 1923 roku. W tym samym roku pierwszą udaną próbę przepłynięcia kanału w odwrotną stronę – z Francji do Anglii – podjął Włoch Enrico Tiraboschi, czego dokonał w rekordowym tempie 16 godz. i 58 min. Pierwszą zaś kobietą, która pobiła wszystkich mężczyzn na głowę i osiągnęła w 1926 roku drugi brzeg kanału po 14 godz. i 39 min., okazała się Gertrude Ederle – amerykańska mistrzyni świata i mistrzyni olimpijska. W gronie najodważniejszych pływaków, którym nie straszny był żywioł lodowatej wody i ponadludzki trud pracy mięśni, znalazła się skromna nauczycielka matematyki z Poznania, i to w trudnych czasach PRL-u.

Jak uczennica Pitagorasa pokochała wodę

Pierwszy raz weszła do basenu jako dziesięciolatka i o mały włos nie utonęła. W siódmej klasie marzyła o tym, by zostać matematyczką, być sławna jak Pitagoras i… jak najprędzej nauczyć się pływać. „Jestem niecierpliwa, chcę już pływać – wspominała pierwsze swoje lekcje. – Próbuję oderwać nogi od dna, kładę się na wodę. I woda mi pomaga, unosi mnie. Nie trzeba się bać". Szybko czyniła postępy, eksperymentując z różnymi stylami – doskonale pływała „pieskiem", świetnie „żabką", stopniowo opanowywała kraul, więcej czasu potrzebowała, by przełamać swe opory i przepłynąć stylem grzbietowym cały basen. Miała ogromny talent i była tytanem pracy. Została zawodniczką sekcji pływackiej klubu Lech Poznań. Bardzo przeżyła swój pierwszy pobyt na obozie sportowym w Sierakowie Wielkopolskim, bo tam odważyła się wypłynąć na głębokie wody jeziora: „Miałam duszę na ramieniu, a serce w gardle – wspominała – gdy zobaczyłam przed sobą olbrzymią, tak mi się wydawało, przestrzeń wodną, a pod sobą… Nic nie widziałam, bo ze strachu zamknęłam oczy. I tak płynęłam byle nie patrzeć, co jest pode mną. Ale chyba podglądałam, bo widziałam nawet oczami wyobraźni… szkielety ludzkie". Pierwszy rekonesans na otwartym jeziorze zakończył się sukcesem, a uradowana swym wyczynem Teresa nie mogła powstrzymać się przed ponownym zanurzeniem…

Właśnie rozpoczęła drugą klasę liceum i cały swój plan dnia podporządkowała treningom. Obiecała mamie, że nie zaniedba nauki i znajdzie czas na wszystko. Wstawała więc o piątej rano, by o szóstej znaleźć się na pływalni, a po intensywnych ćwiczeniach na basenie pędziła na lekcje na drugi koniec Poznania. Potem czekał ją jeszcze jeden popołudniowy trening. Za swą życiową dewizę przyjęła zasłyszane w tym czasie słowa: „Trzeba się w górę piąć, choć męczy życie./ A jeśli kiedyś przyjdzie paść, to paść – na szczycie!". Zmobilizowała wszystkie swoje siły i pobiła rekord okręgu poznańskiego. Na kolejnych zawodach poprawiała swoje wyniki, aż w końcu dorównała najlepszym pływaczkom w kraju. W 1967 roku wygrała Mistrzostwa Polski w Gdyni. Wtedy to zwyciężyła w zmaganiach pływackich na 400 m stylem zmiennym. W następnym roku poprawiła rekord Polski na 200 m stylem klasycznym aż o 3,2 sekundy. Zdobyła tytuł najlepszej pływaczki roku. Do niej należał również rekord w pływackich zmaganiach na 100 metrów. Dlatego też Igrzyska Olimpijskie w Meksyku były już na wyciągnięcie ręki. Okazało się jednak, że dla wielokrotnej mistrzyni i rekordzistki Polski nie ma miejsca w składzie reprezentacji narodowej! Dlaczego? Paradoksalnie zdecydowała o tym jej niewygodna dla władz komunistycznych przeszłość. Mianowicie ojciec Teresy, Aleksander Zarzeczański, był oficerem, służył w 17. Pułku Piechoty w Międzyrzeczu, lecz w maju 1946 roku aresztowano go i uwięziono w siedzibie Informacji Wojskowej w tym samym mieście. Gdy po ponadmiesięcznym pobycie usiłował się stamtąd wydostać, został śmiertelnie postrzelony podczas próby ucieczki. Przyczyn zatrzymania rodzina nigdy nie poznała. Nie odnalazła też jego grobu, a tajemnica śmierci Zarzeczańskiego w żaden sposób nie została wyjaśniona. Teresa nie znała swego ojca, bo przyszła na świat, kiedy już nie żył. Wraz ze starszą siostrą była wychowywana przez mamę i babcię. „A ja nie chciałam ranić mamy i nie mówiłam, że ojca brakowało mi zawsze – wyznawała. – I wtedy, gdy koleżanki chwaliły się, że idą z tatą na spacer. I wówczas, gdy w szkole uczyłam się pisać wyraz »tata«, a na głos długo przeczytać nie potrafiłam. […] Z zawodu nauczyciel wychowania fizycznego, służył w wojsku w randze porucznika. Przepadał za sportem, w swojej jednostce był kapitanem drużyny piłkarskiej". W chwili śmierci miał zaledwie 30 lat. Dlaczego musiał zginąć – pyta Teresa – i dlaczego musiały wraz z matką po nakazie natychmiastowego wyprowadzenia się z mieszkania opuścić Międzyrzecz Wielkopolski? Pytania te pozostały bez odpowiedzi.

„Postaw sobie nowy cel – kanał La Manche"

Meksyk był dla niej nieosiągalny, bo jak pokrętnie tłumaczył trener, „to druga półkula, więc koszt jednego olimpijczyka jest duży". Teresa nie załamywała się jednak, dalej trenowała uparcie, by za dwa lata wystartować na Mistrzostwach Europy w Barcelonie. W 1970 roku wygrała w Gdyni kolejne mistrzostwa Polski. W zatwierdzonym składzie reprezentacji jadącej do Hiszpanii spi-

eprasa.pl 3207be40fc

ker podał jej nazwisko, ale dzień przed wyjazdem dowiedziała się, że ostatecznie została skreślona z listy. Rozgoryczenie było ogromne, ale i tym razem się nie załamała. Żyła poddana rytmowi intensywnego wysiłku sportowego, z nadzieją, że pojedzie na Igrzyska Olimpijskie do Monachium (1972). W międzyczasie zdobywała kolejne tytuły Mistrzostw Polski. Do kadry narodowej jednak nie trafiła, ponieważ, jak jej powiedziano, była… za stara. Miała wtedy 25 lat i wielką szansę na zdobycie medalu. „Czuję, że coś zostało bezpowrotnie stracone – oddawała swój stan ducha. – I to, że co nie zostało dokonane, tego nie dokona się już nigdy. Pozostaje żal i świadomość zmarnowanych lat, lat treningów, uporu, wiary i złudzeń". Podczas trudnych chwil rozpamiętywania tego wszystkiego, co ją spotkało, nawet odnoszone na zawodach zwycięstwa nie sprawiały Teresie większej radości. Wówczas to trener podsunął jej niewyobrażalnie śmiałą myśl: „Postaw sobie nowy cel – kanał La Manche. Spróbuj…".

Podjęcie tego wielkiego wyzwania wydawało się początkowo czymś nierealnym. Miała wtedy 26 lat i była nauczycielką matematyki i fizyki, wielokrotną mistrzynią Polski w pływaniu. Nie potrafiła zrezygnować ze sportu – pływanie było jej żywiołem, sensem i radością życia. Organizm Teresy domagał się wysiłku fizycznego jak powietrza i wody. Codziennie przepływała na basenie po kilka kilometrów, biegała, podnosiła ciężary, jeździła na łyżwach i na rowerze. Z myślą, by jeszcze raz zatryumfować na arenie sportowej, zwykle trzy lub cztery godziny w ciągu dnia przeznaczała na samotny trening. Praca z młodzieżą, pełną przekory, ale też uporu i odwagi, rodziła w niej śmielsze niż dotychczas marzenia o wielkiej, największej w życiu przygodzie.

Teresa postanowiła więc spróbować swoich sił w pływaniu długodystansowym. Prawdziwy chrzest bojowy stanowił dla niej wodny wyścig z Westerplatte na Hel, będący próbą pokonania zatoki i ustanowienia długodystansowego rekordu Polski. Była to, jak stwierdzała, „walka przede wszystkim z samą sobą, ze swoimi słabościami". Płynąc na Hel, w pewnym momencie dowiedziała się, że jest już ponad osiem godzin w wodzie. „Tymczasem nie wygląda na to, aby kończyła się męczarnia […]. Bliskość celu jak gdyby paraliżuje […]. Z zaciśniętymi zębami płynę i płynę – opowiada – […] Ręce niby pracują, ale w ogóle nie ciągną wody, a ja nic zrobić nie mogę, nie mam na nie wpływu. Tak jakby to nie były moje ręce. Płynę już tylko mechanicznie. […] Odzyskuję wiarę dopiero wtedy, gdy spostrzegam dno. […] Dopiero teraz zauważam, że są dość duże fale. Z nimi dopływam do brzegu […]. Jeszcze w wodzie ktoś bierze mnie na ręce […] i powtarza w kółko: »Teresa, masz brązowy medal, wspaniała jesteś«". Wówczas to 24 kilometry bałtyckiego szlaku pokonała, płynąc ramię w ramię z mężczyznami i zakończyła go, zajmując trzecie miejsce i zyskując zapewnienie, że znajdzie się w gronie mających zdobywać kanał La Manche. Zwodzono ją jednak nadal, a jej wyjazd do Francji – z roku na rok odkładano na później. Gdy zrezygnowana myślała, że wszystko już stracone, nieoczekiwanie przyszedł jej z pomocą znany dziennikarz poznańskiej telewizji Teofil Różański. Zaproponował Teresie pływanie w Klubie Płetwonurków Ligi Obrony Kraju „Delfin" i obiecał wsparcie w realizacji jej niebywałego przedsięwzięcia.

Teresa, pracując w szkole, podjęła jednocześnie studia i była już na drugim roku AWF, udzielając się też jako instruktorka pływania, pływaczka i ratowniczka wodna. Ujęta propozycją Różańskiego, postanowiła dążyć do zdobycia wicemistrzostwa w zupełnie nieznanej sobie dziedzinie – w nurkowaniu. Ćwicząc w poznańskim „Delfinie", znalazła nowych przyjaciół, którzy z życzliwością przyjęli ją do swego grona i wtajemniczyli w sztukę podwodnych akrobacji. W najtrudniejszej konkurencji wystartowała wraz z Ewą Magdziarz i Basią Szabelską. „Trzy zawodniczki z jednym aparatem do oddychania na dystansie 100 m pod wodą i to na czas – opowiadała potem Zarzeczańska. – Ta konkurencja wymaga nieprzeciętnego zgrania. Każda jest odpowiedzialna nie tylko za siebie, ale za pozostałe dwie. Nie wytrzymuje jedna – trzy ponoszą porażkę. Taka sytuacja podnosi znaczenie każdej zawodniczki. Również i moje. Czuję się tu potrzebna. Odzyskuję wiarę w ludzi i w siebie. I coraz więcej liczę na nich".

▶ Przewodnikiem po bezmiarze wód stał się kuter

Pomna na wcześniejsze szykany władz PRL-owskich, postanowiła zdobyć kanał La Manche potajemnie. Miała poważne obawy, że i tym razem jej start za granicą zostanie przez nie unieważniony. Nie zgłosiła więc podjęcia próby pokonania kanału w Polskim Związku Pływackim, a o paszport starała się nie w Warszawie, lecz w Poznaniu. We wszystkich poczynaniach gorąco wspierał ją Teofil Różański, który w przyszłości miał zostać jej mężem. Wyjazd do Francji organizowała pod pretekstem wyprawy turystycznej. O jego prawdziwym celu wiedział jednak wiceprezydent Poznania Andrzej Witulski i on udzielił zdeterminowanej pływaczce wsparcia finansowego. Teresa wyjechała za granicę wraz z paczką dopingujących ją przyjaciół „tarpanem", wypożyczonym przez Poznańską Fabrykę Samochodów Rolniczych „Polmo". Zabrali ze sobą 20 kilogramów chleba, pięciokilogramową puszkę z szynką, zupy w proszku i w najlepszych humorach ruszyli ku wielkiej przygodzie.

I tak nadszedł dzień próby – 30 sierpnia 1975 roku, dzień, w którym Teresa Zarzeczańska podjęła wyzwanie przepłynięcia kanału La Manche, czego nie dokonał przed nią jeszcze żaden Polak. Najpierw wraz z całą ekipą i sędzią Morfordem, delegowanym przez

eprasa.pl 3207be40fc

Channel Swimming Association, udali się do angielskiego portu Dover. Czekający tam kuter zabrał wszystkich na swój pokład i popłynęli na plażę Szekspira otoczoną zjawiskowym białym amfiteatrem skał. Było to miejsce startu pływaków, którzy odważyli się porwać na słynny szlak wodny wiodący z Anglii do Francji. Tutaj, jak pisała Zarzeczańska, „desperaci i ryzykanci, zrezygnowani i śmiałkowie stają do swego zdecydowanego kroku. Prowadzącego albo do samounicestwienia, albo do wdzięcznego zapisu w almanachach kapryśnego, mglistego Kanału".

Teresa wspominała, że o godzinie 5.30 woda miała temperaturę około 15 stopni Celsjusza, a ona od stóp do głów (z wyjątkiem rąk, które muszą pozostać suche, by „czuć wodę"), została nasmarowana lanoliną, która przez pierwsze godziny miała ją dobrze chronić przed zimnem. Z każdą minutą rosły w niej jednak obawy. Zdawała sobie sprawę z tego, że tak wielu przed nią nie podołało temu, co miało przynieść im sławę: „[…] ci, którzy płynęli za wolno, zmarzli tak, że trzeba ich było wyciągać z wody sparaliżowanych z zimna, a ci, którzy płynęli za szybko, padli przed metą" wycieńczeni. Byli i tacy, którzy mimo świetnych predyspozycji fizycznych nie wytrwali, bo załamali się psychicznie. Teresa musiała jednakże odrzucić od siebie wszystkie te kołujące w głowie czarne myśli, by mogła stanąć na brzegu maksymalnie skupiona. Napięcie dochodziło do granic wytrzymałości. O godzinie 5.45 sędzia włączył stoper i dał sygnał do startu. Teresa odzyskała spokój dopiero wtedy, gdy zanurzyła się w wodzie. Pozwoliło jej to wykonywać bez spięcia energiczne ruchy i się rozgrzać. Wiedziała jednak, że musi oszczędzać siły, potrzebowała ich jak powietrza, by przebyć cały kanał łączący Morze Północne z Atlantykiem. Jej jedynym przewodnikiem po bezmiarze wód stał się kuter, któremu musiała zaufać. On wskazywał kierunek kursu, był nieodłączną busolą. O każdej przemijającej godzinie dowiadywała się z tablicy wystawianej na jego pokładzie.

Ogromny wysiłek zostaje nagrodzony

Teresa miała poczucie, że pierwsze sześćdziesiąt minut zmagań z wodami kanału upłynęło jej niepostrzeżenie. „Rozkręciłam się, płynę w tempie, jakie narzuciłam sobie od początku – opowiadała podekscytowana – 80 ruchów ramionami w każdej minucie. W ciągu godziny robię ich… 4800. Jeszcze tak przez dwie następne". Powoli budził się dzień. Wraz z wybiciem trzeciej godziny morderczych zmagań, podpłynęła do kutra „żabką", by się posilić. Teraz czekała ją trzyminutowa chwila wytchnienia i nasycenia się gorącą czekoladą. Musiała bardzo uważać, by nie dotknąć statku ani sędziego, inaczej zostałaby zdyskwalifikowana. Słodka czekolada mieszała się ze słoną wodą, która dostawała się mimowolnie do ust i której nałykała się dotąd kilka litrów.

Gdy znowu ruszyła do przodu, wiatr wzmógł się, a fale wzrosły. Ogarnęło ją przejmujące zimno, ręce zrobiły się groźnie białe, co oznaczało, że nie dochodziła do nich krew. Nadeszła chwila zwątpienia. Skoro po czterech godzinach jest tak źle, jak wytrzyma kilka lub kilkanaście kolejnych? „Jakim prawem – mówiła sama do siebie – żyjąc sobie spokojnie w Poznaniu, w przytulnym M-2, z dala od morza, od zimna i sztormów, rzuciłam siebie w piekło, w to zimne piekło, któremu na imię La Manche". I zapewne tylko dzięki temu samemu uporowi, który zagnał ją aż tutaj, postanowiła sobie w duchu, że wytrzyma: „Ogromnym wysiłkiem woli wykonuję ruchy kraulowe, byle ręce pracowały, byle któraś nie zatrzymała się nad wodą, byle nie dała znaku do pomocy. Pomoc równa jest dyskwalifikacji, unieważnieniu próby. Na to zawsze będzie czas" – wyznawała. Tymczasem starała się energiczne poruszać dłońmi, by przywrócić krążenie w zmartwiałych kończynach. To wyraźnie pomagało, zaczynała je czuć na nowo, choć nadal były „dziwnie ciężkie, jak z ołowiu", a i nogi odmawiały powoli posłuszeństwa. Czas dłużył się w nieskończoność, zanim wreszcie ukazała się tak długo wyczekiwana tablica z numerem pięć. Minęła więc już piąta godzina próby.

Trwający prawie dwie godziny kryzys został przezwyciężony. Wróciły energia i zapał, co jakiś czas podgrzewane gorącym kubkiem czekolady bądź pokrzepiającym bananem. Wokół wciąż tylko woda i woda. Silny wiatr i wysokie grzywacze morskie dawały się coraz bardziej we znaki, coraz trudniej było „utrzymać miarowy ruch ramion, gdy z ostrego grzbietu fali wpada się w dolinę". Ale oto nagle nad powierzchnią wód zjawia się niepostrzeżenie olbrzymi poduszkowiec mknący w przeciwnym kierunku, ku Dover. Wszyscy jego pasażerowie, „przyklejeni do burt" z entuzjazmem śledzą walkę Teresy z wodnym żywiołem i dopingują ją z całych sił. Niektórzy uzbrojeni w aparaty uwieczniają tę chwilę na kliszy. To pomaga i dodaje sił zaprawionej w boju pływaczce, która zaciska wargi i jeszcze silniej porusza ramionami. Do przebycia zostały jej niecałe dwie mile, a więc do mety – niepełna godzina kraulem. Dotąd najszybszy okazał się Anglik Barry Watson, który pokonał kanał La Manche w 9 godzin i 35 minut, a spośród kobiet – Amerykanka Cox, tylko o minutę słabsza od swego rywala.

Brzegu wciąż jednak nie było widać, a wyczerpane do granic możliwości ciało zdawało się odmawiać posłuszeństwa. „Po tylu godzinach nożycowej pracy nogi są zupełnie sztywne, jak kołki. Ciężko, bardzo ciężko dają się zginać. Kolana są jak nienasmarowane zardzewiałe zawiasy". By ulżyć rękom, które ledwo wyciągały się z wody, postanowiła płynąć „żabką", kiedyś swoim koronnym stylem. Słyszała jednak nawołania dochodzące

eprasa.pl 3207be40fc

z kutra, by przeszła z powrotem na kraul, bo do lądu dobije za pół godziny. Mobilizując więc wszystkie siły, wyobrażała sobie, że do odbycia ma jeszcze swój trzydziestominutowy, rutynowy trening, o którym pamiętała każdego dnia przez kilkanaście lat. To poskutkowało. Ręce i nogi jakby same poniosły. Wkrótce też zarysowała się przed nią linia brzegowa.

Teresa dosięga więc piaszczystego dna kanału, wynurza się z wody i o własnych siłach próbuje dotrzeć do mety na piasku. To do niej należy zwycięstwo! Oto przepłynęła 42 kilometry dzielące angielskie Dover od małej francuskiej miejscowości Vissant, leżącej 13 kilometrów na południe od portu Calais. W ten sposób została pierwszą Polką, a zarazem czwartą kobietą na świecie, która odniosła zwycięstwo nad kanałem La Manche. Szlak wodny z Wielkiej Brytanii do Francji udało się jej pokonać w ciągu 11 godzin i 10 minut!

Podniesiona poprzeczka

Nad kanał La Manche jego zdobywczyni z Poznania powróciła w 1976 roku. Chciała przepłynąć go po raz drugi, ale tym razem pokonując podwójny dystans – z Anglii do Francji i z Francji do Anglii za jednym ciosem. Żywioły natury sprzysięgły się jednak przeciwko Teresie. Zła pogoda uniemożliwiła jej start najpierw 20 sierpnia, potem 4 września… Silnie wiało, woda z każdym dniem stawała się coraz zimniejsza. Pływaczka miała poczucie, że to nie ten sam kanał, w którym rok wcześniej się „zakochała", teraz jego wody napawały ją odrazą i lękiem. I gdy wydawało się, że wszystko już stracone i zrezygnowana ekipa zaczęła szykować się do drogi powrotnej, pogoda nagle się poprawiła. Teresa zdecydowała, że popłynie mimo trudnych warunków. Start wyznaczono na godzinę 19.27. Wysmarowana lanoliną żegnała się z przyjaciółmi, gotowa do 100-kilometrowego maratonu w ciemnościach. Płynęła szybko i rytmicznie, powtarzając sobie w duchu, że „wszystko można przezwyciężyć, byle wcześniej się nie poddać". Ciemności rozświetlało jedynie oślepiające światło reflektora na kutrze – jej drogowskaz. Dopiero po trzech godzinach uczuła, że słabnie. Fale biły w nią z coraz większą mocą, obezwładniały zimno, głód, zmęczenie. Tak we wspomnieniach oddaje swe dramatyczne przeżycia w zmaganiu z żywiołem:

„Fale uderzają zewsząd. Wtem robi się zupełnie ciemno. Co się dzieje? – krzyczę, ale nie mam pewności, czy mój głos do kogoś dociera. […] to nieprawdopodobnie przechylony na jedną burtę kuter zatopił wytyczający mi drogę reflektor. […] Nie zatrzymuję się, bo fale mną miotają, o nic nie pytam, bo i tak mój głos stłumiłoby hucząc morze […]. Już nie wierzę w zwycięstwo, a jeszcze płynę […], jeszcze walczę z wodną kipielą. […] Płynę w zupełnych ciemnościach, nieopodal jedynie światło co rusz pochłaniane przez jakąś diabelską czeluść".

Tymczasem powieki zamykały się mimowolnie, z całych sił wytrzeszczała oczy, by dojrzeć cokolwiek w kłębowisku fal. Zimna woda dostawała się pod okularki, zalewała gałki oczne. Teresa odnalazła w sobie jeszcze na tyle siły, by płynąć w stronę kutra, bez wytchnienia, zamaszystym kraulem. Gdy w końcu uniosła głowę, ze zgrozą stwierdziła, że kutra nie było tam, gdzie się go spodziewała. „W tym momencie – wyznaje – opadły mi ręce, a resztki nadziei opuszczają mnie bezpowrotnie. Odwracam się na wznak. […] Leżę na plecach, zniewolona, rzucana to w jedną to w drugą stronę, to w przód, to w tył, to do góry, to w dół, płacę cenę za ubiegłoroczne zwycięstwo i za zakusy na nowy sukces". Półprzytomną Teresę wciągnęli do pontonu ratownicy. Zdołała jednak usłyszeć głos sędziego Morforda, który pochylając się nad nią, mówił: „Aż cztery i pół godziny ty zdołałaś płynąć. Jesteś wspaniała, ja ci to mówię. I musisz wrócić…".

Teresa wróciła. Kanał La Manche z jakąś magnetyczną siłą pociągał ją ku sobie. Mając naturę wojowniczki, podjęła drugą próbę jego przepłynięcia w obie strony 7 sierpnia 1977 roku. Niestety nie zakończyła się ona powodzeniem. Zdrętwiałą, całkowicie zesztywniałą z zimna pływaczkę trzeba było wciągnąć na pokład.

Zainspirowana przez męża Teofila Różańskiego podjęła wyzwanie przygotowania żeńskiej sztafety, która dokona tego samego wyczynu, co ona niegdyś w pojedynkę. Z wielką pasją jako trenerka zabrała się do szkolenia przyszłych zdobywczyń kanału, a i sama ustawicznie ćwiczyła z myślą, że jeszcze wraz z nimi popłynie. „Miałam 45 lat – mówi – a najmłodsza Iza Kudzinowska 15, czyli trzy razy mniej. W 1992 roku wystartowałyśmy i wynikiem 9 godzin 48 minut odebrałyśmy rekord świata Brytyjkom. Gdy wieść o tym obiegła pływacki świat, przyleciały Amerykanki i próbowały poprawić nasz wynik, ale im się nie udało". W następnym roku powróciły nad La Manche i przepłynęły go w obydwie strony w ciągu 20 godzin i 43 minut. W tym samym roku wyczyn ten powtórzyła tylko jedna męska sztafeta brytyjskich pilotów RAF-u, których Polki wyprzedziły o osiem minut.

***

Swoją drogę do wielkiego zwycięstwa w 1975 roku, które było zarazem zmaganiem z prześladującą ją władzą komunistyczną, Teresa Zarzeczańska opisała w książce wspomnieniowej „Kraulem przez kanał La Manche". Jej pierwsze wydanie ukazało się jeszcze w czasach PRL-u (1980) i objęte zostało cenzurą, ale już drugie z 1991 roku pozwoliło wyrazić jej pełną prawdę o sobie. Swoją autobiografię poświęciła ojcu Aleksandrowi Zarzeczańskiemu i… „wszystkim ofiarom stalinowskiego terroru". ■

eprasa.pl 3207be40fc

W drugiej połowie lat 70. – gdy było się na studiach i chciało się wyprawić z przyjaciółmi w Góry Rodniańskie, północne góry Rumunii – trzeba było zacząć od odręcznego przerysowania przedwojennej mapy tego rozległego pasma Wewnętrznych Karpat Wschodnich, pożyczoną od kolegi z politechniki. Góry Rodniańskie owiewała w akademickim środowisku górołazów aura tajemniczości. Były dzikie, z jednym czy dwoma ledwo zaznaczonymi szlakami, z jeziorami w kotłach polodowcowych i śladami polskich poszukiwaczy złota (z ubiegłego wieku) w głębokich jaskiniach.

Ewa Polak-Pałkiewicz



Tamta strona Europy. O Rumunii sprzed 50 lat i jej zakręcie dziejowym

egazeta.pl/3207be0fc



FOT. WIKIMEDIA

Wszystko okazało się prawdą. Szliśmy gorącą letnią porą grzbietami tych bezludnych, gęsto zalesionych gór grupą dwunastu osób. Jedyną formą bazy turystycznej były dwa szałasy; tylko jeden, przylepiony do skalistego zbocza, miał drewnianą ławę do spania i nazywał się szumnie schroniskiem. Można było tu dostać tylko butelkę samogonu i najtańsze papierosy w rodzaju naszych „sportów", co nie było najlepszą nowiną, bowiem na pierwszym postoju zostaliśmy okradzeni z całego prowiantu. Został nam tylko peerelowski „Minimal", mieszanka mleka w proszku z jakimiś sztucznymi paszami. Nieliczni pasterze, na których natykaliśmy się, gdy wieczorem zaganiali owce i rozpalali ogniska, patrzyli na nas dość ponurym wzrokiem i mówili, że jak tak dalej będziemy wędrować, to przyjdzie do nas „ursus" (po rumuńsku niedźwiedź) i nas zje. Psy tych, którzy paśli owce po północnej stronie grzbietów, miały obcięte prawe ucho, tych z południowej – lewe.

Wśród wiwatów bosonogich dzieciaków

Któregoś dnia spotkaliśmy dwóch studentów z Bukaresztu, w trampkach i z prawie pustymi płóciennymi plecakami, tak samo jak my wyposażonych w niedokładną mapę. Okazali się bardzo towarzyscy, przegadaliśmy kilka godzin mieszaniną rosyjskiego i rumuńskiego. Musieli wyruszyć następnego dnia wcześnie rano, by zdążyć nad jezioro Lala Mare przed zejściem w doliny, ale gdy my po wyjątkowo długim śnie tego ranka wychynęliśmy z namiotów, ujrzeliśmy ich nieopodal, uwijających się rączo przy ognisku. Wraz z dymem dobiegł niezwykle apetyczny zapach. Co za niespodzianka! Chłopcy postanowili zebrać wszystkie możliwe jadalne grzyby w okolicy – głównie były to wspaniałe rydze – i przyrządzić dla nas śniadanie. Nie zważając, że zabierze im to parę godzin cennego czasu. Tak zaprzyjaźniliśmy się z Alexandru i Joanem. Chcieli się dowiedzieć czegoś więcej o Polsce. Usłyszeli od nas wczoraj coś o KOR-ze, to rozbudziło ich wyobraźnię. Byli podekscytowani, słysząc, że czytamy wydawane w podziemiu i na emigracji publikacje. Polska, dziwny kraj, chce się tu komuś upominać o wolność…

Schodziliśmy z pasma Pietrosulu, stromą ścieżką wzdłuż rwącego potoku, przed nami daleko w dolinie majaczyła Borça, gdy nagle z sąsiedzkiego zbocza dobiegły nas niezwykłe dźwięki, jakby zagrało sto fujarek i sto skrzypiec naraz. Jakiś pasterz schodził z owcami, grając na fletni Pana. Koncert niewidzialnego grajka – trudno nie nazwać go wirtuozem instrumentu spopularyzowanego w tamtych czasach przez Gheorghe Zamfira – towarzyszył nam przez parę godzin; w dolinie Samoszu nasze drogi się rozeszły.

Wioski w dolinie wyglądały jak parada skansenów. Kunsztownie zdobione wysokie drewniane bramy do obejść, chaty bogato ornamentowane. Trudno domyślić się, że mieszkańcy tych domostw to ludzie bardzo biedni, zwłaszcza że wyglądali niezwykle malowniczo. Wszyscy nosili góralskie stroje własnej produkcji z lnu i wełny, ozdobione barwnymi haftami; mężczyźni byli w kapeluszach. Buty też były rękodziełem. Jedna z kobiet zaprosiła nas do chaty, poczęstowała wodą ze studni i kawałkiem zimnej zapieczonej mamałygi (kasza kukurydziana, woda i sól). Dom był bardzo ubogi, ale ona nagle zapragnęła pochwalić się swoim bogactwem, otworzyła drewniany kufer i wyciągnęła gruby sznur prawdziwych korali oprawionych w srebro, należały jeszcze do jej prababki.

Gdy biwakowaliśmy w pobliżu jednej z wiosek, w nocy zniknęły wszystkie przedmioty pozostawiane przez nas przed namiotami, nawet puszki po konserwach. Gdy ruszyliśmy w drogę, towarzyszyła nam procesja bosonogich dzieciaków, krzykliwie domagających się od nas czegokolwiek. Odpinaliśmy znaczki turystyczne ze skafandrów, ktoś podarował im zapasowe buty.

Noc w Alba Julia

Autostopem jechaliśmy na południe, przez Timisoarę do Alba Julia, miasta w Siedmiogrodzie, niegdyś stolicy Dacji. Tu nasza grupa się podzieliła. Część chciała się dostać nad Morze Czarne, część wybrała Alpy Transylwańskie, ale w Alba Julia trzeba było pierwej zanocować. Na niewyraźnym planie miasta zaznaczony był camping. Tu skierowałyśmy się z dwiema koleżankami, żeby postawić namiot. Camping okazał się pustym placykiem na skraju miasta, z gliniastą ziemią zamiast trawy. Bez śladu kranu czy pompy, nie mówiąc o toalecie. Nadciągał zmrok; z sąsiedniej uliczki wyłoniła się drobna kobieca postać z ciężkimi siatkami. Kim jesteśmy, czego tu szukamy? Zorientowawszy się, że jesteśmy z Polski i zamierzamy tu przenocować, młoda kobieta gwałtownie zaprotestowała i zaprowadziła nas do swojego domu. Była to stara, obskurna kamienica w oddzielonej od reszty miasta ogrodzeniem z kamieni, zmurszałych desek i zardzewiałego drutu dzielnicy nędznych domostw, głównie jakichś bud pokrytych papą, zamieszkanych przez rumuńskich Węgrów. Zostałyśmy zaprowadzone do sypialni właścicieli mieszkania (bez kanalizacji); nakazano nam położyć się na małżeńskim łożu – niebywałej szerokości, z wielką plamą pleśni w środku – okryto pierzynami i narzutami (mimo że było tu bardzo gorąco i duszno) oraz kazano czekać. Z głębi mieszkania zaczęły niebawem dochodzić zapachy skwarek i pieczonego mięsiwa. Gospodarze około północy zapro-

eprasa.pl 3207be40fc

sili nas do stołu. Ale nie na zwykłą kolację. Na stole piętrzył się półmisek z kiełbasami, pływały w tłustym rosole pulpety, było jakieś chude pieczone ptactwo, kotlety, góra ciemnych ziemniaczanych klusek. Przy stole zaś zaczęła gromadzić się, oprócz licznej rodziny gospodarzy, także spora reprezentacja ich sąsiadów – ludzi o bladych twarzach, ubogo ubranych, przybyłych, by świętować z nimi naszą wizytę w Alba Julia. Każdy przynosił ze sobą coś na talerzu czy w garnku. Oglądali nas jak przybyszów z innej planety, głaskali po rękach. Kobieta, która nas zgarnęła do siebie, była przekonana, że jesteśmy bezdomnymi tułaczami bez ojczyzny, podobnymi w jakiś sposób do nich. Atmosfera przyjęcia była podniosła, nie odczuwało się beztroski.

Nasi dobroczyńcy okazali się masarzami z dziada pradziada i węgierskimi patriotami. Skąd tak niebywała gościnność wobec nieznanych młodych Polek? Byli katolikami. Święty Stefan, król Węgier, oraz nasza historyczna przeszłość kojarzyły im się z jakąś odległą szczęśliwością naszych dwóch ojczyzn, ich zbrataniem w wolności wyznawania katolickiej wiary. W państwie Ceauseşcu tutejsza katolicka katedra, tak jak pozostałe w kraju, jest ogołocona i od lat zamknięta na cztery spusty.

Dopiero dużo później dowiedziałam się, że biskupa pomocniczego diecezji Făgăraş – Alba Julia, Tit Liviu Chinezu (1904–1955) więziono od końca lat 40., najpierw w zrujnowanym prawosławnym klasztorze, potem w więzieniu Căldărusani. Był profesorem filozofii i duszpasterzem młodzieży, bardzo cenionym z powodu głębi spojrzenia na sprawy wiary i osobistej charyzmy. Przez Securitate uważany za jednego z najzagorzalszych przeciwników unii Kościoła grekokatolickiego z Rumuńskim Kościołem prawosławnym. Potajemnie udzielił mu sakry biskupiej na żądanie Piusa XII inny więziony biskup, Valeriu Trajana Frenţiu. Sakra była możliwa dzięki pomocy paru osób świeckich z obsługi więzienia, które umożliwiły korespondencję z Watykanem – wszystkie zostały aresztowane. Papież dowiedziawszy się o tym, w jakich warunkach znajduje się biskup, interweniował i wtedy wysłano go do jeszcze bardziej okrutnego więzienia, w Syhocie Marmaroskim, gdzie z powodu znęcania się nad nim wkrótce zmarł.

W drodze do stolicy

Nasi gospodarze, podobnie jak ich sąsiedzi Węgrzy, czuli się w kraju Ceauseşcu obco, byli tu traktowani jak mieszkańcy getta. Nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami z kraju, gdzie ich przodkowie byli zasobni i szczęśliwi. Gdyby nie rodzinny fach, cierpieliby w Rumunii nędzę jak większość mieszkańców tego miasta.

Czym mogłyśmy się odwdzięczyć tym ludziom za ich gościnę? Następnego ranka młoda żona masarza, która zgarnęła nas z „campingu", długo, z zachwytem obracała w rękach na wpół zużytą pomadkę do ust, którą wyciągnęłam z plecaka – jedyną rzecz, którą mogłam jej podarować. Pieniądze byłyby dla nich zniewagą (zresztą miałyśmy ich tylko tyle, by wystarczyło na powrotny pociąg z Bukaresztu do Polski).

Na pociąg z Bukaresztu do Warszawy trzeba było czekać całą noc. Spędziłyśmy ją w dworcowej poczekalni II klasy, pełnej ludzi siedzących na płóciennych tobołach. My mogłyśmy tylko usiąść na brudnej podłodze, wolałyśmy chodzić. Wśród podróżnych całą noc kręcił się obdarty, zarośnięty człowiek, który potrząsał nieustannie kilkoma pudełkami zapałek, udając, że gra na perkusji.

Po latach w Rumunii

Do Bukaresztu przyjechałam po 10 latach. To była dziennikarska wyprawa z kolegą z katolickiego miesięcznika, Bogumiłem L. Rumunia pozbyła się komunistycznego dyktatora, zaczynała się dla niej era, w której niektórzy, jeszcze bardzo nieśmiało i z wahaniem, przeczuwali wolność. Przełomem stały się demonstracje w Timişoarze w grudniu 1989 roku. Miejscowi ludzie bronili węgierskiego pastora, protest szybko przerodził się w antyrządowy zryw; w walkach z policją i wojskiem padło 100 zabitych. To był początek. Do demonstrantów przyłączyło się wojsko. 25 grudnia w Bukareszcie dyktator wraz z żoną zostali straceni. Władzę przejęli przeciwni Ceauseşcu komuniści.

Lecieliśmy z Warszawy rumuńskim rozklekotanym samolotem mieszczącym na pokładzie 20 pasażerów. Na lotnisku czekał Emil Marinescu, filozof i matematyk, który miał nas wprowadzić w środowisko prześladowanych za komunizmu katolików. Bukareszt był rozkopany i zrujnowany; kilka lat przed schyłkiem dyktatury Ceauseşcu wydał rozkaz wyburzenia w śródmieściu wszystkich pięknych starych willi w oryginalnym bałkańskim stylu z przełomu wieków, narzucał stolicy i innym miastom koszmarną architekturę stylizowaną na chińskie pagody.

Rozmowa z Emilem i jego przyjaciółmi toczyła się po francusku – języku bardzo w Rumunii popularnym wśród inteligencji, ze względu na dużą liczbę emigrantów z Francji, którzy przyjechali tu pod koniec XVIII wieku, uciekając przed prześladowaniami rewolucji. Były to głównie ogołocone z majątku rodziny arystokratyczne.

Emil poznał nas z grekokatolickim księdzem, który przeżył w więzieniu ponad 20 lat. Mam w oczach jego drobną postać, jasne, bystre oczy, długie siwe włosy i delikatny uśmiech. Mówił skąpo o sobie, opowiadał

eprasa.pl 3207be40fc

natomiast o uwięzionych biskupach, siedmiu męczennikach Kościoła grekokatolickiego.

Wszystkich aresztowano jednego dnia, 28 października 1948 roku wraz z grupą blisko 30 księży. Akt oskarżenia był jednoznaczny – winni są najgorszej zbrodni, nie odcięli się od papieża, nie zaprzestali nauczania wiary. Wiernych zachęcali, by się nie poddali reżimowi, nie zaparli się Boga, nie odrzucili prawdy. Wszystkich poddawano okrutnym torturom w więzieniu, na przemian oferując im wysokie godności w Kościele prawosławnym za wyrzeczenie się wiary. Biskupi: Vasile Aftenie, Valeriu Traian Frentiu, Ioan Suciu, Tit Liviu Chinezu i Alexandru Rusu zmarli w więzieniu, Ioan Balan i Iuliu Hossu – w areszcie domowym. Byli trzymani w pełnej izolacji w niewyobrażalnie urągających warunkach higienicznych, głodzeni, straszeni i torturowani; strażnicy wciąż powtarzali każdemu z nich, że tylko on nie zaparł się wiary, wszyscy pozostali już to uczynili. Biskup Chinezu – ten, który został potajemnie wyświęcony na biskupa przez biskupa Frentiu – przetrzymywany był zimą w pojedynczej lodowatej celi z otwartym oknem, to był tzw. szpital, przeznaczony dla niego, gdy jego choroba serca weszła w krytyczną fazę; tutaj zmarł, a właściwie zamarzł na śmierć w styczniu 1955 roku. Komuniści wyjątkowo dbali, by okoliczności śmierci i miejsca pochowku biskupów pozostawały nieznane. Obawiali się, że mogą stać się miejscami pielgrzymek. Większość została pochowana w anonimowych grobach i wciąż nie są one znane.

„Biskup Vasile Aftenie zmarł 10 maja 1950 w więzieniu w Văcăreşti, a ponieważ był bardzo wysoki i nie mieścił się w zwykłej skrzynce drewnianej, służącej za trumnę, oprawcy połamali mu nogi. Początkowo chciano spalić jego zwłoki, ostatecznie jednak biskupa pochował w wielkiej tajemnicy ksiądz rzymskokatolicki na jednym ze stołecznych cmentarzy według obrządku łacińskiego. Inny kapłan, w obecności i za zgodą władz komunistycznych, postawił nad grobem krzyż z napisem »VA = 1950« (inicjały biskupa i rok jego śmierci). W 1990 ustawiono tam marmurowe epitafium z jego wizerunkiem, które szybko stało się celem pielgrzymek, a 19 maja 2010 jego doczesne szczątki przeniesiono do jednego z kościołów greckokatolickich w Bukareszcie"*.

Pius XII dowiedziawszy się o niezłomnej postawie biskupów i księży grekokatolickich, powiedział w orędziu do narodu rumuńskiego: „[…] pragniemy ucałować łańcuchy tych, którzy niesprawiedliwie uwięzieni, płaczą i są uciskani, ze względu na ataki wobec religii, z powodu zniszczenia świętych instytucji, z powodu troski o wieczne zbawienie swego ludu". Jego następca mianował potajemnie biskupa Iuliu Hossu „in pectore" pierwszym rumuńskim kardynałem. Miało to zapewnić mu bezpieczeństwo w Watykanie, jednak biskup nie przyjął nominacji, bo oznaczałoby to opuszczenie kraju. Oświadczył, że jego miejsce jest w ojczyźnie, tu, gdzie cierpią bracia. Umierając, nazwał swoje 22 lata więzienia drogą błogosławieństwa. Jego bohaterski opór przyniósł gwałtowny rozwój katakumbowych wspólnot rumuńskiego Kościoła grekokatolickiego. Wkrótce po jego śmierci rozpoczął się heroiczny okres podziemnego Kościoła. Jednym z działających w podziemiu księży był nasz nowy znajomy, duszpasterz Emila, i grupy jego znajomych, ich spowiednik i przyjaciel.

Słuchając tej opowieści, w pewnej chwili nie byłam w stanie opanować łez. Emil był wstrząśnięty. – Tu, w Rumunii, nikt już od lat nie potrafi płakać – powiedział. Wszystkie łzy zostały wylane.

Piękna była otwartość Emila; potraktował nas jak bliskich przyjaciół, choć spotkaliśmy się po raz pierwszy w życiu. Gdy byliśmy razem w Bukareszcie, z wielu miast dochodziły już wieści, że zaczynają być odprawiane oficjalnie, publicznie Msze święte. Zwykle pod gołym niebem, bo większość kościołów jest nadal niedostępna.

Emil prowadził nas także do innych ludzi, do swoich przyjaciół i do paru hierarchów. Poznaliśmy biskupa Bukaresztu i nuncjusza apostolskiego. Jakim kontrastem było spotkanie w rezydencji nuncjusza, gdy rozparci w fotelach, częstowani kawą w eleganckich filiżankach słuchaliśmy iskrzących się od bon motów rozważań na temat przyszłości Rumunii odprężonego watykańskiego dyplomaty.

Cristina i jej ukochana Polska

Gdzie spotkałam Cristinę, szczupłą czarnowłosą dziewczynę z wielkimi oczami, zawsze tak gustownie, choć skromnie ubraną? Najprawdopodobniej w pociągu, ale było to już w Polsce, w latach 90. Studiowała w Krakowie teologię. Była zakochana w Polsce i języku polskim. Mówiła i pisała – bo przez dłuższy czas wymieniałyśmy listy – wyszukaną polszczyzną przeplataną francuskimi zwrotami. Jej entuzjazm dla naszego kraju, wielkie zaufanie wobec polskiego Kościoła, oczarowanie bezpośredniością i otwartością Polaków miało w sobie coś odrobinę pensjonarskiego i bałam się, że w końcu spotka ją rozczarowanie. Ale ona była w swojej fascynacji Polską niezmienna. W listach przemycała mi czasem jakąś myśl czy cytat podpisane: „Monseigneur Wladimir Ghica". Było to zawsze coś intrygującego, tym bardziej że nazwisko to padło już wcześniej w naszych rozmowach z Emilem. W końcu dostałam od Cristiny list z kilkoma kartkami skopiowanymi z jakiejś broszury, były to fragmenty pism księdza Ghiki.

eprasa.pl 3207be40fc

„Apostolski włóczęga"

Beatyfikowany w Bukareszcie w 2013 roku kapłan, arystokrata i męczennik reżimu był wnukiem księcia Grzegorza V, ostatniego władcy Mołdawii przed powstaniem Rumunii (w latach 1849–1956). Pamięta się dziś o nim w Rumunii głównie jako o tym, który usiłował zapobiec zagładzie Żydów, a podczas ogromnej klęski głodu w 1946 roku, za pośrednictwem nuncjusza Geralda O`Hary, zabiegał o pomoc Stanów Zjednoczonych dla rodaków, oraz jako o ofierze zbrodni komunistycznych.

Jego ojciec był dyplomatą, reprezentował Rumunię na dworze tureckim, matka wywodziła się z francuskiej szlachty. Rodzina zamieszkała w 1878 roku w Tuluzie, by zapewnić sześciorgu dzieciom odpowiednie wykształcenie. Włodzimierz ukończył prawo, studiował jeszcze m.in. historię, filozofię, literaturę i medycynę w Paryżu, a potem jeszcze filozofię i teologię na Angelicum w Rzymie. Przeszedł na katolicyzm w 1902 roku.

Chciał zostać księdzem, ale Pius X namówił go, by wykorzystał swoje liczne kontakty w świeckich środowiskach niekatolickich i tam szerzył wiarę. W Salonikach opiekował się chorymi wraz z miejscowymi siostrami zakonnymi, a po powrocie do Rumunii otworzył w Bukareszcie pierwszą bezpłatną katolicką klinikę Mariae Bethlehem, duży szpital i sanatorium oraz pierwsze pogotowie ratunkowe w kraju. W czasie I wojny światowej prowadził na dużą skalę akcję pomocy rannym oraz ofiarom trzęsienia ziemi we Włoszech (1915 rok). Jego talenty dyplomatyczne rozwinęły się we Francji, gdzie doprowadził do nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską, zerwanych za czasów III Republiki, za co otrzymał Legię Honorową. Potem bardzo energicznie działał na rzecz odrodzenia uniwersytetu katolickiego w Louvain i odbudowy jego biblioteki.

Przyjął kapłaństwo, mając 50 lat, z błogosławieństwem Piusa XI; był pierwszym katolickim kapłanem w Rumunii, który mógł sprawować Mszę świętą w obrządku łacińskim i bizantyjskim. Zamieszkał w Paryżu, w ubogiej dzielnicy Villejuif, gdzie nie było nawet kościoła, tylko niewielka kaplica, i gdzie został proboszczem. Mimo przyjaźni z osobami ze świata dyplomacji i sztuki, żył ascetycznie. Intrygował intelektualnym poziomem rozmowy, delikatnością i kulturą, a także swoim ubóstwem z wyboru; wielu ludzi nawrócił. Jako protonotariusz apostolski pełnił przy tym stale misje międzynarodowe (m.in. w Azji i Ameryce Południowej), zlecane mu bezpośrednio przez papieża. W Tokio zakładał pierwszy Karmel, otwierał Kongres Eucharystyczny w Sydney. Pius XI nazywał go „apostolskim włóczęgą". Całą II wojnę światową spędził w Rumunii, organizując pomoc dla jej ofiar.

Skazany na wygnanie król Michał stanowczo namawiał go na opuszczenie kraju ogarniętego przez reżim komunistyczny. Został jednak, uznając, że jego zadaniem jest podnosić na duchu rodaków. Gdy aresztowano go w 1952 roku – po odmowie zerwania z papieżem i współpracy z komunistami – był już w podeszłym wieku, z mocno osłabionym zdrowiem. Przez 80 nocy poddawany był morderczym przesłuchaniom, łącznie z biciem i torturami, a następnie skazany na ciężkie więzienie w forcie Lilava. Tu zmarł po niecałych dwóch latach z wycieńczenia. Jak wspominał jeden z więźniów, czuł się „w pełni wolny, bo wypełniał wolę Bożą".

Zostawił po sobie wiele pism, konferencji, medytacji, nielicznych esejów, dość jednak rozproszonych, głównie w języku francuskim. Mając wybitny talent literacki nie dbał, by pozostawić po sobie spuściznę pisarza; pisał tylko wtedy, gdy zmuszały go do tego okoliczności lub potrzeby. Unikał zapisków osobistych. Cristina miała rację, zbierając i kolekcjonując różne fragmenty pism tego niezwykłego mędrca, którego uważała – jak wielu katolików w jej kraju – za świętego. (W 1970 roku w Rumunii powstało Bractwo Przemienienia Pańskiego, którego duchowość wywodzi się z dzieł Władimira Ghiki).

Emil, Cristina, młoda kobieta z Alba Julia, której imię zatarło się już w mojej pamięci – przyjaciele Rumuni nie pozwalają zapomnieć o kraju, którego cierpień nie zna – i chyba nie chce znać – dzisiejszy świat. Wydają się one czymś bez znaczenia wobec wielkiej niewiadomej przełomowego czasu w polityce – w którym Rumunia z pewnością odegra znaczną rolę – epokowych przemian gospodarczych, wizji przyszłych wydarzeń, którym nadaje się prawdziwie rewolucyjne znaczenie.

Na początku ery komunizmu biskup Tit Liviu Chinezu nie miał wątpliwości, że rumuński Kościół „wszedł na Drogę Krzyżową". Mówił o tym, odwiedzając katolickie rodziny. Ten „Wielki Tydzień" jest niezbędny, by Kościół był czysty i nieskalany: „Cierpienie samo w sobie nie jest przyjemne, ale podobnie jak cierpienie matki, zawsze jest źródłem dobra i radości. Dzięki niej na świecie rodzi się coś, co wcześniej nie istniało: człowiek, cnota, ukształtowanie ludzkiego umysłu"**.

Być może to jednak zbyt mało dla ludzi ekscytujących się systemowymi przemianami – w tych kalkulacjach ich podmiot, niepowtarzalne ludzkie istnienia, zdaje się przynależeć bardziej do świata wirtualnego niż rzeczywistego.

---

* Cyt. za portalem Misyjne.pl

** Cyt. za artykułem Nistora Alin Badiceanu

eprasa.pl 3207be40fc

BISKUP-WOJOWNIK JON ARASON I OSTATNI BÓJ ISLANDZKICH KATOLIKÓW

Tomasz Gromadka

Prawie całe swe biskupie życie spędził u boku konkubiny, z którą związał się zaraz po święceniach kapłańskich. Spłodził z nią co najmniej dziewięcioro dzieci. W wolnych chwilach pisał wiersze i piosenki, do których jego diecezjanie tańczyli w karczmach. W chwili próby stanął jednak zbrojnie w obronie wiary katolickiej – dzięki jego oddziałowi do klasztorów wracali zakonnicy, a w kościołach znów odprawiano msze. Taki był Jon Arason, ostatni przed rewolucją protestancką katolicki biskup na Islandii.



FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 3207be40fc


olmfridæ vultus si vis vidisse decoros:
Effigies oculis sistitur hæcce tuis.
ta fuit. Magnis patet hoc, Natalibꝰ: at non
Est minor hic Radix Semine, crede, suo.
Non ignota loqvor: casta Pietate coëgit
In Laudes omnes candida qvippe suas.
Addita Cælicolis animaē: hæc corpora poscūt
Justa sibi. Tumuli nota perennis erūt.

Jon to robotnik ostatniej godziny – jego spokojne (jak na tamtą epokę) życie skończyło się, gdy na statku przypłynął wysłannik króla Danii, ogłaszając, że wolą monarchy jest, by Islandia przyjęła protestantyzm. Dla grzesznego biskupa była to potencjalnie idealna okazja, by zagłuszyć sumienie – przejście na luteranizm pozwoliłoby łudzić się wizją zbawienia bez nawrócenia. Nieco wcześniej precedens stworzył król Henryk VIII, który założył własny Kościół, aby móc się rozwieść. Islandzki duchowny przemógł jednak pokusę. Gdy wraz z synami wyruszał na wojnę w obronie wiary, być może powtarzał sobie: „Zostałem powołany – czyż nie było lepszych?". Nie było lepszych. Kiedy w 1550 roku głowa biskupa Jona spadła po siedmiu uderzeniach katowskiego topora, katolicka Islandia przeszła do historii.

Wikingowie wybierają Chrystusa

Jon (jego imię zapisuje się po islandzku w formie Jón i w przybliżeniu wymawia jak „joun") był ostatnim z długiego szeregu katolickich biskupów Islandii. Historia Kościoła na wyspie sięga samych początków osadnictwa. Celtyccy mnisi-pustelnicy byli pierwszymi ludźmi, którzy osiedlili się tam w niewielkiej liczbie u świtu średniowiecza, choć ich liczba była tak niewielka, że gdy w I połowie IX wieku Niejaki Naddod jako pierwszy wiking dopłynął przypadkiem na Islandię, na żadnego z nich nie natrafił.

Skandynawowie osiedlali się na Islandii począwszy od schyłku IX wieku. Za pierwszego kolonistę symbolicznie uchodzi Ingolf Arnarson. Przybył on latem 874 roku i zamieszkał nad morzem, w miejscu, które nazwał Dymiącą Zatoką – po islandzku Reykjavik. Dla pionierów IX i X wieku Islandia była krainą wolności – nie sięgała tam władza skandynawskich królów, obowiązywało jedynie ustne prawo zwyczajowe, oparte na więziach rodowych i sąsiedzkich. Ważnym jego elementem była wróżda, czyli zemsta ofiary na krewnych przestępcy, prowadząca często do wielopokoleniowych krwawych waśni między rodami (podobny mechanizm dochodzenia sprawiedliwości znali też inni Germanie oraz Słowianie).

Mimo braku władcy, Islandia nie była krainą anarchii. Islandczycy regularnie gromadzili się na thingach – wiecach, gdzie decydowano o sprawach publicznych i przeprowadzano sądy. (Wróżba mogła stanowić wykonanie wyroku). Raz w roku, w czerwcu, na Polu Zgromadzeń obradował althing – centralny wiec, w którym mógł uczestniczyć każdy wolny Islandczyk. Ponieważ prawo nie było spisane, na początku każdego althingu recytował je specjalny urzędnik, zwany lögsögumadem.

To właśnie althing w 1000 roku podjął decyzję o przyjęciu chrześcijaństwa. Wielu Islandczyków wyznawało już wtedy wiarę w Chrystusa – do nawróceń dochodziło na ogół w czasie podróży do Europy, niekiedy nawet podczas łupieskich wypraw. Tak było w przypadku św. Olafa, króla Norwegii, który za młodu siał postrach w Europie. Zima spędzona na dworze książąt Normandii w Rouen doprowadziła do jego nawrócenia – przyjął on chrzest, a gdy potem zdobył władzę w Norwegii, robił wszystko, by doprowadzić do chrystianizacji ojczyzny. W 1030 roku poległ jako męczennik w bitwie ze zwolennikami pogaństwa, a jako święty stał się głównym patronem Norwegii. Sanktuarium w Nidaros, gdzie spoczął, stanowiło popularny cel pielgrzymek aż do czasów rewolucji protestanckiej. (Do grobu św. Olafa pielgrzymowała tytułowa bohaterka „Krystyny, córki Lavransa", wspaniałego dzieła Sigrid Undset, za które ta norweska konwertytka otrzymała nagrodę Nobla).

Decyzja althingu była zupełnie wolna – żaden z władców z kontynentu nie zagrażał wówczas Islandii. W dość podobny sposób – na wiecu – nawróciło się jedno z królestw anglosaskich, Northumbria (artykuł na ten temat opublikowano w grudniowym numerze „Nowego Państwa"). Średniowiecze to epoka o wiele bardziej demokratyczna, niż mogłoby się zdawać, a pod wieloma względami duch demokracji był wówczas silniejszy, niż jest współcześnie.

Piwo, pieśni i msza

Przez 550 lat, jakie minęły od decyzji althingu do ścięcia bp. Jona, Kościół zdążył zapuścić na wyspie głębokie korzenie. Już pół wieku po chrzcie w miejscowości Skalholt powstało biskupstwo, a pierwszym jego pasterzem został Islandczyk, Isleif Gizurarson. Drugie biskupstwo utworzono w Holarze w 1106 roku. To właśnie tam władzę sprawować miał Jon Arason. Wnet po chrzcie na wyspie powstawać zaczęły pierwsze klasztory. Należały do benedyktynów (męskie i żeńskiej gałęzi) oraz augustianów. Z Islandii katolicyzm przenikał do kolonii skandynawskich na Grenlandii. Żyło tam kilka tysięcy osób, a w różnym okresie funkcjonowały łącznie trzy klasztory. W XII wieku w osadzie Gardar ufundowano grenlandzkie biskupstwo, którego pamiątką jest – istniejący do dziś – pastorał wykonany częściowo z kłów morsa. Gdyby skandynawskie kolonie w Nowej Fundlandii przetrwały dłużnej niż kilka(naście) lat, zapewne i tam dotarłyby misje.

Mimo ciemności północy średniowieczni Islandczycy potrafili cieszyć się darami Boga, i to na sposoby niekiedy dość szokujące – uzyskali indult kościelny na spożywanie piwa… w trakcie mszy. Dotyczył on tych wiernych, którzy nie przyjmowali Komunii (za infor-

eprasa.pl 3207be40fc

macje o piwie dziękuję Michałowi Gniadkowi-Zielińskiemu).

W długie, ciemne wieczory radość Islandczykom prócz piwa przynosiło śpiewanie pieśni i opowiadanie sag. Uczono się ich na pamięć, wikingowie znali bowiem pismo i mieli własny alfabet, zwany futharkiem lub pismem runicznym, stosowali go jednak prawie wyłącznie do pisania krótkich inskrypcji magicznych, na przykład na mieczach, albo do pisania na kamieniach, na przykład nagrobnych. Dopiero gdy poznali alfabet łaciński, nastąpił wysyp literatury, i to nie tylko po łacinie, jak w ówczesnej katolickiej Europie (z wyjątkiem Anglii), lecz przede wszystkim w rodzimym języku. Niewielki naród stworzył taki ogrom tekstów, że nawet dziś – mimo że w toku dziejów wiele z nich bezpowrotnie przepadło – zajmują one całe półki w islandzkich bibliotekach.

Największym poetą i historykiem w dziejach średniowiecznej Islandii był Snorri Sturluson, autor zbioru sag o królach Norwegii (znanego pod tytułem „Heimskringla"; wydano go ostatnio w trzech tomach po polsku) oraz „Eddy prozaicznej" – wielkiego opisu mitologii skandynawskiej. Gdyby wierzeń pogańskich Germanów nie spisali katoliccy pisarze, nasza wiedza o nich byłaby doprawdy szczątkowa – jest to faktem, wbrew temu, co mówią wrogowie średniowiecza i Kościoła, oskarżający go o niszczenie wiedzy o pogańskiej Europie.

Luterańska burza

31 października 1517 roku Marcin Luter przybił 95 tez do drzwi katedry w Wittenberdze. Wkrótce potem cała Północna Europa drżała w posadach. Bardzo szybko idee protestanckie zaczęły docierać do Skandynawii.

Islandia znajdowała się wówczas pod władzą Danii – podobnie jak Norwegia, Wyspy Owcze i Grenlandia. Suwerenność straciła w XIII wieku, zachowywała jednak aż dotąd dużą swobodę – o sprawach wewnętrznych wciąż decydował althing i dwaj biskupi. Król Danii, Chrystian III, okazał się gorliwym zwolennikiem protestantyzmu. W 1521 roku osobiście poznał Lutra. Początkowo władający tylko południowymi częściami kraju, a potem – po zwycięskiej wojnie domowej – całym państwem, poświęcił swe panowanie, by narzucać idee zbuntowanego augustiańskiego mnicha. Robił to w sposób iście rewolucyjny – w Danii rozpoczął od aresztowania biskupów. Pozbawione przywódców duchowieństwo nie stawiało długiego oporu, zwłaszcza że jego szeregi osłabły już wcześniej, jeszcze przed nastaniem rządów Chrystiana III, gdy wielu księży przeszło na stronę Lutra (najsłynniejszym był joannita o. Hans Tausen, zwany Duńskim Lutrem). Odtąd Kościołem rządzili wybierani przez króla superintendenci (słowo to oznacza z łacińskiego nadzorców – dobre to określenie). W ten sposób cesarz posiadł to, co boskie.

Po narzuceniu protestantyzmu w Danii, Chrystian III przystąpił do kontynuowania swego „dzieła" w pozostałych rządzonych przez siebie krajach. Najpierw siłą wprowadził luteranizm w Norwegii, później z jego woli swoją katedrę stracił katolicki biskup Wysp Owczych, a wreszcie wzrok króla spoczął na dalekiej Islandii.

W 1537 roku jego posłańcy przywieźli edykt, nakazujący wprowadzić na wyspie protestancką doktrynę. Islandczycy jednak już raz wybrali religię i mimo upływu wieków nie zmienili wyboru. Jak pisał wielki historyk islandzkiej reformacji, Páll Eggert Ólason, „nie można znaleźć żadnego przykładu, aby ktokolwiek w XV w. i na początku XVI w. angażował się tutaj w spór z biskupami na tle doktrynalnym lub aby ktokolwiek wykazywał świadomość potrzeby zmiany wiary lub takich idei w ogóle".

Początkowo głównym ogniskiem oporu wobec protestantyzmu stał się Skalholt i jego biskup, Ögmund Palsson. W liście do króla Chrystiana wprost – choć w delikatnych słowach – odrzucił on doktryny Lutra, a w odezwie do Islandczyków wezwał ich do wierności tradycyjnej doktrynie.

Jeden z ludzi duńskiego gubernatora Islandii, Didrik van Minden, nie zamierzał z kolei czekać na kolejne posunięcia króla. Protestantyzm nie przewiduje istnienia życia monastycznego, van Minden zebrał więc 13 zbrojnych towarzyszy i w Zielone Świątki napadł na augustiański klasztor Videy koło Reykjaviku. Najeźdźcy wypędzili zakonników i zagrabili mienie klasztoru – budynki, ziemię i zwierzęta. Rozochocony łatwymi łupami van Minden poszedł o krok dalej – tym razem za daleko. Wraz z kompanami ruszył do samego Skalholt, siedziby biskupa, i tam znieważył przywódcę Kościoła na oczach tłumu. Jego banda zbrojnych nie zdążyła nawet pożałować tego czynu. „Nec Hercules contra plures" – tłum Islandczyków rozszarpał Duńczyka i jego ludzi.

Dla starego biskupa Ögmunda, całkiem już prawie ślepego, było tego za wiele. Postanowił wycofać się z życia Islandii, oddając katedrę swej prawej ręce – ks. Gizurowi Einarssonowi. Okazało się to błędem fatalnym w skutkach – Einarsson był kryptoprotestantem i gdy tylko objął władzę w diecezji, zrzucił maskę katolika, przystępując do wprowadzania reformy. Duńskie wojska pomagały mu w oczyszczeniu religii ze „zbędnych naleciałości" – niszczyły istniejące klasztory, paliły obrazy, szaty liturgiczne, cenne manuskrypty (tak jak w klasztorze w Helgafell), zabierały do przetopienia wyposażenie kościołów (na przykład monstrancje), wreszcie niszczyły relikwiarze, posuwając się nawet do

eprasa.pl 3207be40fc

otwierania grobów i wyrzucania kości. Duńczycy aresztowali też biskupa Ögmunda. Żołnierze zabrali go nocą z farmy jego siostry. Mimo jego wieku nie pozwolili mu nawet ubrać się ciepło i wyprowadzili na mróz w nocnej koszuli. Czcigodny starzec zmarł na statku, gdy transportowano go do Danii. Jedynym przywódcą katolików na Islandii i zarazem jedynym biskupem na całym obszarze rządzonym przez Chrystiana III pozostał wtedy Jon Arason.

Zostałem powołany – czyż nie było lepszych?

Arason nie był już młody, gdy przyszło mu stać się uczestnikiem wielkiej historii – liczył około 55 lat. Biorąc pod uwagę realia średniowiecza, można stwierdzić, ze stał u progu starości. Przez większość swojego życia był człowiekiem przeciętnym, i to w złym tego słowa znaczeniu – w owym czasie celibat na Islandii wciąż jeszcze nie obowiązywał, ale Jon nie zatroszczył się nawet, by zawrzeć małżeństwo z kobietą, z którą żył. Była to Helga Sigurdardottir, z którą związał się wkrótce po święceniach kapłańskich (miał wówczas 23 lub 24 lata). Helga urodziła mu co najmniej dziewięcioro dzieci – dwaj synowie, w tym jeden ksiądz, będą potem razem z nim przewodzić powstaniu katolików.

Przykład bp. Jona nie był wyjątkiem. Według Jenny Jochens, mediewistki duńskiego pochodzenia, która badała kwestię celibatu na średniowiecznej Islandii, tylko dwóch biskupów (jeden z nich, Torlak, został kanonizowany) dążyło do wprowadzenia bezżenności duchownych. Badaczka ta przyznała, że nie udało jej się odnaleźć w źródłach śladu ani jednego(!) – poza mnichami – prezbitera, który żyłby w celibacie. Zgodnie z tamtejszym prawem mogli mieć oni żony – grzechem było dopiero posiadanie konkubiny (jak bp Jon) lub zawarcie małżeństwa wbrew przepisom, na przykład z bliską krewną. Średniowieczna Islandia przypominała pod tym względem Kościół greckokatolicki lub ordynariat personalny dla byłych duchownych anglikańskich, gdzie również nie obowiązuje celibat. W istocie kwestia celibatu jest ważna, ale drugorzędna w porównaniu z zagadnieniami doktrynalnymi, takimi jak istota mszy, rozumienie kapłaństwa czy kult Matki Bożej i świętych. To właśnie ogromne różnice w wyznawanej doktrynie nie pozwoliły Jonowi przystać do protestantów. Islandczyk wybrał Kościół, który potępiał jego grzechy, a nie ten, który gotów był je usprawiedliwić. Przez wiele lat swego życia Jon Arason był wielkim grzesznikiem, niemniej widział swe zło i nie usiłował nazywać go cnotą. Szczęśliwie przyszło mu żyć przed opublikowaniem „Amoris laetitia".

Gdy wyznawcy idei Lutra opanowali diecezję w Skalholt, Jon początkowo usiłował nawiązać z nimi poprawne stosunki dyplomatyczne, jednocześnie nie pozwalając na przenikanie protestanckich nowinek do jego własnej diecezji. Podobną politykę prowadził wobec króla Chrystiana, który zgodził się w zamian za haracz (tzn. podwyższenie danin) na utrzymanie status quo w Holarze. Nie ulega jednak wątpliwości – jak wskazuje historyk Tryggvi Oleson – że po śmierci Jona król ukróciłby ten karnawał „papistów". Ze strony Jona nie był to kompromis, ale przejaw roztropności – cnoty, która każe dobierać odpowiednie środki do osiągnięcia wyznaczonego celu. Biskup szykował się do wojny, a czekał, by mieć więcej czasu na zebranie sił i sojuszników.

Czas miecza

Gdy Gizur Einarsson, protestancki „biskup" Skalholt, zmarł wiosną 1548 roku, Jon uznał, że nadszedł czas działania. Zgodnie z prawem wybór biskupów na Islandii zatwierdzali arcybiskupi z norweskiego Nidaros. Katedra w Nidaros była jednak zrujnowana, a ostatni tamtejszy pasterz kilka lat wcześniej zmuszony do ucieczki. Jego miejsce zajął protestancki superintendent. Jedynym zwierzchnikiem Jona pozostał papież, ale on był daleko – kontakt z nim zajmował wiele miesięcy. Jon uznał więc, że wedle zasady działania Kościoła „salus animarum suprema lex" („zbawienie dusz najwyższym prawem"), on sam ponosi odpowiedzialność za los całej Islandii. Wyruszył do Skalholt i zwołał tam synod duchowieństwa, na którym biskupem wybrano gorliwego katolika i opata augstiańskiego, Sigvarda Halldorssona. Protestancka mniejszość nie zaakceptowała tej elekcji – zwołała własny synod, który wybrał na biskupa Marteinna Einarssona.

Prawo królestwa wymagało, by każdy nowy biskup uzyskał aprobatę króla – twórcy prawa nie przewidzieli jednak, że król odstąpi od Kościoła katolickiego. Sigvard, katolicki biskup Skalholt, nieroztropnie popłynął do Danii na spotkanie z królem i… pozostał tam do końca życia. Nie pozwolono mu wrócić. Zamiast tego na Islandię przybył posłaniec, wzywający biskupa Jona przed oblicze króla. Jon nie popłynął – wiedział, że mogłaby to być jego ostatnia podróż…

Król-tyran nie zamierzał dalej tolerować nieposłusznego biskupa – ogłosił jego detronizację i zwolnił diecezjan z obowiązku posłuszeństwa. Na Islandczykach nie zrobiło to wrażenia – protestantyzm popierała wyłącznie niewielka grupa luterańskich neofitów ze Skalholt i współpracowników Danii. Wsparcie dla odważnego biskupa przyszło też z Rzymu – napisał do niego papież Paweł III, ten sam, który ustanowił zakon jezuitów i wydał encyklikę w obronie Indian. Papież pisał: „Otrzymaliśmy Wasze listy […], prawdziwie pełne pobożności wobec Boga oraz szacunku i posłuszeństwa wobec nas i tej Świętej Stolicy, za co polecamy Was

eprasa.pl 3207be40fc

w szczególny sposób Panu Bogu. Zachęcamy Was, abyście wraz z powierzoną Wam trzodą wytrwali w nich [w pobożności i posłuszeństwie – przyp. T.G.], aby otrzymać pochwałę od ludzi na ziemi i życie wieczne w niebie od samego Boga".

Umocniony przez Rzym, Jon postanowił działać, nie czekając na ruch przeciwnika – cel stanowiło obalenie luterańskiego „biskupa" Skalholt. Pierwsza wyprawa, którą poprowadził osobiście, nie powiodła się, ale druga – dowodzona przez Ariego i ks. Björna, synów biskupa – odniosła sukces. Marteinna Einarssona schwytano, gdy nocował na wiejskiej plebanii w czasie podróży po diecezji. Uwięziono go w Holarze, a Jon… napisał kilka humorystycznych wierszy, kpiących z niego.

Wkrótce potem biskup-wojownik podążył do Videy – augustiańskiego klasztoru, zajętego siłą przez Duńczyków na samym początku rewolucji protestanckiej. Siły Jona rozgromiły okupanta, a dawny opat odzyskał klasztor. Jon wraz ze swoimi zbrojnymi jeździł odtąd po kraju i przywracał ład – do klasztorów wracali zakonnicy, w kościołach znów odprawiano msze, a ci duchowni z diecezji Skalholt, którzy przyjęli luteranizm, musieli powrócić do katolickich nauk, jeśli nie chcieli, by spadła na nich ekskomunika. W katedrze w Skalholt odprawiono nabożeństwa ekspiacyjne.

In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum

Jednym z nielicznych wrogów Jona na Islandii był zamożny gospodarz Dadi Gudmundsson, szwagier Marteinna Einarssona, uwięzionego luterańskiego „biskupa". Jego osada pozostawała ostatnim ogniskiem oporu protestantów.

Wyprawa przeciw Dadiemu nie wydawała się niczym istotnym. Jon zbagatelizował ją, zbyt pewny siebie po wcześniejszych sukcesach. Wyruszył wraz z synami, prowadząc zaledwie kilkudziesięciu ludzi. Dadi tymczasem przygotował zasadzkę – jego ludzie o poranku podkradli się blisko szeregów biskupa zupełnie niezauważeni. Wykorzystali gęstą mgłę, która spowiła kraj tamtego październikowego dnia. Zaskoczeni nagłym pojawieniem się wroga katolicy zostali rozgromieni. Jon i jego synowie skryli się w pobliskim kościele, ale ludzie Dadiego weszli tam, nie bacząc na prawo azylu, i wzięli ich do niewoli.

W niewielkim kraju nie znalazł się nikt, kto zebrałby zbrojnych i uwolnił biskupa. Dadi przekazał go wysłannikowi króla Danii, Christianowi Skriverowi, a ten postawił mu 17 zarzutów i skazał na śmierć. 7 listopada 1550 roku w Skalholt bp. Jona i jego dwóch synów ścięto toporem. Starszy z nich rzekł przed śmiercią: „Niechętnie wszedłem do tej gry, ale teraz chętnie z niej odchodzę". Jon z kolei – gdy w ostatniej chwili chciano okazać mu łaskę – odparł, że pragnie dołączyć do synów. Nim schylił głowę pod topór, ukląkł, by pomodlić się do Matki Bożej, za co zrugał go obecny tam luterański pastor. Egzekucja nie była szybka. Po trzecim uderzeniu toporem wciąż żywy biskup powiedział po łacinie: „In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum" („W ręce twoje, Panie, powierzam ducha mojego"). Dopiero siódmy cios zadał mu śmierć.

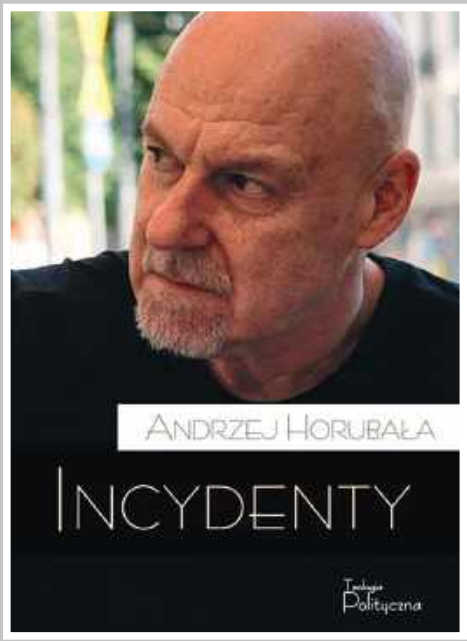
Noc reformacji

Wysłannikowi duńskiego króla, Christianowi Skriverowi, który skazał Jona, nie było dane doczekać starości. Jego życie skróciła córka biskupa Jona – dzielna Thorun. Nie miała odwagi, by odbić ojca, gdy ten był w niewoli, ale gdy dotarła do niej wieść o egzekucji, obudził się w niej duch wikingów i ta wojownicza Islandka zebrała kilkudziesięciu ludzi, z którymi wyruszyła, by dokonać zemsty. Gdy Skriver podróżując po kraju, zatrzymał się na nocleg w gospodarstwie pewnego rolnika, ludzie Thorun wycięli otwór w dachu, weszli przezeń do środka i zabili Duńczyka oraz jego świtę.

Rok później Chrystian III wysłał oddziały, które miały ostatecznie spacyfikować niepokorną wyspę. Tym razem zabrakło przywódców, którzy mogliby przeciwstawić się wrogowi. W czerwcu 1551 roku wolni Islandczycy musieli złożyć królowi przysięgę wierności, a na stolicy biskupiej w Holmarze zasiadł luteranin. Nim się to stało, wojska duńskie ograbiły katedrę i jej skarbiec. W opanowanym przez nie kraju bez większych przeszkód oczyszczano religię ze „zbędnych naleciałości" – niszczono wciąż istniejące klasztory, palono obrazy, szaty liturgiczne, cenne manuskrypty, rabowano paramenta liturgiczne (na przykład złote monstrancje), wreszcie niszczono relikwiarze, posuwając się nawet do otwierania grobów i wyrzucania kości. Katolicyzm stał się religią zakazaną aż do XIX wieku.

Kanadyjski mediewista islandzkiego pochodzenia Tryggvi Oleson trafnie posumował rewolucję protestancką w ojczyźnie jego przodków: „[…] początek XVI wieku charakteryzował się renesansem literackim i znaczną pomyślnością. Był to jednak fałszywy świt. Około 1550 roku w kraju zapadała noc. Reformacja przyniosła ze sobą królewski absolutyzm i odrażający blask palenia czarownic w XVII wieku. Królewski absolutyzm zrujnował dobrobyt gospodarczy, a niewielkie bogactwo, jakie posiadał kraj, wywieziono za granicę. W pewnym stopniu aktywność intelektualna przetrwała do XVII wieku, ale jej zakres był bardzo ograniczony". Gorsza od ruiny materialnej i kulturowej była jednak ruina duchowa – protestantyzm okazał się bezpłodny i z upływem wieków obumarł, pozostawiając po sobie pustkę obojętnego religijnie społeczeństwa. ■

eprasa.pl 3207be40fc



Andrzej Horubała, „Incydenty", Teologia Polityczna, Warszawa 2024

Krzysztof Wołodźko



Eschatologia i transformacja. Opowiadania Andrzeja Horubały

Eschatologia, transformacja, blichtr stołecznego świata, ambitni prowincjusze, skorumpowani patrioci, zmęczeni sobą księża, styk wielkiej polityki i brudnego biznesu, małe cuda i jeszcze mniejsze miasteczka, cynizm show-biznesu, tragifarsa ludzkich namiętności, przemiany społeczne idące w poprzek porozbijanych rodzin. I ledwo zaznaczona, lecz wciąż widoczna nadzieja na Bożą łaskę. Andrzej Horubała od lat opowiada o Polsce wbrew literackiej, mainstreamowej sztampie. Wrzucony do szuflady z napisem „prawicowy autor" mówi „Nowemu Państwu": „Nie wstydziłbym się etykietki »pisarza katolickiego«, chociaż wiem, że raczej nie zagoszczę z »Incydentami« w kioskach parafialnych".

eprasa.pl 3207be40fc

Pod koniec 2024 roku nakładem Teologii Politycznej ukazały się „Incydenty", zbiór opowiadań Andrzeja Horubały. Niegdysiejszy „pampers", jak złośliwie nazywano prawicowych szefów TVP na początku lat 90.; autor kilku mniej lub bardziej głośnych książek, w których rozliczał się ze swoim środowiskiem i potransformacyjną Polską; współtwórca kontrowersyjnego cyklu dokumentalnego „System 09", swoją ostatnią powieść, „Wdowa smoleńska albo niefart", wydał w 2021 roku. W naszej najnowszej historii to cała epoka, naznaczona rozognionym sporem wokół aborcji, pandemią, wojną Rosji przeciw Ukrainie, zmianą władzy jesienią 2023 roku. Znaczną część tych wątków znajdziemy w kolejnych opowiadaniach składających się na „Incydenty". Niekiedy wyznaczają główną oś fabuły, niekiedy są życiowym tłem bohaterów i bohaterek. A może lepiej: nurtem coraz bardziej spienionych wód, nazywanych prozą życia.

„Teraz widzimy jakby w zwierciadle"

Prawicowy pisarz? Katolicki pisarz? Jedni używają takich terminów, by żywcem pogrzebać lub na jedynie słusznych łamach zdyskredytować adwersarzy. Dla drugich są rękojmią dobra, prawdy i piękna albo ich współczesnej wersji – słuszności we własnej ideowej bańce. Dla innych to nadzieja na opowieści ku pokrzepieniu serc, polukrowane, patetyczne, poczciwe. Zapytałem Andrzeja Horubałę o „Incydenty", miniatury współczesnej polskiej duchowości, świadectwa jej przekształcania, zanikania, przemilczania. Współczesna literatura na ogół przeocza ten fenomen, a jeśli podejmuje temat, to jako rozprawę z garbem czy wręcz przemocowością i patologiami katolicyzmu. Autora „Umoczonych" nie da się łatwo zapisać ani do klubu radykalnie laickich, ani zdecydowanie konfesyjnych autorów. On sam rzecz widzi następująco: „Krzysztof Koehler określił moją sztukę mianem głęboko chrześcijańskiej, ale od razu zastrzegł się, że takie zaszeregowanie może dzisiaj zaszkodzić artyście. Ale ja nie wstydziłbym się etykietki »pisarza katolickiego«, chociaż wiem, że raczej nie zagoszczę z »Incydentami« w kioskach parafialnych".

To, co dla arbitrów elegancji radykalnie świeckiej kultury jest zatęchłą bogoojczyźnianą sztampą, wdzięcznym tematem do szyderstw, dla Horubały jest treścią dramatu. Dramatu egzystencjalnego, duchowego, mistycznego być może, eschatologicznego. Tyle że „teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno". Dobrze to uzmysławiają postaci nakreślone w „Incydentach", dominikanin – intelektualista z „Mniszka", starszy ksiądz diecezjalny z „Mozaiki". W świat wpisane jest napięcie, ważność/błahość, która nadwrażliwych albo przyprawia o rozpacz, albo każe im szukać ucieczki w rezygnacji lub cynizmie. A najlepsi młodo umierają. Twarda materia doczesności, ludzkich perypetii, raczej mniejszych niż wielkich historii okazuje się butwiejącą dekoracją, zza której czasem prześwituje najważniejsze. O ile Najważniejsze w ogóle jest. Bohaterowie Horubały, choć stygną w nich serca, nierzadko wciąż w nie wierzą. Ale nie słyszą anielskich fanfar, wieści o cudach przyjmują sceptycznie, własnej wierze sprzed lat przyglądają się z rosnącym poczuciem straty. Czasem rozstajemy się z nimi, gdy po kryzysie przychodzi nadzieja. Albo daleko poza ich wzrokiem i rozumieniem znów dotyka, ledwo co muska, ich łaska. Jej świadkowie mijają zarozumialców w drzwiach kościoła, pchając wózek z dzieckiem z niepełnosprawnością – mądrość tego świata Bóg wniwecz obraca („Pluszak"). Najwyraźniej to światło, łapane przez mgnienie oka, czyni Horubałę „zbyt kontrowersyjnym" dla stołecznych salonów.

Katolicki pisarz, którego nie uświadczy się w kioskach parafialnych? Czym może gorszyć Horubała wiernych parafian, którzy o Kościele i księżach wiedzą już chyba wszystko? Pozwolę sobie na krótkie wspomnienie. W klasie maturalnej mojego katolickiego liceum w Poznaniu, gdy już właściwie było po egzaminach, ojciec rektor Bernard Hylla CR wziął nas na parudniową wycieczkę do Warszawy. Po latach odwiedziłem to miejsce, kościół przy Chełmskiej, skąd na piechotę chodziliśmy do Łazienek i znacznie dalej: nad Wisłę i na Starówkę. W domu parafialnym księży zmartwychwstańców znalazłem wówczas zakurzony egzemplarz „Mocy i chwały" Grahama Greene'a. Długo nie mogłem wyjść ze zdumienia nad powieścią, która pokazywała kompletnie nieznany mi Kościół. Tłumaczyła rzeczy, których nie rozumiałem, i ostrzegała przed sprawami, których nie pojmowałem. Ale dzięki powieści angielskiego pisarza stało się dla mnie jasne, że katolicki autor może psuć dobry nastrój jeszcze bardziej katolickim czytelnikom. I że opowieść o wierze, choć nie chce bluźnić, może kompletnie nie pasować do poczciwych opowiastek z życia miłych w obyciu świętych, które tak lubiły pobożne niewiasty w czasach mojej młodości; do kremówkowych dykteryjek okraszających przed laty nabożeństwa majowe, a nawet do opowieści o prześladowaniach i męczeństwach – szybko zmierzających do pobożnego happy endu, byle nie psuć nastroju przy obiedzie czy kolacji w zakonnych refektarzach.

Katolicki pisarz i „zbędni ludzie"

Katolicki pisarz może pokazać życie tak prozaiczne, pogmatwane, gorzkie i dziwaczne, jakby Boga już w świecie nie było. A gdy okazuje się, że łaska wciąż

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 3207be40fc

działa, to jak nikły promień światła padający na zakrwawiony kamień, stary mur, ciemny las. Opowiadania Horubały chyba nie spodobają się tym, którzy czekają anielskich trąb jako dowodu boskiej interwencji po każdym złym żarcie losu i chcieliby codziennie śpiewać Hossannę wraz z oklaskującymi Jezusa tłumami – albo wciąż wierzą, że jedną czy drugą ustawą da się zmienić III RP w naszą małą Christianitas. Pewne jest jedno. W opowiadaniach z „Incydentów" łaska wraca, godząc w większe i mniejsze interesy ludzi opętanych pychą tego żywota, czasem okrutnie kpiąc z pobożnych i bezbożnych udręk i ekstaz, podważając złe i dobre intencje ludzi wszelkich stanów, niekiedy okazując się nauczką i pomstą, jak we „Fryzjerce" lub „Ptasi i zakonnicy", albo burząc stare schematy rodzinnych relacji i nakazując milczenie w najtrudniejszych sporach („Hanka"). Bohaterowie tych opowiadań są tak przyziemni, nieporadni wobec własnej intymności, czasem ociężali jak zestarzałe zło, a jednak zasługują na miłosierdzie.

Czy dla Jego bolesnej męki to Bóg się nad nimi i nad nami lituje? Czy Boga nie ma i niekiedy lituje się tylko pisarz? Temat w sam raz dla kulturowych katolików i postkatolików, którzy mają jeszcze gdzie drukować i tokować. Pozostańmy przy spostrzeżeniu, że dla Horubały, w odróżnieniu od jego kolegów i koleżanek z mainstreamu, tak przedstawieni ludzie nie są obiektem szyderstw. Nie odrzuca ich i nie przemilcza. Bierze ich słabości, głupotę, rozterki i nikczemności na serio. Bierze na serio ich religijność, wspomnienia płomiennych lat, pragnienie łaski, wyrzuty sumienia i ból starzejących się ciał, gdy myślą o księdzu Jerzym Popiełuszce albo starości Jana Pawła II. Dostrzega znaczenie, ciężar, splendor tego, co służy dziś jako tło mniej lub bardziej okrutnych żartów. Bierze na poważnie to, do czego niepewni własnych racji i poranieni wierzący nie mają prawa w świecie zdominowanym przez zupełnie inne opowieści. Nie uważa ich za zbędnych ludzi. Nieco złośliwy bywa za to dla tych, którzy chcieliby z nich zakpić, zrobić sobie śmieszne zdjęcie z katabasami w tle. To jedynie domniemanie, publicystyczna psychologizacja, ale może ta ostrożność, dystans, przepracowane w kolejnych powieściach rozczarowania sprawiły, że autor „Incydentów" nie stanął w szeregu tych, którzy albo odwrócili się od Kościoła, albo odkryli, że dogodniej i bezpieczniej będzie stać się pryncypialnymi krytykami katolicyzmu po polsku.

Piętnaście lat temu zrobiłem z Andrzejem Horubałą spory wywiad dla „Nowego Obywatela". Zapytany, na ile prawdziwie opisywana jest współczesna Polska przez opiniotwórcze kręgi, pisarz odpowiedział: „Polska literatura uległa nie tylko skomercjalizowaniu, ale i zideologizowaniu. Od początku lat 90. przestrzeń rozmowy o nas samych była modelowana przez bardzo silne schematy: »Gazeta Wyborcza« wskazywała, czym należy się zajmować, i narzucała tembr głosu. Nie udało się przebić opowieściom prywatnym, niezależnym. Gdyby przeprowadzić analizę, skąd pisarze czerpią wiedzę na temat Polski, będzie to gazeta czytana w pociągu relacji Kraków–Warszawa. A trzeba pamiętać, że przez lata królował zaangażowany reportaż społeczny, stworzony w znacznym stopniu przez »Gazetę«. Tak powstał obieg zamknięty: reportaże prasowe, później na ich kanwie powieści, a na koniec zachwyt krytyków literackich i socjologów, którzy odkrywając w nich cząstkę swojego mówienia, byli przekonani, że zawierają one rzetelne rozpoznanie świata". Przygotowując niniejszy tekst, zapytałem Horubałę, czy ówczesna diagnoza pozostaje aktualna. I czy sytuacja zmieniła się na gorsze czy lepsze. Jego odpowiedź jest tyleż lakoniczna, co wymowna: „Trudne pytanie, bo jakoś ostatnio oderwałem się od tego, co jest lansowane, i mało czytam współczesnej polskiej literatury. Na pewno lewicowa rewolucja, która przeorała uniwersytety, redakcje, media, która dawniej kojarzyła się z »Gazetą Wyborczą«, a teraz aktywizuje inne ośrodki opiniotwórcze pełne młodszych i starszych zapaleńców łasych na granty, narzuca swoją agendę i tę agendę od twórców egzekwuje".

▶ Młodość górna i chmurna

Teatrem Horubałowych opowieści jest często transformacja. W swoich powieściach pisarz przyglądał się jej na ogół z perspektywy wielkomiejskiej, warszawskiej polityki. Od wydanego dobrych ponad dwadzieścia lat temu „Farciarza" do „Wdowy smoleńskiej" surowo rozliczał prawicowych polityków, inteligentów, biznesmenów, ludzi mediów z rosnącej liczby przewin wobec przepoczwarzającej się Rzeczypospolitej. I z tego, że w pogoni za mamoną, karierami i władzą w mniej lub bardziej dramatycznych okolicznościach pożegnali dawnych siebie.

A jednak ich przeszłość mnie wzrusza. Piotr, bohater „Umoczonych" (powieść z 2010 roku), tak wspomina swoją górną i chmurną młodość: „[…] gdy szedł z ulotkami, gdy pociągał za sobą ludzi na demonstracjach, w myślach rozmawiał z mamą i tatą, tłumacząc im nowy egzotyczny świat stanu wojennego, opowiadając, co robi. Dlatego był gotowy na więzienie. Wiedział, że jeśli w końcu tam go osadzą, będzie prowadził niekończące się dysputy z tatą, dawnym partyzantem Batalionów Chłopskich, i mamą, zbyt wrażliwą, by błogosławić zadymiarskim pomysłom starszego syna". Dziś polityczna inicjacja

eprasa.pl 3207be40fc

wygląda zupełnie inaczej, brzmi dźwiękami powiadomień z social mediów, presją trendów na X, dyktatem SMS-ów z przekazem dnia. I nadzieją na pierwsze zaproszenie do ważnego telewizyjnego studia.

Choć w symbolicznym arsenale politycznych walk postkomunizm wciąż służy jako amunicja, szczególnie odkąd lewica wróciła do ćwierćwładzy, to – paradoksalnie – niemal nikt już nie sięga po solidarnościową legitymizację sprawowanych urzędów. Nie mydlmy sobie oczu: symbolika i znaczenie pierwszej Solidarności niemal kompletnie wyparowały z polityki, co najwyżej służyły do niedawna jako ozdobnik dla „starszych państwa" z Komitetu Obrony Demokracji. Hermetyczny kiepski żart: jakie czasy, tacy starsi państwo. Szkoda, że w „Incydentach" Horubała uciekł od polityki, bo to świetna okazja i dobry moment, żeby zobaczyć tamtych ludzi w jakże odmiennych okolicznościach. Opowiadanie „Hanka", choć jego kanwą są czarne protesty, jest opowiadaniem egzystencjalnym, rodzinnym, społecznym, ale autor zdecydowanie nie chce do tego mieszać polityki. Może zbiera materiały do kolejnej powieści?

Teatrem Horubałowych opowieści jest często transformacja. W swoich powieściach pisarz przyglądał się jej na ogół z perspektywy wielkomiejskiej, warszawskiej polityki.

Transformacyjne frazy

Mimo to „Incydenty" pokazują, że Horubała jako pisarz lubi i umie wracać do transformacyjnych lat – czasów twórczej młodości. Był na wielkiej scenie, zna jej zakamarki: prestiż, jaki daje telewizja, cenę za spełnione i niespełnione ambicje. Zna pomniejsze „parszywostki" i większe łajdactwa tego świata, który nawet w czasach social mediów roztacza nad naszą rzeczywistością swój majestat. Tyle że upływ czasu zmienia perspektywę. Nawet jeśli opowiadanie „Epizod" sugeruje dawne obyczaje i realia w telewizyjnym show-biznesie, to zakończenie historii jest arcynowoczesne. Stare miesza się z nowym, ale puenta nie ucieszy nikogo, kto chciałby manichejskiego podziału ról, wedle bieżących sporów kulturowych. W tym opowiadaniu najtrudniej dopatrzeć się boskiej łaski, ktoś szyderczo chichocze z offu, drwi niemiłosiernie zza fasad doczesności.

Transformacyjne frazy dobrze słychać w „Ptasiej i zakonnicy", gdzie Kraków z samego początku XXI wieku to sanktuarium Bożego Miłosierdzia na Łagiewnikach, a Warszawa to mafia legalizująca z pomocą urzędników miejskich cuchnące kryminałem interesy. Kolejne zdania wręcz pulsują: „Skład na parkiecie mieszany. Mieszany jak ta inwestycja. Miesza się miasto z warszawką. Półświatek z nową elitą, dawne podziemie gospodarcze z dawnym podziemiem solidarnościowym. Młode wilki z partyjną młodzieżówką. Wszyscy wychodzimy na powierzchnię, by rządzić. Na bramce ludzie związani z komendą stołeczną. Na parkiecie najlepsze dziwki z miasta […], a i damy z salonu, wszystkie gibią się w pulsujący rytm zapuszczanej muzy. Jedne są za pieniądze, inne za odurzający aromat władzy. […] Żeby wyjść już z tego wiecznego niedostatku, z tej biedy, niedojadania, ciągłego zaciskania pasa […], żeby tu wreszcie przestało być tak ponuro!". I żeby dzieci staro-nowej elity miały jeszcze lepiej, jak w jeszcze większym niż Warszawa świecie, jak na Zachodzie.

Gdybym pisał opowiadania, ich bohaterowie migaliby postaciom pokazywanym przez Horubałę jak chwiejny cień gdzieś zza szyb luksusowych aut, wagonów pierwszej klasy w dalekobieżnych pociągach, klaskaliby im na wiecach wyborczych, dawaliby wielkomiejskim feministkom wyjaśniać sobie świat, podawali dalej cyniczne wpisy w social mediach, które zapaskudziły do cna debatę publiczną. Między jawą a snem wspominaliby zimowe wieczory z lat 80., gdy jako dziesięciolatkowie, bez opieki dorosłych, wracali rowerami do swoich wiosek z katechezy w niedogrzanej parafialnej salce, a ksiądz proboszcz dawał dla rodziców po pół butelki oliwy z darów. Transformacja i eschatologia, eschatologia i transformacja. I ten dzisiejszy, coraz dziwniejszy świat, który spodziewa się złych zakończeń. A z pewnością nie wierzy w dobrą puentę, choć katolicki pisarz próbuje mu ją nienachalnie podpowiedzieć. ■

eprasa.pl 3207be40fc

Hanna Shen



Trump nie sprzeda Tajwanu

eprasa.pl 3207be40fc

Wraz z objęciem władzy przez Donalda Trumpa nasiliła się narracja, że biznesowe podejście do polityki 47. prezydenta USA może sprawić, iż sprzeda on Tajwan. Ta rosyjsko-chińska dezinformacja ma na celu wprowadzenie chaosu nie tylko na Tajwanie, lecz także w Europie. Jej celem jest przekonanie zarówno Tajwańczyków, jak i Polaków, że Waszyngton nie jest sojusznikiem godnym zaufania. Niemniej nie ma żadnych przesłanek sugerujących, że Tajwan miałby zostać sprzedany.

Kroki podjęte przez Donalda Trumpa już podczas jego pierwszej kadencji (2016–2020) jasno pokazały, że Tajwan nie jest dla niego jedynie pionkiem w geopolitycznej grze. Jednym z najważniejszych osiągnięć 45. prezydenta USA była zmiana podejścia Waszyngtonu, a także wielu stolic na Zachodzie, do Chin, których przywódca nie ukrywa, że może zająć Tajwan siłą. Relacje z Chinami zaczęto określać jako konkurencję, a Trump sprawił, że na ChRL zaczęto patrzeć jako na zagrożenie. Administracja 45. prezydenta USA nałożyła na Pekin wysokie cła, ukarała Chiny za represje w Hongkongu, groziła Xi wojną w przypadku ataku na Tajwan oraz potępiła ludobójstwo Ujgurów, dokonane przez Komunistyczną Partię Chin (KPCh) w Xinjiangu. Kroki podjęte wobec Tajwanu przez pierwszą administrację Trumpa były bezprecedensowe.

▶ Przełomowa pierwsza kadencja Trumpa

Wszystko zaczęło się w 2016 roku, gdy prezydent elekt rozmawiał telefonicznie z ówczesną prezydent Tajwanu, Tsai Ing-wen, która pogratulowała mu zwycięstwa. Była to pierwsza od 1979 roku, czyli od momentu zerwania przez Waszyngton stosunków dyplomatycznych z Tajpej, rozmowa polityków obu krajów na tak wysokim szczeblu. Ten gest Trumpa wywołał nie tylko oburzenie w Pekinie, lecz także wśród amerykańskich demokratów oraz mediów nieprzychylnych republikaninowi. „The New York Times" określił całe wydarzenie mianem „skandalu", podczas gdy inne gazety sugerowały, że Trump „nie ma pojęcia, co robi", i odebrał telefon od Tsai Ing-wen, „nie sprawdzając wcześniej, jaka sytuacja panuje na Tajwanie". Na ten atak bardzo szybko odpowiedział sam Trump. „Interesujące, że USA sprzedają Tajwanowi sprzęt wojskowy za miliardy dolarów, ale ja nie powinienem odebrać tego telefonu z gratulacjami" – napisał na swoim profilu społecznościowym.

W trakcie pierwszej kadencji Trumpa wznowiono wizyty na szczeblu rządowym oraz interakcje wysokich rangą urzędników obu krajów, na przykład doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego USA z sekretarzem generalnym Rady Bezpieczeństwa Narodowego Tajwanu. Pozwolono również prezydent Tajwanu na przeprowadzanie wizyt tranzytowych przez Stany Zjednoczone, chociaż administracja Bidena w tej kwestii wprowadziła później pewne ograniczenia. Donald Trump oraz jego urzędnicy wyraźnie podkreślali różnicę między amerykańską „polityką jednych Chin" a chińską „zasadą jednych Chin", co w Europie często ulega zatarciu i co oczywiście sprzyja Pekinowi. Polityka jednych Chin, prowadzona przez Stany Zjednoczone, nie uznaje Tajwanu za część Chińskiej Republiki Ludowej; status Tajwanu pozostaje nieokreślony i celowo niejednoznaczny. USA nie

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 3007be40fc

zajmują stanowiska w kwestii rozwiązania sytuacji w Cieśninie Tajwańskiej, pozostawiając ostateczne decyzje obu stronom, tj. Pekinowi i Tajpej. Niemniej Stany Zjednoczone sprzeciwiają się jednostronnej zmianie status quo przez którąkolwiek ze stron i dążą do pokojowego rozwiązania sporu w cieśninie. Waszyngton podkreśla również, że takie rozwiązanie powinno być osiągnięte za zgodą Tajwańczyków. Z kolei pekińska „zasada jednych Chin" opiera się na przekonaniu, że Tajwan jest niezbywalną częścią Chin, a ChRL jest jedynym prawowitym rządem tych Chin. Stany Zjednoczone uznają istnienie tej pozycji Pekinu, ale nie zajmują stanowiska co do jej ważności.

W kwestii bezpieczeństwa Tajwanu, podczas pierwszych rządów Donalda Trumpa, zarówno liczba, jak i jakość broni sprzedawanej wyspie przekroczyły standardy obowiązujące w ciągu ostatnich 40 lat. W ciągu czterech lat urzędowania Trumpa, Waszyngton zatwierdził 11 umów na sprzedaż broni Tajwanowi, o łącznej wartości 21 mld USD. Na polu dyplomatycznym rozpoczęto kampanię na rzecz zwiększenia międzynarodowej obecności Tajwanu, co obejmowało widoczne interakcje wysokich rangą dyplomatów amerykańskich z ich tajwańskimi odpowiednikami podczas zagranicznych misji. W zakresie współpracy gospodarczej kluczowe było ustanowienie przez administrację Trumpa tzw. Dialogu na rzecz nowego partnerstwa dla dobrobytu gospodarczego (EPOD), corocznego forum, które ma na celu zacieśnienie relacji gospodarczych między USA a Tajwanem w obliczu rosnącej presji ze strony Chin. Uważa się, że ta formuła stanowi jedno z działań mających na celu w przyszłości zawarcie Umowy o wolnym handlu (WTA) pomiędzy Waszyngtonem a Tajpej.

Wsparcie będzie kontynuowane

Historia relacji tajwańsko-amerykańskich w czasie pierwszej administracji Trumpa sugeruje prawdopodobną kontynuację polityki, która została wówczas ustanowiona. Już pierwsze kroki podjęte przez rząd 47. prezydenta USA potwierdzają tę tezę. Choć ostatecznie to prezydent decyduje o kształcie polityki USA, to kluczową rolę w pogłębianiu relacji między USA a Tajwanem odegrali urzędnicy na odpowiednich stanowiskach, którzy opracowali tę politykę w czasie pierwszej kadencji Trumpa. W związku z tym wybory personalne prezydenta USA dotyczące jego nowego rządu dostarczają nam istotnych wskazówek na temat przyszłych relacji między Waszyngtonem a Tajpej. Druga administracja Trumpa składa się z licznego zespołu ekspertów, znanych jako „chińscy jastrzębie", którzy postulują twarde podejście do Pekinu oraz wspierają obronę Tajwanu. Nowy sekretarz obrony USA, Pete Hegseth, w lutym podczas przemówienia w siedzibie NATO w Brukseli wezwał Europę do wzięcia większej odpowiedzialności za obronę Starego Kontynentu, podkreślając, że Stany Zjednoczone muszą skupić się na przeciwdziałaniu zagrożeniom w regionie Indo-Pacyfiku. Dla Waszyngtonu oznacza to m.in. zapobieżenie chińskiej inwazji na Tajwan. Jeszcze jako przyszły szef Pentagonu, podczas wysłuchania przed Komisją ds. Sił Zbrojnych amerykańskiego Senatu, Hegseth potwierdził wsparcie USA dla Tajwanu.

Historia relacji tajwańsko-amerykańskich w czasie pierwszej administracji Trumpa sugeruje prawdopodobną kontynuację polityki, która została wówczas ustanowiona.

Tajwan często pojawia się na agendzie innego „chińskiego jastrzębia", nowego sekretarza stanu Marca Rubio. Wyspa była istotnym tematem poruszanym przez Rubio podczas jego podróży do Ameryki Centralnej. Widać, że podobnie jak za pierwszej kadencji Trumpa, także teraz podejmowane będą wysiłki, aby przeciwdziałać chińskim próbom izolowania Tajwanu na arenie międzynarodowej. Dlatego na początku lutego, podczas wizyty w Gwatemali, Rubio podziękował prezydentowi tego kraju, Bernardo Arevalo, za wsparcie dla relacji z Tajwanem. Sekretarz Stanu w Ameryce Centralnej wysłał jasny sygnał, że Waszyngton oczekuje, iż jego sojusznicy będą wzmacniać współpracę z Tajpej, zwłaszcza w obszarze gospodarczym i kulturalnym.

Kwestia poparcia dla znaczącego udziału Tajwanu w odpowiednich organizacjach międzynarodowych była również tematem rozmowy Rubio z ministrami spraw zagranicznych Japonii i Korei Płd. podczas niedawnej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Dodatkowo komunikaty po spotkaniach z wysokimi rangą urzędnikami z Tokio i Seulu zaczęły zawierać dodatkowy przekaz. Oprócz podkreślenia znaczenia utrzymania pokoju i stabilności w Cieśninie Tajwańskiej, wyrażany jest również sprzeciw wobec „wszelkich prób jednostronnej zmiany status quo siłą lub poprzez przymus". W wypo-

eprasa.pl 3207be40fc

wiedzi dla japońskiej gazety „Nikkei Sheila" A. Smith z amerykańskiego think tanku Council on Foreign Relations zauważyła, że uwzględnienie terminu „przymus" szczególnie przykuwa uwagę, ponieważ odnosi się nie tylko do działań militarnych Pekinu wymierzonych w Tajpej, lecz także do środków ekonomicznych, takich jak embargo i cyberataki.

A może przełom

W kwestii Tajwanu obserwujemy działania nowej administracji, które wskazują na kontynuację wsparcia dla tej wyspy. Ale może pojawić się też przełom. Tuż przed rozmową telefoniczą z Putinem Trump po raz pierwszy w swojej drugiej kadencji wysłał do Cieśniny Tajwańskiej dwa amerykańskie okręty wojskowe. Nie był to pierwszy raz, gdy taka amerykańska misja odbyła się w tym akwenie, ale po raz pierwszy okręty USA przebywały na wodach oddzielających Tajwan od Chin dłużej niż jeden dzień. Niszczyciel rakietowy USS „Ralph Johnson" i jednostka oceanograficzna USNS „Bowditch" spędziły w cieśninie trzy dni, od 10 do 12 lutego. Dziennik KPCh „Global Times" zauważył też, że po raz pierwszy w misji amerykańskiej marynarki w tym akwenie wzięła udział jednostka badawcza, co może zapowiadać, że administracja Trumpa szykuje się do wysłania w cieśninę łodzi podwodnej o napędzie atomowym. To byłby z pewnością kamień milowy w relacjach amerykańsko-tajwańskich.

Ale Waszyngton wysyła sygnały, że warto pomyśleć o większym przełomie – dyplomatycznym uznaniu Tajpej. Na początku lutego bieżącego roku 20 republikanów z Izby Reprezentantów wyraziło poparcie dla rezolucji dotyczącej formalnego uznania Tajwanu. Dokument, stworzony przez kongresmenów Toma Tiffany'ego i Scotta Perry'ego, wzywa prezydenta Donalda Trumpa do porzucenia długoletniej „polityki jednych Chin" i uznania Tajwanu za autonomiczny kraj. „Tajwan nigdy nie był pod kontrolą Chińskiej Republiki Ludowej – nawet przez jeden dzień. Jest to wolny, demokratyczny i niepodległy kraj, i nadszedł już czas, aby polityka USA odzwierciedlała tę niezaprzeczalną, obiektywną prawdę" – napisał Tiffany w specjalnym oświadczeniu. Kilka dni po tym, jak media poinformowały o rezolucji, ze strony internetowej Departamentu Stanu zniknęło stwierdzenie, że USA nie popiera niepodległości Tajwanu. W materiale informacyjnym na temat Tajwanu uwzględniono adnotacje dotyczące sprzeciwu Waszyngtonu wobec jednostronnych zmian w statusie quo w Cieśninie Tajwańskiej. Oprócz usunięcia sformułowania: „nie popieramy niepodległości Tajwanu", dodano, że Tajwan współpracuje z Pentagonem w obszarze technologii oraz rozwoju półprzewodników. Ponadto stwierdzono, że Stany Zjednoczone będą wspierać członkostwo Tajwanu w organizacjach międzynarodowych „w stosownych przypadkach". Do przełomu, czyli oficjalnego uznania Tajwanu, jeszcze pewnie daleko, ale ewidentnie widać, że wraz z powrotem Trumpa nastroje w Waszyngtonie bardzo się zmieniły i w kwestii Tajwanu wiele „jest na stole".

Trump też upomina Tajwan

Ale w relacjach amerykańsko-tajwański są też przeszkody. Nowa administracja oczekuje od Tajwanu, podobnie jak od swoich europejskich sojuszników, zwiększenia wydatków na obronność. W połowie lutego prezydent Tajwanu, Lai Ching-te, ogłosił plan podniesienia budżetu obronnego wyspy z 2,45 proc. PKB do 3 proc. Eksperci jednak podkreślają, że to zdecydowanie za mało, a Waszyngton z pewnością będzie naciskał na dalsze zwiększenie tych wydatków. Budżet obronny Tajwanu powinien być co najmniej porównywalny z izraelskim, wynoszącym 5,2 proc. PKB, a nawet z arabskim, gdzie 6,6 proc. PKB przeznaczane jest na armię. Administracja Trumpa będzie również wywierała presję na Tajwan, aby ten skutecznie poradził sobie z problemem infiltracji swojej armii przez chińskich szpiegów. W ubiegłym roku tajwańskie sądy postawiły zarzuty szpiegostwa na rzecz Chin 64 osobom, z czego dwie trzecie to obecni lub emerytowani żołnierze. Zgodnie z danymi tajwańskiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, liczba takich spraw wzrosła czterokrotnie w ciągu ostatnich czterech lat. Jak wynika z jednego z rządowych raportów, w okresie od stycznia 2022 do czerwca 2024 roku chiński wywiad próbował rekrutować tajwańskich oficerów i żołnierzy przez Internet aż 1706 razy, co stanowi „bezprecedensowe wyzwanie" dla tajwańskich sił zbrojnych. Problem ten jest szczególnie palący, zwłaszcza że zwiększenie współpracy z USA w zakresie kwestii militarnych i wywiadowczych będzie możliwe jedynie przy poprawie zdolności kontrwywiadowczych Tajwanu.

Nie można zapomnieć też o półprzewodnikach. Donald Trump wielokrotnie oskarżał Tajwan o kradzież amerykańskiego przemysłu półprzewodników. Rzeczywiście, dzisiaj Tajwan jest potęgą w produkcji chipów. Z tej wyspy pochodzi ponad 60 proc. światowej produkcji wszystkich półprzewodników oraz około 90 proc. tych najbardziej zaawansowanych technologicznie. Prezydent USA dąży do zwiększenia produkcji chipów na terenie Stanów Zjednoczonych, co z pewnością zaowocuje większą liczbą tajwańskich inwestycji w tym sektorze w USA. Wśród nich znajdą się inwestycje tajwańskiego giganta TSMC w amerykańskiego producenta półprzewodników, firmę Intel, która obecnie boryka się z problemami. W rezultacie relacje amerykańsko-tajwańskie z pewnością jeszcze bardziej się zacieśnią. ■

eprasa.pl 3207be40fc



Antoni Rybczyński

„I my też świetnie wiemy, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę!"

prezydent Lech Kaczyński,
12 sierpnia 2008 roku

Wojna Północna. Rosja zetrze się z NATO nad Bałtykiem

eprasa.pl 3207be40fc



FOT. ADOBE STOCK

W każdej z trzech dotychczasowych wojen północnych w mniejszym lub większym stopniu brało udział państwo moskiewskie/rosyjskie. Podobnie będzie z kolejną, być może już za kilka lat. Nikt bowiem nie ma wątpliwości, że jeśli dojdzie do zbrojnego konfliktu Rosji z NATO, to właśnie nad Bałtykiem padną pierwsze strzały. Po wejściu Finlandii i Szwecji do Sojuszu, front może wydłużyć się aż po północne krańce Skandynawii.

Siły rosyjskie będą w stanie zaatakować terytorium NATO najpóźniej do końca tej dekady – mówił w październiku ubiegłego roku szef niemieckiej Federalnej Służby Wywiadowczej (BND) Bruno Kahl. Rosja bierze pod uwagę możliwość wybuchu wojny w północnej części Europy i regionie Morza Bałtyckiego na początku kolejnej dekady – wynika z kolei z raportu badawczego fińskiej Akademii Obrony Narodowej. Rosja może rozpocząć poważną wojnę w Europie w ciągu pięciu lat – ostrzega natomiast duński wywiad.

Rosyjska inwazja. Kiedy i gdzie?

Duńska Służba Wywiadu Obronnego (DDIS) wskazuje trzy scenariusze, które mogą wystąpić, jeśli konflikt na Ukrainie zostanie zamrożony. W ciągu dwóch lat Rosja może rozpocząć wojnę regionalną w regionie Morza Bałtyckiego. W ciągu pięciu lat Rosja gotowa będzie do zakrojonego na szeroką skalę ataku na Europę, pod warunkiem, że Stany Zjednoczone nie zaangażowałyby się w tę wojnę. Już rok temu ówczesna premier Estonii Kaja Kallas szacowała, że Rosja może zagrozić NATO w ciągu trzech do pięciu lat, a minister obrony Niemiec, że w ciągu pięciu do ośmiu lat. Z ocen zachodnich służb i analityków wynika więc, że przełom lat 20. i. 30. XXI wieku to prawdopodobny czas rozpoczęcia czwartej wojny północnej.

Wiemy więc kiedy. Ale dlaczego akurat na północy Europy? Zacznijmy od mapy. Gdzie na lądzie Rosja graniczy z NATO, a więc gdzie jest potencjalna linia frontu? No okazuje się, że to ułamek granic państwowych Federacji Rosyjskiej, a nawet i tego rzekomego związkowego państwa Rosji i Białorusi. Otóż potencjalny front działań wojennych (lądowych) Rosji z NATO to: granica Białorusi i rosyjskiego obwodu królewieckiego z Polską i Litwą, granica Białorusi i Rosji z Łotwą, granica Rosji z Estonią, Finlandią i Norwegią. Co łączy tych wszystkich członków NATO (nie licząc Norwegii, ale jej lądowy odcinek granicy z Rosją i tak jest maleńki)? Otóż leżą nad Bałtykiem, będącym zarazem strategicznie ważnym akwenem dla Rosji. Choćby z powodów historycznych (tam, nad Newą, car Piotr I wybijał okno na świat), ale też praktycznych. Gospodarczych: z terminali naftowych i gazowych w obwodzie leningradzkim płyną rosyjskie tankowce w świat. Militarnych: Bałtyk to siedziba Floty Bałtyckiej, drugiej najsilniejszej i najważniejszej w rosyjskich siłach morskich po Flocie Północnej. Czyli bazy nad Zatoką Fińską i w obwodzie królewieckim (z Bałtijskiem na czele).

Kolejny powód? Trzy kraje bałtyckie. Nie chodzi tylko o to, że są małe, ze słabymi siłami zbrojnymi i wciśnięte między Rosję i Białoruś a Bałtyk. Były częścią Imperium Rosyjskiego/Sowieckiego od XVIII wieku do

eprasa.pl 3907be40fc

1991 roku, z krótką 20-letnią przerwą. Położenie strategiczne i potencjał militarny krajów bałtyckich zachęcają Rosję do działania. Na dodatek w Estonii i na Łotwie żyje znacząca mniejszość rosyjskojęzyczna. Coraz mniej poczuwająca się do wspólnoty z Rosją, ale i tak potencjalnie wygodny pretekst do agresji dla Moskwy. Siły sojusznicze w krajach bałtyckich są niewielkie. Misja NATO w powietrzu ma charakter patrolowy. Estonia, Łotwa i Litwa nie mają własnych sił powietrznych i morskich. Oczywiście ich możliwości obronne wzmocniło wejście do Sojuszu Szwecji i Finlandii. Ale to za mało. Estońscy wojskowi przyznają, że choć od trzech lat ich kraj mocno inwestuje w obronność, to w razie inwazji rosyjskiej utrzyma się bez dużego wsparcia sojuszników maksymalnie 14 dni (parę lat temu było to 10 dni). Sytuacja Łotwy nie jest dużo lepsza. Najsilniejsza militarnie, ale też strategicznie (lądowe połączenie z Polską) jest Litwa.

Wojna na Bałtyku zacznie się od Ukrainy

Jeśli wojna z Ukrainą zostanie zamrożona, a polityka Trumpa doprowadzi do zniesienia choćby części sankcji i odmrożenia choćby części wielomiliardowych aktywów Rosji na Zachodzie, a przy tym pogłębi się rozłam między USA a Europą, Rosja szybciej przygotuje się do napaści na NATO. Sukces lub porażka obecnych wysiłków Ukrainy na rzecz odparcia rosyjskiego ataku zmienią radykalnie perspektywy przyszłego rosyjskiego ataku na północno-wschodnią flankę NATO – wskazuje amerykański Instytut Studiów nad Wojną (ISW). Strategiczne położenie i możliwości odparcia inwazji przez kraje wschodniej flanki NATO bezpośrednio graniczące z Rosją, są ściśle związane z przyszłością Ukrainy i wynikiem wojny rosyjsko-ukraińskiej. Jeśli Ukraina – mimo możliwych strat terytorialnych – utrzyma potencjał militarny i polityczną suwerenność, jeśli nie pogrąży się w kryzysie polityczno-gospodarczym z powodu niekorzystnego porozumienia kończącego wojnę, to samym swym istnieniem utrudni Moskwie wszelkie agresywne plany na północy Europy. Ukraina rozmieści swoje siły wzdłuż granic z Rosją i Białorusią w celu odstraszania i obrony przed przyszłą rosyjską agresją. Rosyjscy przywódcy wojskowi planujący inwazję na państwa bałtyckie lub atak na Polskę będą musieli założyć, że Ukraina może przystąpić do takiej wojny po stronie NATO. To założenie niewątpliwie ogranicza możliwości rosyjskiej inwazji nad Bałtykiem.

Z drugiej strony, jeżeli Rosja pokona Ukrainę, NATO stanie przed ogromnym wyzwaniem obrony swoich północno-wschodnich członków. W tym scenariuszu wydłuża się front wojny o obecną granicę Ukrainy z Polską, Węgrami, Słowacją i Rumunią, a Sojusz musi liczyć się z dużymi rosyjskimi siłami konwencjonalnymi (wzmocnionymi Ukraińcami) wzdłuż całej swojej granicy od Morza Czarnego po Arktykę. To oznaczałoby konieczność rozciągnięcia sił z USA i Europy Zachodniej także na potencjalnym froncie w południowej i środkowej Europie, pozbawiając NATO rezerw, które w przeciwnym razie byłyby dostępne do szybkiego wzmocnienia państw bałtyckich w przypadku zagrożenia rosyjską inwazją. Te oddziały NATO, niedoświadczone w prowadzeniu nowoczesnej wojny zmechanizowanej, musiałyby stawić czoła zaprawionej w bojach armii rosyjskiej, ośmielonej zwycięstwem w Ukrainie. Rosyjskie wojsko mogłoby przygotowywać plany kampanii do ataku na Polskę i/lub kraje bałtyckie, nie troszcząc się o swoje tyły. Takie założenie planistyczne pozwoliłoby Rosji skoncentrować przeciwko państwom bałtyckim siły, które w przeciwnym razie musiałyby zostać rozmieszczone wzdłuż ukraińskiej granicy w celu odstraszenia lub obrony przed ukraińskimi działaniami.

> Rosja będzie próbowała zająć strategicznie położone wyspy, aby zniwelować przewagę wroga na Bałtyku. Kreml skupia się na Bornholmie, Wyspach Alandzkich, Gotlandii i innych mniejszych wyspach, które należą do Danii, Finlandii i Szwecji, jako potencjalnych celach.

Podstawowy scenariusz wojny północnej zakłada, że Rosjanie priorytetowo potraktują zajęcie tzw. korytarza suwalskiego, który biegnie między północno-zachodnią Białorusią a rosyjską eksklawą Królewca, aby uniemożliwić NATO wsparcie państw bałtyckich, gdy rosyjskie jednostki pancerne i powietrznodesantowe będą zajmować Litwę, Łotwę i Estonię. Scenariusz zakłada również, że Rosjanie będą starali się przygotować i zaatakować na tyle szybko, by nie dać NATO czasu na sprowadzenie dużych posiłków z USA, Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii do korytarza suwalskiego i państw bałtyckich przed inwazją. W związku z tym ciężar uderzenia wezmą na siebie głównie jednostki nowo utworzonych Leningradzkiego i Moskiewskiego Okręgów

eprasa.pl 3207be40fc

Wojskowych, ponieważ mogłyby przemieścić się na pozycje ataku i rozpocząć inwazję znacznie szybciej niż większe siły rosyjskie wywodzące się z jednostek na Kaukazie, w pobliżu Azji Środkowej lub na Dalekim Wschodzie.

▶ Przygotowania do wielkiej wojny

W 2022 roku minister obrony Rosji, Siergiej Szojgu, ogłosił zwiększenie liczby personelu wojskowego do 1,5 mln do 2026 roku, a od wiosny 2024 roku wprowadził zmiany w organizacji wojsk w zachodniej Rosji. Zlikwidowano Zachodni Okręg Wojskowy, a Flota Północna utraciła status okręgu wojskowego. Na ich miejsce utworzono Leningradzki Okręg Wojskowy i Moskiewski Okręg Wojskowy, co ma na celu poprawę zarządzania wojskami. Obie zmiany mają umożliwić Rosji lepsze przygotowanie na działania na swoich północno-zachodnich granicach, w obliczu rosnących napięć związanych z NATO i dołączeniem Finlandii oraz Szwecji do Sojuszu. Rozdzielenie zadań strategicznych na dwa odrębne okręgi ma także na celu rozwiązanie wcześniejszych konfliktów w dowodzeniu. Osłabienie Floty Północnej wskazuje na zmianę strategii, w której wojna skupia się bardziej na działaniach lądowych. Utworzenie Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, który przejmuje odpowiedzialność za obszary bliskie NATO, oraz rosnące zaangażowanie Rosji w regionie bałtyckim sugerują, że kraj ten poważnie rozważa możliwość konfliktu z NATO.

Niezależnie od wojny z Ukrainą, Rosja już rozbudowuje potencjał uderzeniowy nad Bałtykiem. Dziennikarze śledczy z estońskiego „Expressu" zidentyfikowali lokalizacje rosyjskich wojsk w pobliżu granic z krajami bałtyckimi na podstawie zdjęć satelitarnych. Widziano nowe urządzenia w bazach, które w 2022 roku były puste, a latem 2024 roku ponownie zapełniły się ciężarówkami, czołgami i transporterami opancerzonymi. Jednym z największych ośrodków wojskowych jest Ługa, położona 120 kilometrów od Estonii, gdzie stacjonuje brygada z 12 systemami rakietowymi Iskander o zasięgu 500 kilometrów i ponad 3 tys. żołnierzy. Iskandery są też zgrupowane w obwodzie królewieckim, co umożliwia Rosji ostrzał wszystkich krajów bałtyckich. W Kamience, w pobliżu Petersburga, zdjęcia satelitarne ujawniły nowy sprzęt militarny, a baza, która w 2022 roku była pusta, w czerwcu 2024 roku stała się bardziej aktywna z poligonem dla 2 tys. wojskowych oraz nowymi pojazdami. W przypadku operacji lądowej Rosja mogłaby wspierać swoje siły powietrzne z lotniska Chotyłowo, a w pobliżu znajdują się duże składy amunicji. Obwód królewiecki jest także wyposażony w lotniska, porty wojenne, radary oraz bunkry nuklearne.

Tymczasem rosyjscy tzw. z-blogerzy rysując scenariusze „denazyfikacji i demilitaryzacji krajów bałtyckich", zwracają uwagę, że planiści w Moskwie muszą wyciągnąć wnioski z wojny z Ukrainą. Jednym z największych błędów w planowaniu „specjalnej operacji wojskowej" – uważają z-blogerzy – było to, że nie próbowano odciąć zachodniej Ukrainy od jej sąsiadów w bloku NATO i pozostawiono Kijowowi dostęp do Morza Czarnego przez Odessę. „W rezultacie strumienie zagranicznej pomocy wojskowo-technicznej płyną do Ukrainy w sposób eskalacyjny, co coraz bardziej utrudnia osiągnięcie celów i założeń Strategicznych Sił Obronnych zadeklarowanych 24 lutego 2022 roku". Wniosek? Odizolowanie teatru działań militarnych poprzez odcięcie Litwy od Polski przez Suwalszczyznę. Wtedy Litwa, Łotwa i Estonia mogą być zaopatrywane tylko drogą morską lub powietrzną. Oznacza to, że strefa A2AD (anti-access and area denial) będzie musiała zostać ustanowiona nad terytorium trzech byłych republik sowieckich, uderzając w statki zaopatrzeniowe i wojskowe samoloty transportowe pociskami przeciwokrętowymi.

Rosja będzie też próbowała zająć strategicznie położone wyspy, aby zniwelować przewagę wroga na Bałtyku. Kreml skupia się na Bornholmie, Wyspach Alandzkich, Gotlandii i innych mniejszych wyspach (na przykład Gotska Sandön czy Christianso), które należą do Danii, Finlandii i Szwecji, jako potencjalnych celach. Rosja od dawna interesowała się wyspami Morza Bałtyckiego. Aleksander I, car, który jest jednym z bohaterów Putina, powiedział, że Gotlandia, największa z tych wysp, jest „kluczem do regionu, a tym samym do Zachodu". Większość duńskich, szwedzkich i fińskich wysp na Morzu Bałtyckim jest niewielka, a na wielu z nich mieszka garstka ludzi. W rezultacie Moskwa najwyraźniej ma nadzieję, że niektórzy na Zachodzie, zwłaszcza po tym, jak Rosja zademonstrowała na Ukrainie swoją gotowość do użycia siły, zareagują tak jak wcześniej, gdy takie osoby pytały, kto byłby gotowy „umrzeć za Narwę", estońskie miasto na granicy z Federacją Rosyjską.

▶ Główne kierunki uderzenia? Kraje bałtyckie i Finlandia

Od dawna wiadomo, że najbardziej narażone na atak rosyjski są Estonia, Łotwa i Litwa. Moskwa już ma ewentualny pretekst, nie tylko rzekomą obronę mniejszości rosyjskiej. Kreml zaczyna przygotowywać opinię publiczną na możliwy atak na państwa bałtyckie także pod pretekstem ochrony obwodu królewieckiego. Świadczą o tym słowa Władimira Putina wygłoszone podczas niedawnego spotkania z szefami regionów. Putin stwierdził, że należy dążyć do tego, aby obwód był „nie tylko twierdzą na zachodnich granicach", ale by był też „organicznie zintegro-

eprasa.pl 3207be40fc

wany z życiem całego kraju". Zdaniem Putina w przepływie osób „nie powinno być żadnych barier". W lipcu 2023 roku Andriej Kartapołow, przewodniczący komisji obrony Dumy Państwowej, stwierdził, że korytarz suwalski jest „bardzo potrzebny" Rosji w sytuacjach kryzysowych, podkreślając, że „gotowa jest pięść uderzeniowa", zdolna zająć ten obszar w ciągu kilku godzin. Przesmyk suwalski, znany również jako korytarz suwalski, to jedno z najwrażliwszych miejsc, które analitycy wojskowi postrzegają jako potencjalny cel ataków ze strony Rosji. Znajduje się pomiędzy Białorusią a obwodem królewieckim, łącząc kraje bałtyckie z resztą Europy. Ben Hodges, były dowódca US Army w Europie, zauważył, że w przypadku ataku Rosji na państwa NATO, kluczowym celem będzie przecięcie tego przesmyku w celu odizolowania Estonii, Łotwy i Litwy od sojuszników.

Po akcesji Szwecji i Finlandii do NATO Morze Bałtyckie zostało otoczone krajami Sojuszu. W przypadku ataku Rosji na państwa bałtyckie, dostęp do Królewca od strony morza mógłby zostać zablokowany. Taki scenariusz wymagałby jednak skoordynowanych działań państw członkowskich NATO z dostępem do Morza Bałtyckiego. Aby odizolować kraje bałtyckie od reszty Sojuszu, Rosja musiałaby nie tylko zająć korytarz suwalski, lecz także go utrzymać. Wielu analityków wojskowych uważa jednak, że taki plan jest mało prawdopodobny, ponieważ Rosja nie dysponuje wystarczającą przewagą powietrzną, aby długo bronić tego obszaru. Z drugiej strony, Rosja liczy na to, że zastosowanie środków walki elektronicznej (EW) uniemożliwi obronę państw bałtyckich przed atakami dronów, dając tym samym większą swobodę siłom lądowym agresora.

Jednak atak na kraje bałtyckie i przesmyk suwalski to niejedyny możliwy kierunek inwazji Rosji. Wspomniany na początku raport fińskiej Akademii Obrony Narodowej zakłada „niespodziewane ataki na ograniczoną skalę" na mniejsze państwa NATO, w pasie od północnej Norwegii, przez Finlandię, po kraje bałtyckie, by „sparaliżować proces decyzyjny NATO". Jednym ze scenariuszy może być też próba opanowania części Finlandii, Estonii, Łotwy i Szwecji, by zabezpieczyć strategicznie ważny dla Rosji region Murmańska w regionie Arktyki. W grudnia ubiegłego roku Rosja przeprowadziła ćwiczenia wojskowe, podczas których symulowano ataki na Finlandię, Norwegię i kraje bałtyckie. Na północy 14. Korpus Armijny ćwiczył atak na wybrzeże Norwegii z Murmańska drogą morską, powietrzną i lądową. Jednocześnie siły rosyjskie symulowały desant w fińskiej Laponii. Wojska rakietowe stacjonujące na Półwyspie Kola ćwiczyły scenariusz ostrzelania celów w całej Finlandii, z Helsinkami jako potencjalnym głównym punktem ataku. W przypadku ataku Rosja będzie próbowała stworzyć strefę buforową w północnej Laponii i Finmarku w Norwegii, co doprowadzi do walk na terytorium NATO. Wraz z początkiem kolejnej dekady liczebność rosyjskich sił zbrojnych w Leningradzkim Okręgu Wojskowym może się podwoić – z obecnych 40 tys. do nawet 100 tys. W 2024 roku rosyjska armia, w odpowiedzi na wejście Finlandii do NATO, poinformowała, że przesunęła brygadę rakietową uzbrojoną w pociski balistyczne Iskander do granicznego regionu Karelii. W analizie strategicznych intencji Rosji fińska gazeta „Iltalehti" podkreślała ambicje przywrócenia „historycznych terytoriów", w szczególności tych określonych w traktacie z Turku z 1743 roku. W tym scenariuszu siły rosyjskie mogą dążyć do dotarcia do rzeki Kymi i posuwać się dalej na północ w kierunku Puumala. Putin już wcześniej przedstawiał swoją wizję odzyskania historycznych terytoriów, powołując się na Imperium Rosyjskie z XVIII–XIX wieku. 19 grudnia 2024 roku oświadczył, że Rosja posiada zasoby niezbędne do osiągnięcia tego celu. Zachodni eksperci radzą traktować te oświadczenia poważnie, biorąc pod uwagę ich zgodność z ostatnimi działaniami wojskowymi i geopolitycznymi Rosji.

Dlatego NATO musi maksymalnie wykorzystać rewolucję geostrategiczną na północy Europy, jaką wywołało przystąpienie Finlandii i Szwecji do Sojuszu. Nawet jeśli przed uzyskaniem statusu pełnoprawnych członków zakładano, że oba te państwa będą walczyć po stronie NATO w potencjalnym konflikcie regionalnym, nie było możliwe opracowanie oficjalnych planów obronnych dla obu państw nordyckich i z ich udziałem. Teraz planowanie i realizowanie bałtyckiej obrony NATO staje się znacznie łatwiejsze dla Sojuszu, podczas gdy sytuacja jest teraz znacznie bardziej skomplikowana dla rosyjskich planistów. Ponad 1340-kilometrowa granica Finlandii z Rosją podwoiła całkowitą długość granicy NATO–Rosja. Ale to nie wzmacnia, lecz osłabia możliwości Moskwy. Finlandia wniosła do Sojuszu 280 tys. żołnierzy, których może szybko zmobilizować (plus rezerwy do 870 tys.), jedną z największych artylerii w Europie, siły powietrzne (które wkrótce odrzutowce F/A-18 Hornet zastąpią 64 nowymi F-35) oraz pociski dalekiego zasięgu JASSM, które mogą dotrzeć do strategicznych celów w Rosji. W przypadku próby ataku na kraje bałtyckie, Rosja musiałaby najpierw wzmocnić granicę z Finlandią. Najważniejszą zmianą z punktu widzenia NATO jest to, że państwa bałtyckie mogą być teraz wzmacniane nie tylko z powietrza i lądu (od południa przez Polskę), lecz także z morza. W przeszłości głównym bólem głowy planistów NATO było to, że państwa bałtyckie są odsłoniętym pasem terytorium wciśniętym między Rosję a Morze Bałtyckie, a zatem stosunkowo łatwym do odcięcia od reszty Sojuszu. Teraz terytorium Finlandii otworzyło nową trasę dostaw do Estonii, łącząc ją przez północną Szwecję z norweskim wybrzeżem Atlantyku. ■

eprasa.pl 3207be40fc

Marcin Wolski

ONZ – maszynka do bicia piany

Nawiązując do deklaracji rozmaitych celebrytów sprzed lat, głoszących: „Nie płakałem po papieżu" – po tym bieżącym mało kto będzie płakał – chcę oświadczyć, że nie będę płakał po ONZ-cie – organizacji, która, moim zdaniem, przeżywa swoje dni przedostatnie.

„Narody Zjednoczone" – słowo organizacja zostało dołączone na prośbę Francuzów, gdyż skrót od Nations Unies – NU – po francusku oznacza golasa i na wstępie obnażał istotę tego ciała. Twór stworzony po doświadczeniach wojennych miał być lekiem na całe zło tego świata, uniwersalnym instrumentem pokoju i powszechnej szczęśliwości. Niestety, jego pomysłodawca – Franklin Delano Roosevelt – okazał się bardziej naiwny niż piętnastolatka przed pierwszą randką i mniej praktyczny niż jego własny wózek inwalidzki. Stworzono organizację, która, mówiąc uczciwie, przydała się raz – podczas wojny koreańskiej przeprowadzonej pod flagą ONZ-tu – tylko dlatego, że akurat Rosja się obraziła, a Chiny reprezentował jeszcze Czang Kaj-szek. Poza tym wydarzeniem przez 80 lat organizacja dawała nieustanny popis bezradności i bezduszności. Bezzębną Radę Bezpieczeństwa stać było co najwyżej na wysyłanie protestów, natychmiast wetowanych przez agresorów i ich popleczników.

Niebieskie Hełmy winne są niezliczonych zaniechań, zresztą okazały się stworzone tylko po to, żeby być, a nie żeby coś robić. Zawiodły w byłej Jugosławii, nie zapobiegły ludobójstwu w Rwandzie, nie odegrały większej roli na Bliskim Wschodzie, nie mówiąc o Indochinach. Gdzie były Narody Zjednoczone, kiedy wyrzynano naród Kambodży? Jedyne co potrafiły, to ssać gigantyczne pieniądze (głównie amerykańskiego podatnika) i zapewniać synekury niezliczonej liczbie nieudaczników ze wszystkich stron. Obrosły setką rozmaitych, pięknie nazywających się organizacji, wyspecjalizowanych w działaniach przeważnie pozorowanych, a w ostatnich latach zajmujących się głównie atakowaniem Ameryki za jej własne pieniądze. Tymczasem oskarżane o bycie żandarmem świata Stany okazywały się coraz częściej bardziej czymś w rodzaju żandarma z Saint Tropez w niezapomnianej kreacji Louisa de Funesa.

Nic dziwnego, że pragmatyk Trump powiedział to, co wielu innych przed nim miało ochotę: wysiadka, i zapowiedział wyjście z tej organizacji, podobnie jak z innych tworów tego typu, ze Światową Organizacja Zdrowia na czele. Bez USA zapewniających połowę budżetu pasożytom z całego globu trudno będzie zapłacić czynsz za wynajem molocha nad East River w Nowym Jorku.

Istotne dla świata dialogi przeniosły się na spotkania w Davos, a centra decyzyjne zawęziły się do grona uczestników rozmaitych G7 i innych podobnych „G", nie mówiąc o Grupie Bilderberg. Wszyscy wiedzą, kto to jest George Soros, Elon Musk czy Paul Gates. A ilu z 8 mld mieszkańców Ziemi potrafi wymienić nazwisko aktualnego sekretarza generalnego ONZ? Osobiście nie wiem nawet, z jakiego kraju pochodzi. Po co więc te cała maszynka do bicia piany?

Wśród najbardziej widocznych dowodów wagarowania tej światowej organizacji z tradycjami jest jej nieobecność w Kijowie. A mija właśnie trzecia rocznica agresji Rosji na Ukrainę… Tego, jak coś staje się własną karykaturą, zamiast być ułatwieniem zaczyna być przeszkodą – dowodzą niezliczone przykłady. Choćby podejście do spraw uchodźców. Coś, co miało służyć celom humanitarnym, jest dziś jedną ze współczesnych plag. Nawet takie zadanie jak odsyłanie ewidentnych przestępców do krajów macierzystych staje się niewykonalne, ponieważ w ich ojczyznach nie są zapewnione standardy praworządności, nie jest bezpiecznie. Przepraszam, a gdzie jest? W Wielkiej Brytanii, gdzie liczby gwałtów idą w setki tysięcy? W Niemczech – mekce nożowników? A może w Polsce, gdzie łamie się konstytucję skuteczniej niż w niejednej republice bananowej, a wymiar sprawiedliwości stał się orężem politycznej zemsty, co nie przeszkadza, by planować zsyłanie tu migrantów, których nikt nie chce gdzie indziej?

Co ciekawe, ów upadek bezpieczeństwa w krajach Zachodu wynika właśnie z szeroko stosowanej polityki otwartych drzwi, w której ONZ i jej agendy miały swój czynny udział.

Ale nie lamentujmy. Konserwatywna część świata właśnie się budzi. Skłócona prawica zaczyna się dogadywać. Bo kiedy obrońcy praw człowieka nie bronią już wolności słowa, więźniów politycznych, prawa narodów do samookreślenia i wybieranie sobie władz takich, jak chcą (na przykład jak w Rumunii) – ktoś to robić musi. I właśnie dlatego dinozaur znad East River jak najszybciej powinien znaleźć się w waszyngtońskim Smithsonian Institution. A ja nie będę po nim płakał. ■

eprasa.pl 3207be40fc



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Noc na wyspie przemytników

Z pozoru na wybrzeżu irańskiej wysepki Qeshm nie dzieje się nic szczególnego. Dopiero po jakimś czasie odpowiednio uprzedzone oko zacznie dostrzegać pewne zwiastuny. Tajemnicza łódź na horyzoncie. Oczekujący niby przypadkiem samochód z gotową do załadowania paką. I ci panowie szwendający się wzdłuż wybrzeża. Wszystko wskazuje, że operacja przemytnicza zaraz się rozpocznie.



eprasa.pl 3207be40fc

No i zrobiło się zimno. Wystarczyło jedynie, aby słońce schowało się za okoliczne piaszczyste wzgórza i od razu pejzaż stał się jakby mniej gościnny. Przynajmniej od godziny sterczymy na chłodnym wietrze, wypatrując, czy nie jedzie jakieś auto. Na irańskiej wyspie Qeshm nie ma bowiem żadenego transportu publicznego. A przynajmniej ja do tej pory takiego nie widziałem. Od momentu postawienia nogi na tej tajemniczej wysepce, poruszamy się po niej wyłącznie autostopem.

Noc, wąż i czekanie na podwózkę

– Machaj! Machaj teraz! – siedzący na plecaku Mateusz, który akurat ma przerwę w łapaniu stopa, wskazuje na zbliżający się samochód.

Z powodu zimna przez dłuższą chwilę skupiłem się na rozgrzewaniu zmarzniętych palców u rąk. Teraz, gdy ciemne powietrze zaczynają rozświetlać dwa długie halogeny warczącego samochodu, wbiegam na pobocze, aby dać znać kierowcy, że szukamy podwózki.

– Tylko pamiętaj o kciuku! – słyszę zza pleców. To troskliwy Mateusz. Kilka dni temu dowiedzieliśmy się, że w Iranie gest uznawany w pozostałej części świata za uniwersalny, jeśli chodzi o łapanie okazji, tutaj jest kojarzony bardzo jednoznacznie. I dość nieprzyzwoicie. Lepiej więc, aby uniknąć niepotrzebnych awantur i machać do kierowców otwartą dłonią.

Rozpędzona toyota hilux nawet nie zwalnia. Mija nas, wzbijając w powietrze tumany pustynnego pyłu. Cóż, ten kierowca raczej nas nie zabierze. Trzeba czekać dalej. Pozwalam sobie zatem na krótką przerwę. Siadam na plecaku obok odpoczywającego Mateusza. W pewnym momencie powietrze przeszywa długie syczenie. Sam nie wiem, czy to moje westchnie, czy coś innego. Wszak zmęczenie ma prawo już brać górę nad zdrową percepcją rzeczywistości.

– Co to było? – Mateusz jest najwyraźniej bardziej przejęty zasłyszanym odgłosem.

– Spokojnie, to tylko mój plecak. Prawdopodobnie gdy na niego padałem, uleciało z niego powietrze – próbuję znaleźć rozwiązanie zagadki. Prawda jest jednak taka, że tą argumentacją nie przekonuję nawet samego siebie. Po chwili wstaję więc i ja. Teraz wspólnie z kolegą penetrujemy latarkami okoliczne podłoże. Wkoło mnóstwo głazów i kamieni. I śmieci.

– Tam, tam… – szepcze podnieconym głosem Mateusz, wskazując na jeden z niższych płaskich kamieni. – Nie widziałeś?! Wąż! Wpełznął przed chwilą!

– Weź się nie wygłupiaj, Mateusz! – wykrzykuję ze złością.

– Sam się nie wygłupiaj. Widziałem łeb, a potem ogon, jak wypełzał spod tego kamulca…

Ostrożnie podchodzimy do wskazanego miejsca. Patykiem stukamy kilka razy kamień. Nic się jednak nie dzieje. Nie słychać też żadnego syku. Wąż – o ile rzeczywiście nim był – musiał już uciec.

– Chodźmy stąd – rzuca ze zdenerwowaniem Mateusz.

– Jasne, a masz pomysł gdzie? Jeśli wierzyć mapie, do najbliższej wioski mamy stąd jakieś 40 kilometrów. Z naszymi tobołkami na plecach. Naprawdę masz siły dreptać teraz przez siedem godzin w środku nocy przez pustynię pełną węży?

– Dobrze, masz rację. Ale przestawmy się chociaż kilkaset metrów dalej. Nie usiądę tu już drugi raz.

Naszą żywą dyskusję przerywa szum toczących się po asfalcie opon. W te pędy dobiegam do pobocza, aby dać znać kierowcy, że tu stoimy. To wysoka furgonetka. Widząc nas, kierowca zwalnia.

– Chodź, chodź! – wołam z entuzjazmem do Mateusza. – Chyba się udało!

W szoferce siedzi dwóch mężczyzn. Trudno oszacować, czy to miejscowi. Póki co nieśmiało się uśmiechają. Czytając z ich twarzy, są chyba bardziej zaszokowani całą tą sytuacją niż my. Nie spodziewali się spotkać kogokolwiek o tej porze w tym miejscu.

– Potrzebujemy dostać się do Laft – zaczynam powolną angielszczyzną.

– Nie znamy angielskiego – odpowiada łamiącym się głosem niższy z dwójki mężczyzn.

– O tutaj, o – wskazuję na trzymanej w dłoni mapie. – Laft. Laft…

– Basheh vard sho ma khaehim raft! – słyszę chrapliwym głosem w odpowiedzi. Mężczyzna dla ułatwienia macha dłonią na znak, żebyśmy wchodzili do środka.

Z jednej strony intuicja podpowiada, że wchodzenie do tej furgonetki nie musi być najlepszym rozwiązaniem, z drugiej jednak rozum wskazuje jasno: nie mamy innego wyjścia. Alternatywa spędzenia tej nocy na zimnej pustyni pełnej węży wydaje się być dużo mniej atrakcyjna. Wchodzimy.

Lahastan

– Hal kojayi? – tym razem to kierowca zabiera głos. Mimo panujących za oknem ciemności dostrzegam, że jest znacznie potężniejszej budowy niż jego kolega siedzący na miejscu pasażera. Widząc, że nie mamy pojęcia, o co pyta, mężczyzna dodaje: – Faranseh, Italia, Alman?

eprasa.pl 3207be40fc



Zdecydowana część zajęć mieszkańców Laft to te związane z morzem. Zajęć w majestacie prawa nie zawsze legalnych.

– Chyba chodzi mu o to, skąd jesteśmy… – podpowiada mi siedzący obok Mateusz.

– Poland – odpowiadam w pierwszym odruchu, by po chwili przypomnieć sobie o perskim odpowiedniku naszej nacji. Nauczyli nas tego słówka, jak byliśmy jeszcze w irańskim Shiraz. Możliwie najbardziej płynnie, jak potrafię, wydobywam z siebie: – Lahastan.

Kierowca wreszcie się uśmiecha. Po chwili mówi coś do swego kolegi. Teraz śmieją się już obaj. Atmosfera radości udziela się także nam. Z czasem okazuje się, że ze znajomością angielskiego nie jest u obu panów aż tak tragicznie. Pomagając sobie gestykulacją, udaje nam się nawiązać kontakt. Dowiadujemy się, że mężczyźni pracują na wyspie na tutejszych budowach. Właśnie jadą na jedną z nich. Chcą nas zabrać ze sobą. Mają tam jedną sprawę do załatwienia. Obiecując, że potem odwiozą nas do Laft. Spoglądam na Mateusza. Nic nie mówimy. Bo cóż tu jest do gadania? Spróbujemy im zaufać. Spróbujemy…

Płytko i wąsko

Wyspa Qeshm znajduje się na południowym wybrzeżu Iranu. W miejscu, w którym ciepłe wody Zatoki Perskiej usiłują przecisnąć się przez wąską gardziel Cieśniny Ormuz i wpadłszy do Zatoki Osmańskiej, zasilić wody Morza Arabskiego. I dalej już Oceanu Indyjskiego. Patrząc z lotu ptaka, wyspa ma wydłużony kształt. Ma 100 km długości, a jej powierzchnia to przede wszystkich pustynia i góry. Płaskowyże, skalne turnie, pionowe skały. Wszystko wyschnięte niczym popiół. I trudno się dziwić. Od kwietnia do października dzienne temperatury nie spadają tu poniżej 25 stopni Celsjusza. Wtedy też nie spada na ziemię nawet jedna kropla deszczu. Teraz, gdy jest zima, podobno zdarzają się przelotne opady. Póki co jednak sami ich nie doświadczyliśmy. A permanentna lampa na niebie nie zwiastuje, żeby cokolwiek miało się pod tym względem zmienić.

Pejzaż na wyspie jest więc dość monotonny i niezmienny. Ot, obłe pagórki śniadego koloru. Białe turnie z powysychanymi dolinami rzeźbiącymi ich podnóża. Gdzieniegdzie wystające ostrokolczaste zarośla. I majacząca gdzieś w oddali toń morza. Co ciekawe, w związku z tym, że szelf kontynentalny jest tutaj bardzo długi i łagodny, głębsza woda znajduje się często kilkaset metrów od wybrzeża. Zatem wchodząc do niej z lądu, nie będzie nam sięgała nawet kolan. Prędzej zakryje kostki.

Bez głowy

Chyba dojechaliśmy na miejsce. Kierowca wyłącza silnik i gestem ręki zaprasza nas na zewnątrz. Nad nami wznosi się potężnych rozmiarów metalo-

eprasa.pl 3207be40fc

wa konstrukcja. Prawdopodobnie budują kolejną stocznię, jakich na Qeshm naliczyłem już przynajmniej kilka. A może to po prostu jakiś magazyn?

Pełniący rolę kierowcy w naszej furgonetce mężczyzna przykłada palce do ust i głośno gwiżdże. Po chwili zadziera wysoko głowę. – Kadir! Kadir! – wykrzykuje.

Za moment dostrzegam poruszający się po metalowej konstrukcji punkcik. Mężczyzna jak gdyby nigdy nic idzie stopa za stopą po wąskiej na około 40 centymetrów metalowej szynie. Nie widać u niego żadnych uprzęży ani liny. Nie ma też kasku na głowie. Ot, zwykła powiewająca na wietrze ciemna koszula i przybrudzone bawełniane spodnie. Podchodzi do krawędzi mierzącej przynajmniej 20 metrów wysokości konstrukcji i macha na przywitanie wołającemu go mężczyźnie.

– Shma mi tavanid yek lahzeh pish ma biaeed?! – wykrzykuje dalej nasz kierowca. Po jego gestykulacji zgaduję, że prosi robotnika, aby ten na chwilę zszedł na dół.

Chłopak wesoło pogwizdując, schodzi po długiej konstrukcyjnej drabinie na dół. Mężczyźni, z którymi przyjechaliśmy na budowę, przedstawiają nam kolejnych robotników. W tym Kadira.

– Hal kojayi? – powtarza się pytanie, gdy chłopak puszczą moją dłoń na przywitanie. Tym razem jestem już gotowy na odpowiedź.

– Lahastan – oznajmiam ze spokojem.

– A ja jestem z Afganistanu – odpowiada przechodząc nagle na angielski. – Nie wiem, co tu we dwóch robicie, ale wiedzcie, że u mnie w kraju już byście nie żyli.

Na takie oświadczenie nie byliśmy przygotowani.

– Po prostu. Już dawno poderżnięto by wam gardła – kontynuuje groźnie Kadir. By po chwili sugestywnie przesunąć otwartą dłonią po swojej szyi.

– Dobra już! Wystarczy! Wystarczy tego! – wykrzykuje chudszy z dwójki mężczyzn, którzy przyprowadzili nas w to miejsce. – Zabieramy się stąd!

Migracja po ryż

Intuicja jednak nie kłamała. Ta późnowieczorna przygoda nie pozostanie w naszej pamięci jako pozytywne wspomnienie. Troszkę żal. Do tej pory bowiem nasza podróż po Iranie obfitowała raczej w miłe zaskoczenia. Ludzie zapraszali nas do swoich domów, zagadywali. Tym razem na Qeshm karta jakby się odwróciła. Może wpływ na to miała wieczorna, mroczna aura? I te mocne słowa o podrzynaniu gardeł? Słowa padające z ust człowieka, który całe swoje dorosłe życie będzie ryzykował śmiercią, aby zarobić kilkanaście milionów irańskich riali (nieco ponad tysiąc polskich złotych). Który migrację do Iranu postrzega w kategorii wielkiej szansy, sukcesu. W końcu ma na chleb. A właściwie na ryż. Ryż a'la tahdig.

– Macie jakieś pieniądze? – z rozmyślań wybudza mnie dopiero niski głos naszego kierowcy.

– Jakieś tam mamy. Odliczone. Na powrót promem na ląd. I potem na dojazd do Teheranu – odpowiadam zgodnie z prawdą. To nasze ostatnie dwa dni wyjazdu.

– Bo może byście nam coś zapłacili za tę podwózkę… – oznajmia bezceremonialnie.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym na początku, jak wsiadaliśmy?

– I tak byście weszli. Nie mieliście innego wyjścia – mówiąc to, delikatnie się uśmiecha.

Za oknem widzę pierwsze zabudowania. Pojawiają się kolejne skrzyżowania. Znak, że dojechaliśmy na miejsce. To musi być Laft. Czuję, jakby jakaś dodatkowa energia wstąpiła w moje zmęczone i wystraszone ostatnimi wydarzeniami ciało. Oto bowiem przed nami wreszcie jakaś cywilizacja.

Ostatecznie udało się uniknąć płacenia za podwiezienie. Oddycham z ulgą. Oto bowiem jesteśmy wreszcie u celu. Cali i zdrowi. A przed nami nieformalna stolica irańskich przemytników. Ta przygoda dopiero się zaczyna.

Droga dla przemytników

Na wodzie piaszczysto-kamienistego wybrzeża pełnego odpadków i śmieci najwyraźniej coś się dzieje. Dwaj mężczyźni w klapkach wodują większych rozmiarów łódź. Otwarty kadłub z mocno zardzewiałą rufą. Na końcu której zaczepiony jest pokaźny silnik. Po kilku próbach łódka kołysze się wreszcie na wodzie. Dwaj panowie prędko odpływają w kierunku zacumowanego na otwartych wodach tankowca. Po kilku chwilach znikają w oparach mgły.

Zarówno na tankowcu, jak i na łodzi motorowej próżno szukać jakichkolwiek oznaczeń. Żadnego numeru, żadnej symboliki. Za kilka godzin łódka zawita ponownie do brzegu. Tym razem już gdzieś dalej. Bynajmniej nie przy porcie. Gdzieś na długim odcinku laftańskiego wybrzeża. Wypakowana po burty plastikowymi torbami. Będą w nich telewizory, radioodbiorniki, będzie w nich sprzęt AGD.

– Dziś przemycamy praktycznie, co się da – mówi w przypływie szczerości Agheel, mieszkający na stałe w Laft. – Od butów wyprodukowanych w Chinach, po cięte kwiaty z Holandii. Wszystko, co następnie da się z zyskiem sprzedać.

eprasa.pl 3207be40fc



Sieć ukończona. Można łowić.



Prymitywna stocznia na wschodnich wybrzeżach Laft.

W sytuacji gdy sankcje ekonomiczne zaciskają się na gardle irańskiej gospodarki coraz mocniej, ta jedna tajna trasa pozostaje dla tutejszych mieszkańców ratunkiem. I zarazem jedyną szansą dla tak wielu. Wąski korytarz morski prowadzący przez Przesmyk Ormuz. Łączący skalisty skrawek Omanu z irańskim wybrzeżem. Droga dla przemytników.

Trudno dziś znaleźć w Laft rodzinę, która nie miałaby nic wspólnego z nieoficjalnym procederem przemytniczym. Nie każdego ojciec musi przecież pływać na morzu, by odbierać towar. Część zaangażowana jest w odbiór na brzegu, część w proces ładunku i przechowywania. A jeszcze inni odpowiedzialni są za redystrybucję. Najmłodsi z kolei czujnie obserwują ruchy irańskiej straży granicznej. A prawda jest taka, że ostatnimi czasy pojawia się ona coraz częściej.

Polityczna presja wywierana na Iran w związku z jego programem nuklearnym ma bowiem bardzo widoczne przełożenie na ruch przemytniczy. Przychód z coraz dokładniej kontrolowanego przez służby biznesu spada z roku na rok. Potwierdzają to zarówno sami przemytnicy, jak i pośrednicy oraz członkowie załóg.

– Rial spada z roku na rok – wyjaśnia ze smutkiem w głosie Agheel. – A przez to zmniejsza się liczba klientów na przemycone przez nas towary.

Przemytnikom nie pomaga także wzmożony ruch złodziei ropy naftowej, który pojawił się na wodach Zatoki Perskiej w ostatnich kilku latach. Co kilka miesięcy irańskie służby ogłaszają konfiskatę kolejnego statku, na którym znaleziono nielegalną ropę. Zwiększone patrole na okolicznych wodach siłą rzeczy przekładają się na ryzyko przechwycenia przemytników. I pętla się zamyka.

– Kiedyś odbywaliśmy dwa-trzy rejsy dziennie – rozmarza się Agheel. – Teraz cieszymy się, jak jest jeden.

„Jeśli mnie nie złapią"

O zmierzchu nad brzeg zatoki zajeżdżają dwie toyoty z otwartymi pakami. W powietrzu czuć atmosferę nerwowości. Oczekujący na transport mężczyźni lustrują wodę w oczekiwaniu na to, kiedy pojawi się wyczekiwana motorówka. Gdy wreszcie na wodzie słychać cichy warkot silnika, wszystko jakby pęka. Każda ze stojących na brzegu postaci dokładnie wie, co ma robić. Część wchodzi do wody, aby pomóc zacumować sternikowi. Reszta pozostaje przy pickupie. Za chwilę będą ładować towar na pakę. Nikt nic już nie mówi. Mniej hałasu, tym lepiej. Całość potrwa jeszcze kilkanaście minut. Po tym czasie dwóch mężczyzn wchodzi do toyoty. Ruszają powoli w kierunku centrum miasteczka. Za chwilę wyjadą w interior wyspy. By minąwszy surowe półpustynne góry Zagros, dojechać do portu, z którego łodzie zabiorą towar na kontynent.

Cały zysk dla zaangażowanych w przemyt będzie pochodził z różnicy cen między towarami obarczony-

eprasa.pl 3207be40fc





Na wyspie Qeshm trzeba trochę pobyć, aby zrozumieć, z czego i jak żyją tutejsi mieszkańcy.

mi europejskimi i amerykańskimi sankcjami funkcjonującymi na światowym rynku a tymi tutaj, obecnymi na czarnym rynku w Iranie. Chętnych na zakup na pewno nie będzie brakować.

Czy władza nie widzi tego nielegalnego procederu? Oczywiście że widzi. Nie ma jednak żywego interesu w przeciwdziałaniu jego rozwojowi. Mimo że zarówno Oman, jak i Zjednoczone Emiraty Arabskie są bliskimi sojusznikami USA i zobowiązały się do egzekwowania sankcji, także na tamtejszych wodach terytorialnych przemytnicy mogą liczyć na taryfę ulgową. Tym bardziej że omański port w Khasab leży w dość słabo zaludnionej enklawie półwyspu.

Interes więc się kręci, bo nadal zbyt wielu ludziom się opłaca. Dla bezrobotnych mieszkańców wyspy to zresztą często jedyna opcja zarobienia na utrzymanie rodziny. – Rachunek jest prosty – wylicza w przypływie szczerości Agheel. – Wczoraj miałem transport 3 tys. ruby mentholów [południowoazjatycka marka papierosów – przyp. aut.]. Za trzy skrzynki zapłaciłem 1200 USD. Na kontynencie sprzedam je za 5700 USD. Łatwo obliczyć zysk, prawda? Oczywiście pod warunkiem, że mnie nie złapią.

Smętna bajka

Już południe. O niedawnej obecności przemytników w tym miejscu świadczą już tylko ślady po kołach samochodów, urywające się dopiero w wodzie. Wokół półpustynny pejzaż irańskiego rozgardiaszu. Poprzewalane śmieci, niedokończona budowa. Gdzieniegdzie z okolicznych domostw wyglądają ciekawskie twarze. Jakiś pan akurat próbuje na ruchomym wózku zwodować swoją łódź. Nieco dalej trzech mężczyzn usiłuje z kolei uruchomić silnik na kołyszącej się już na wodzie motorówce. Z brzegu obserwują ich dzieci. Gdy widzą, jak się zbliżam, chowają się za pobliskie stelaże z drewna. Pozostaje jedynie się uśmiechnąć.

Kilkaset metrów stąd rozpościera się widok na okoliczną stocznię. Akurat jeden z pracowników wierci w konstruowanym drewnianym kadłubie. – Chcesz wejść do środka? – proponuje, widząc moje zainteresowanie niebanalnym widokiem wznoszonego na moich oczach gigantycznego drewnianego statku.

Po chwili spaceruję po szczelnie zmontowanym kręgosłupie przyszłego jachtu. Dopiero stąd widać, że cała konstrukcja pozbawiona jest jakichkolwiek niedrewnianych elementów. Nigdzie na świecie nie widziałem czegoś podobnego. Wizyta w tej niezwykłej stoczni pod gołym niebem to troszkę jak wizyta w na wpół realnej rzeczywistości. Rybackiej rzeczywistości irańskiej bajki. Szkoda tylko, że bajki jedynie dla mnie. Dla mieszkających tu ludzi to zdecydowanie surowa lekcja życia. Która wciąż trwa. ■

eprasa.pl 3207be40fc

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–Wielka Brytania

8 lutego w Londynie odbył się wiec przeciwko nowej lokalizacji ambasady ChRL. Placówka, jeśli zostanie zatwierdzona przez lewicowy rząd Wielkiej Brytanii, stałaby się „największą ambasadą Chin w Europie". Skandal wybuchł po tym, jak premier Keir Starmer obiecał prezydentowi Chin Xi Jinpingowi podczas spotkania w listopadzie ubiegłego roku, że jego rząd pomoże usunąć przeszkody w budowie nowej ambasady w Royal Mint Court, historycznym kompleksie budynków, w którym niegdyś mieściła się brytyjska mennica. W 2022 roku rada gminy Tower Hamlets, w której znajduje się budynek, dwukrotnie odrzuciła wniosek dotyczący chińskiego projektu. Lewicowy rząd w Londynie wydaje się sądzić, że zgoda na nową ambasadę mogłaby skłonić Pekin do zwiększenia inwestycji w zmagającą się z problemami gospodarkę Wielkiej Brytanii. W wywiadzie dla „Asia Times" Tom Tugendhat, poseł opozycyjnej Partii Konserwatywnej, stwierdził, że jego kraj pragnie współpracować i handlować ze wszystkimi na świecie, ale musi również uwzględniać dodatkową cenę, jaką płaci się za zbyt bliskie relacje z Komunistyczną Partią Chin. „Proszę zwrócić uwagę na bawełnę z Xinjiangu [region, gdzie KPCh prowadzi obozy koncentracyjne – przyp. H.S.] oraz na baterie i panele słoneczne produkowane przez niewolników. Pytanie, które się nasuwa, brzmi: ile krwi musi zostać przelanej na nasze ręce za tanie towary? Przecież 200 lat temu walczyliśmy z niewolnictwem w tym kraju, odrzucając cukier uprawiany przez niewolników na plantacjach". Protestujący podkreślają również, że nowa megaambasada stanie się narzędziem zwiększonych represji inwigilacji przez chiński reżim. Placówki dyplomatyczne ChRL aktywnie uczestniczą w monitorowaniu, nękaniu i zastraszaniu dysydentów za granicą. Chińscy urzędnicy ambasad w Wielkiej Brytanii wielokrotnie wywierali presję na protestujących, aby ci odwołali demonstracje, podczas gdy ich rodziny w Chinach były prześladowane przez rząd. Dyplomaci ChRL są oskarżani o inwigilowanie studentów krytykujących Pekin oraz grożenie im deportacją do Chin. Ambasada oraz konsulaty Chin, a także zagraniczne biura Hongkongu, wielokrotnie naruszały brytyjskie prawo, atakując dysydentów. W 2024 roku brytyjskie władze aresztowały trzy osoby pod zarzutem szpiegostwa, w tym szefa Biura Gospodarczego i Handlowego Hongkongu w Londynie. Prokuratorzy oskarżają, że hongkońskie biuro płaciło im za szpiegowanie oraz nękanie chińskich i hongkońskich dysydentów mieszkających w Wielkiej Brytanii.

Administracja Trumpa miała wysłać do Londynu sygnały, że zgoda na budowę największej chińskiej ambasady w Europie może skłonić Waszyngton do rozważenia „środków ochronnych" w zakresie wymiany informacji wywiadowczych z Wielką Brytanią.

Tajwan

W połowie stycznia partie opozycyjne Kuomintang (KMT) i Tajwańska Partia Ludowa (TPP), które łącznie mają ponad połowę miejsc w parlamencie, przegłosowały wersję rocznego budżetu z cięciami około 94 mld dolarów tajwańskich (2,85 mld USD). Konsekwencją tego będą m.in. ograniczenia wydatków Tajwanu na obronę. To postępowanie opozycji doprowadziło do stworzenia ruchu, którego celem jest impeachment posłów, którzy stali za głosowaniem ograniczającym wydatki tajwańskiego rządu

eprasa.pl 3207be40fc

w momencie narastającego zagrożenia ze strony Chin. W całym kraju zbierane są podpisy za impeachmentem poszczególnych polityków. Zgodnie z Ustawą o wyborach i odwołaniu urzędników publicznych, petycja o odwołanie może zostać wszczęta dopiero po roku od momentu objęcia przez parlamentarzystę jego urzędu. Ten warunek został spełniony 31 stycznia br.

Jedną z prominentnych postaci ruchu na rzecz odwołania parlamentarzystów jest Robert Tao, były prezes tajwańskiej firmy produkującej półprzewodniki United Microelectronics Corp. Tao podkreśla, że ogólnokrajowa kampania dotycząca impeachmentu ma na celu „ochronę demokracji" na Tajwanie przed zagrożeniami ze strony Komunistycznej Partii Chin. Zwraca uwagę, że „polityczne zamieszanie" w parlamencie, do którego doprowadziła opozycja, „Pekin przyjmie z radością".

O znaczeniu ruchu na rzecz impeachmentu mówił w wywiadzie dla amerykańskiej gazety „Epoch Times" w połowie lutego Yuan Hongbing, obecnie publicysta i komentator wydarzeń dotyczących Chin, a niegdyś wykładowca na Wydziale Prawa Uniwersytetu Pekińskiego. Yuan poparł studentów protestujących w Chinach w 1989 roku i był jedną z osób, które stworzyły tzw. Kartę '08 – manifest podpisany przez 350 chińskich intelektualistów i działaczy praw człowieka, mający na celu promocję reform i demokratyzacji w Chinach. W 2004 roku Yuan Hongbing poprosił o azyl polityczny w Australii i od tego czasu mieszka za granicą. Mówiąc o sytuacji na Tajwanie, podkreślił, że Komunistyczna Partia Chin (KPCh) zainwestowała ogromne sumy w kampanię mającą na celu wprowadzenie chaosu w pracach tajwańskiego parlamentu. Działania te obejmują przyjęcie szeregu ustaw podważających konstytucję oraz zakłócających funkcjonowanie rządu, co osłabia skuteczność i zdolności rządzenia prezydenta Tajwanu, Lai Ching-te, a także destabilizuje tajwański system prawny. W odpowiedzi na te działania Tajwańczycy zorganizowali akcję, którą Yuan określa mianem „wielkiego impeachmentu" i która jest dowodem na to, że „w społeczeństwie tajwańskim istnieją potężne siły zdolne do przeciwstawienia się infiltracji tyranii KPCh". Yuan Hongbing uważa, że jeśli w ciągu najbliższych miesięcy odwołania polityków zakończą się sukcesem, Kuomintang, jako partia współpracująca z Pekinem, może stracić możliwość sprawowania rządów na Tajwanie w przyszłości.

▶ Japonia

Całkowity wskaźnik samobójstw w Japonii spadł w ubiegłym roku do nieco ponad 20 tys. Niestety, w jednej grupie społecznej – wśród dzieci i nastolatków – sytuacja uległa pogorszeniu. W 2024 roku 527 młodych ludzi odebrało sobie życie, co stanowi najwyższy wynik w historii w tej kategorii wiekowej w Japonii. W większości przypadków (349) ofiarami byli uczniowie szkół średnich, a 15 przypadków dotyczyło uczniów szkół podstawowych. Zauważalny jest także wzrost liczby dziewcząt (288), które podjęły tak dramatyczną decyzję. Ministerstwo Zdrowia, Pracy i Opieki Społecznej alarmuje, że sytuacja jest „poważna" i wymaga dalszych, pogłębionych badań, aby zrozumieć przyczyny tych tragicznych wyborów wśród młodzieży. W wywiadzie dla telewizji NHK Okaku Terumi, dyrektor organizacji Live On zajmującej się profilaktyką samobójstw, podkreśliła, że bullying – nękanie i osaczanie – oraz wykluczenie przez rówieśników w mediach społecznościowych stają się coraz częstszymi przyczynami samobójstw wśród młodych ludzi. W wypowiedzi dla katolickiej agencji Asia News misjonarz ks. Marco Villi, który od 2009 roku pracuje w diecezji Saitama (niedaleko Tokio), zwraca uwagę na inne czynniki: „Dzieci coraz częściej spędzają czas w samotności w domu i odczuwają presję, by się wyróżniać. Rywalizacja w klasie jest intensywna, a znęcanie się nadal stanowi poważny problem, choć odbywa się to w mniej otwarty sposób. W niemal każdej klasie jeden lub dwóch uczniów rezygnuje z dalszej nauki". Oficjalne dane z 2023 roku wskazują, że 415 252 nieletnich odmówiło chodzenia do szkoły. Ksiądz Villi wyjaśnia, że izolacja jest głęboko zakorzeniona w kulturze azjatyckiej, gdzie jednostka ma mniejsze znaczenie niż społeczność. „Ludzie ciągną do wewnątrz, by nie być ciężarem dla innych", przez co rzadko szukają pomocy. Okaku Terumi zauważa, że w szkołach w całej Japonii dominują hasła takie jak: „Bądź silny, bądź bystry, bądź twardy". Tymczasem powinno się również promować slogan: „Proszenie o pomoc jest w porządku". Terumi podkreśla także niedobór nauczycieli, a liczba tych, którzy ubiegają się o odszkodowanie z powodu problemów ze zdrowiem psychicznym, jest rekordowa. W rezultacie dzieci często nie mają do kogo się zwrócić, gdy potrzebują wsparcia.

Ksiądz Villa prowadzi grupę wolontariuszy w centrum pomocy potrzebującym i przyznaje, że dostrzeganie trudnych sytuacji młodych ludzi na czas nie jest łatwe. „Jeśli młodzież ma za sobą solidne wsparcie rodzinne, często to rodzice kontaktują się z nami lub służby socjalne próbują skierować kogoś do nas. Jednak, gdy młodzi zamykają się w swoich pokojach, trudno ich stamtąd wyciągnąć". ■

eprasa.pl 3207be40fc

Antoni Rybczyński

Montaż, czyli Francja w sieci KGB

Przez prawie całą zimną wojnę rezydentura sowieckiego wywiadu w Paryżu prowadziła dziesiątki agentów, więcej niż jakakolwiek inna placówka MGB/KGB w Europie Zachodniej. Większość nazwisk zdrajców jest dziś znana dzięki tzw. archiwum Mitrochina. Informacje, jakie ten były pracownik KGB skopiował i wyniósł z siedziby Pierwszego Zarządu Głównego (PZG), pokazują ogromną skalę infiltracji Francji przez Sowietów.

„Sun Tsu powtarza: podczas wojny najlepsze co się może zdarzyć, to opanować kraj nieprzyjacielski nietknięty przez zniszczenia; unicestwienie go to ostateczność. Oto właśnie metoda naszego postępowania we Francji, mój rubinowy Jakubie Mojsiejewiczu"

gen. Abdulrachmanow do Pitmana, „Montaż", Vladimir Volkoff

Część tych informacji, opublikowana pod koniec lat 90. XX wieku w dwóch książkach, napisanych przez Mitrochina wspólnie ze wybitnym brytyjskim znawcą tematu sowieckich służb Christopherem Andrew, wywołała wstrząs w wielu krajach Zachodu. Ale nie we Francji. Tutaj dopiero w ostatnich latach pisze i mówi się na ten temat więcej. Były demaskatorskie publikacje prasowe, była książka napisana przez trzech byłych szefów agencji kontrwywiadu francuskiego. Ostatnio zaś serię artykułów temu zagadnieniu poświęcił lewicowy dziennik „Le Monde", przy okazji rozliczając się też z własnej niechlubnej zimnowojennej przeszłości.

Francuskie sekrety archiwum Mitrochina

Wasilij Mitrochin (1922–2004) był odpowiedzialny za przeniesienie archiwów Pierwszego Zarządu Głównego KGB, czyli wywiadu zagranicznego, od 1972 roku do 1984 roku, kiedy zarząd przeniósł się ze swojej historycznej siedziby w sercu Moskwy na jej przedmieście Jasieniewo. Mitrochin skopiował tysiące dokumentów: spisywał na małych karteczkach, wynosił je z pracy w butach, na daczy przepisywał na maszynie do pisania, gromadził pod podłogą domku. Już po upadku ZSRS i rozwiązaniu KGB, w 1992 roku Mitrochin skontaktował się z Brytyjczykami. Przekazane próbki akt KGB zrobiły ogromne wrażenie i niebawem Mitrochina wraz z rodziną i całym cennym archiwum eksfiltrowano na wyspy. Dostarczone informacje były niezwykle cenne. Brytyjczycy zaczęli się dzielić nimi z sojusznikami. Francja otrzymała informacje od MI6 na swój temat z archiwów KGB w 1994 roku, przede wszystkim listę około 60 sowieckich agentów. Jednak władze nie potraktowały tego priorytetowo. Raymond Nart, wówczas numer dwa w kontrwywiadzie DST (obecnie znanym jako DGSI), teraz tak to tłumaczy „Le Monde": „W tamtych czasach wciąż byliśmy

eprasa.pl 3207be40fc

»kumplami« z Sowietami. Skupialiśmy się na walce z terroryzmem. Nie mieliśmy rozmawiać o kontrwywiadzie, ani z naszymi szefami, ani z naszymi przywódcami politycznymi". Po 30 latach „Le Monde" zapoznał się dostępnymi materiałami Mitrochina, fotografując prawie 1000 stron maszynopisu. Rząd brytyjski mógł ujawnić część tej ogromnej skarbnicy dokumentów począwszy od 1999 roku, ale nadal można tam znaleźć sporo starych tajemnic. Choćby na temat kretów KGB we francuskich służbach i sowieckich agentów w mediach.

Największym osiągnięciem Pierwszego Zarządu Głównego w latach IV Republiki (1946–1958) była penetracja francuskiego środowiska wywiadowczego. Z listy wyjątkowo cennych agentów wynika, że KGB zwerbowało czterech funkcjonariuszy SDECE (wywiad zagraniczny) oraz po jednym w kontrwywiadzie i bezpieczeństwie (DST i GIZ). Po jednym wysoko uplasowanym agencie Sowieci mieli w Ministerstwie Obrony, MSZ i Ministerstwie Marynarki Wojennej. W 1954 roku 30 proc. meldunków nadsyłanych przez rezydenturę w Paryżu opartych było na informacjach od agentów uplasowanych we francuskich służbach specjalnych. Służby USA i Wielkiej Brytanii wiedziały o tym, że zaraz po wojnie służby francuskie były mocno „dziurawe" (jednym z powodów była silna pozycja komunistów w rządzie do 1947 roku) i bardzo ostrożnie dzieliły się informacjami, zwłaszcza z DST i SDECE. Choć, jak pokazała sprawa Kima Philby'ego, i Brytyjczycy nie byli „nieprzemakalni". Po rozpadzie siatki „piątka z Cambridge" w 1951 roku, to Francja, aż do końca dekady, była terenem, z którego KGB dostawało najwięcej informacji o polityce Zachodu wobec bloku sowieckiego. Zbiegowie z KGB, małżeństwo Pietrowów, relacjonowali w 1954 roku, że PZG było „wyjątkowo łatwo prowadzić pracę wywiadowczą we Francji […]. Francuska sekcja operacyjna była dosłownie zasłana papierami przypominającymi fotostatyczne kopie oryginalnych dokumentów francuskich". Na przykład dzięki zwerbowanemu już w 1945 roku szyfrantowi w MSZ (ps. „Jour"), w czasie kryzysu kubańskiego KGB mogło dostarczać na Kreml tłumaczone słowo w słowo depesze dyplomatyczne wymieniane między siedzibą francuskiej dyplomacji a ambasadami w Moskwie i Waszyngtonie. Centrala KGB była znacznie lepiej poinformowana o polityce Paryża wobec ZSRS niż którykolwiek sojusznik Francji w NATO. „Jour" typował też kolegów szyfrantów i sekretarki w MSZ do werbunku. Penetrację francuskich służb bezpieczeństwa kontynuowano również później. W latach 1963–1966 co najmniej czterech oficerów francuskiego wywiadu oraz były dyrektor wydziału w DGS pracowało aktywnie dla Sowietów.

Wiosną 1962 roku prezydent John F. Kennedy wysłał do Charlesa de Gaulle'a raport o materiałach przekazanych przez zbiega z KGB, Anatolija Golicyna. Pismo doręczył specjalny kurier, bo JFK nie dowierzał ani CIA, ani tym bardziej służbom francuskim. Według Golicyna, dla KGB pracowali jeden z byłych ministrów de Gaulle'a, grupa parlamentarzystów i cała grupa oficerów pod kryptonimem „Szafir", praktycznie kierująca francuskim wywiadem. Nazwisk nie ujawniono, ale ów minister przyznał się potem, na łożu śmierci, do szpiegostwa. Był członkiem tzw. algierskiego rządu (1944–1945), a i potem zachował wpływy i osobiste relacje z de Gaulle'm. W 1970 roku zwolniono bez podania przyczyny dwóch członków ścisłego kierownictwa wywiadu. Prawdopodobnie należeli do wspomnianej grupy „Szafir". Inny, późniejszy uciekinier z KGB, generał Oleg Kaługin tak pisał o wpływach agenturalnych ZSRS w gaullistowskiej Francji: „Kiedy trafiłem do kontrwywiadu w 1973 roku, byłem porażony liczbą kretów najwyższej rangi w ich organach wywiadu i kontrwywiadu, a także w organach wojskowego wywiadu. W tym czasie dysponowaliśmy we Francji jakimś tuzinem znakomitych agentów, głównie szefów różnych służb. W przytłaczającej większości sympatyzowali z komunizmem, jeszcze zanim skontaktowaliśmy się z nimi, głównie w latach czterdziestych. Nasi oficerowie zalecali im nie wstępować do partii i generalnie ukrywać swoje poglądy. Tacy agenci i ich kuratorzy doczekali czasów, gdy zajęli oni odpowiedzialne stanowiska w służbach. W latach 60. i 70. francuskie służby specjalne przeciekały jak durszlak".

▶ Środki aktywne nad Sekwaną

W początkowym okresie zimnej wojny rezydentura w Paryżu była też najbardziej skutecznym realizatorem „środków aktywnych" obliczonych na oddziaływanie na zachodnią opinię publiczną i kręgi opiniotwórcze. Na przykład wydano drukiem masę fałszywych wspomnień i książek, bardzo trudnych do zdemaskowania. Kluczową rolę odgrywał w tym Iwan Iwanowicz Agajanc, rezydent w Paryżu w latach 1946–1948 – przyszły szef pierwszej wyspecjalizowanej komórki sowieckiego wywiadu zajmującej się dezinformacją. Z czasem tempo werbowania i jakość agentów wyraźnie spadły. Jednak wciąż Francja pozostawała obfitym źródłem informacji, a zarazem łatwo było wpływać na jej opinię publiczną. Dlaczego? Warto tu wrócić do oceny brytyjskiego Wspólnego Komitetu ds. Wywiadu (JIC) z 1948 roku, w której podkreślano, że do powodzenia sowieckiej infiltracji Francji przyczyniają się „nieodłączne wady francuskiego charakteru" narodowego oraz „duża popularność komunizmu we Francji".

eprasa.pl 3207be40fc

Od upadku Związku Sowieckiego w 1991 roku powszechnie uznawano, że francuski kontrwywiad i jego okręt flagowy, Dyrekcja Nadzoru Terytorialnego (DST, obecnie znana jako DGSI), uniknęły infiltracji przez KGB. Archiwum Mitrochina obala ten mit: Sowieci mieli tam swoich agentów. „Le Monde" ustalił nazwisko jednego z najcenniejszych. Pierre Chaignot ma 24 lata, gdy jako policjant trafia w 1945 roku do francuskiej administracji wojskowej w Berlinie. Tam dołącza do raczkującej DST. Nowicjusz to idealny cel dla sowieckiego wywiadu. Wpada w „miodową pułapkę", czyli objęcia pięknej kobiety. W 1949 roku Walentyna Jukum, tłumaczka sowieckiej administracji wojskowej Berlina, melduje przełożonym z MGB (poprzednik KGB) o werbunku Francuza. Dostaje pseudonim „Paul", a w 1952 roku już jest opisywany jako „cenny agent". Nie bez powodu: przez zaledwie trzy lata po zgodzie na pracę dla Moskwy, Chaignot przekazał „dużą liczbę cennych dokumentów", dotyczących „działalności i struktury francuskiego wywiadu i kontrwywiadu w Niemczech oraz ich agentów". Na podstawie tych dokumentów, 15 agentów francuskiego wywiadu zostało aresztowanych i skazanych w 1952 roku. Zdrada Chaignota zneutralizowała pracę francuskiego wywiadu na rodzącym się froncie zimnej wojny. Według archiwum Mitrochina, w latach 1950–1955 „Paul" dostarczał również „informacje o agentach wywiadu z krajów zachodnich [...], o podwójnych agentach organów sowieckich [i] o osobach podejrzanych o powiązania z organami sowieckimi".

Komuniści byli oczywistą agenturą sowiecką, ale PZG miał też źródła w partiach dominujących we francuskiej polityce. W archiwum Mitrochina jako agent wpływu opisywany jest Pierre Sudreau, minister za czasów de Gaulle'a, słynący z antyamerykanizmu. Dokumenty opisują go jako uczestnika operacji rozpoczętych przez KGB w celu wywarcia wpływu na francuskie władze polityczne i opinię publiczną na przestrzeni ponad 20 lat. „Za pośrednictwem Pierre'a Sudreau – pisało KGB – Giscard d'Estaing i jego otoczenie zostali poinformowani, że amerykańskie przywództwo w NATO i wzmocnienie pozycji militarnej RFN stanowią zagrożenie dla pokoju oraz politycznych i gospodarczych interesów Francji". W 1980 roku Sudreau wydał książkę „Strategia absurdu", która, jak napisało KGB, słowo w słowo powiela sowieckie poglądy: „Krytykuje on stworzenie bomby neutronowej, opowiada się za utrzymaniem détente w stosunkach międzynarodowych, zatrzymaniem wyścigu zbrojeń i obroną dialogu między Wschodem a Zachodem".

Jeszcze bardziej zinfiltrowani byli socjaliści. Jednym z głównych kretów sowieckiego wywiadu w tym politycznym środowisku był Guy Desson (ps. „Drom"), deputowany do parlamentu podczas kilku kadencji między 1947 a 1968 rokiem. KGB zwerbowało go w 1961 roku. W tym wypadku zdecydowały pieniądze – pogrążony w długach i zmuszony do płacenia alimentów Desson dostawał przez 12 lat 1,5 tys. franków miesięcznie (odpowiednik dzisiejszych 2000 euro). Ujawniał sekrety lewicy i nazwiska potencjalnych rekrutów. Potem Desson dołączył do Ruchu na rzecz Pokoju, jednego z moskiewskich przekaźników wpływów w celu ograniczenia zachodnich zbrojeń. Kandydował do parlamentu w 1973 roku z poparciem komunistów. Tym razem kontrwywiad postanowił zareagować. Udało się na niego znaleźć dowody, które pogrążyłyby go jako polityka. DST przedstawiła ofertę nie do odrzucenia. Desson został podwójnym agentem w 1978 roku, dwa lata przed śmiercią.

Głównym celem sowieckiego wywiadu we francuskim światku medialnym była Agence France-Presse. W latach 1956–1982 KGB zwerbowało sześciu dziennikarzy AFP jako agentów.

Dziennikarze na pasku KGB

W grudniu 1958 roku szefem KGB zostaje „Żelazny Szurik", czyli Aleksandr Szelepin. Metody siłowe mają ustąpić miejsca subtelniejszym narzędziom: ideologicznym i dezinformacyjnym. W 1959 roku powstaje Wydział D (dezinformacja) pod kierownictwem wspomnianego wcześniej pułkownika Iwana Agajanca. Biegle posługiwał się angielskim, francuskim i perskim, w latach 40. służył w rezydenturach wywiadu w Teheranie i Paryżu. To on był mózgiem dezinformacyjnych działań na Zachodzie i pierwowzorem generała Abdulrachmanowa z cytowanej na początku artykułu książki „Montaż". Najbardziej skomplikowany i wiel-

eprasa.pl 3207be40fc

ki projekt, który okazał się też największym osiągnięciem Wydziału D, został zrealizowany właśnie we Francji. Wykorzystując dziennikarzy, polityków, ekonomistów i wojskowych, a także grając na anglosaskich nastrojach de Gaulle'a, KGB zdołało narzucić pogląd, że członkostwo w NATO to ciągłe straty dla Paryża. Więc nie jest ono do pogodzenia z narodową suwerennością Francji. W 1966 roku de Gaulle podjął decyzję o wyjściu z NATO. Kwaterę Główną przeniesiono z Paryża do Brukseli. W próbach manipulowania opinią publiczną i kręgami władzy we Francji jako kluczowe narzędzie Moskwa postrzegała media. Nie brakowało więc nich agentów PZG. W książce napisanej w 2022 roku przez trzech byłych szefów DST pojawia się na przykład Paul-Marie de La Gorce (1928–2004), jeden z najbardziej wpływowych francuskich dziennikarzy swoich czasów. W archiwum Mitrochina: pseudonim „Argus". Na początku 2024 roku „L'Express" ogłosił, że Philippe Grumbach (1924–2003), dyrektor tej gazety w latach 1977–1978, pracował dla KGB. W latach 70. XX wieku większość najwyżej notowanych w KGB agentów we Francji związana była właśnie z prasą.

Głównym celem sowieckiego wywiadu we francuskim światku medialnym była Agence France-Presse. W latach 1956–1982 KGB zwerbowało sześciu dziennikarzy AFP jako agentów. Najważniejszym z nich był Francis Lara. Dołączył do AFP w 1946 roku. Zaczynając od najniższego szczebla, jego kariera zakończyła się na szczycie w 1982 roku, kiedy to jednocześnie zajmował stanowisko szefa działu wiadomości i zastępcy dyrektora generalnego agencji. Został zwerbowany w 1956 roku, gdy był korespondentem w Hongkongu. W kwietniu 1960 roku „Sidor" (taki dostał pseudonim) opuścił Azję, by kierować biurem AFP w Waszyngtonie. KGB mogło się tylko cieszyć. Małżeństwo Lara regularnie odwiedzało Biały Dom na zaproszenie JFK i jego żony Jackie. Po powrocie do siedziby głównej AFP w Paryżu Lara piął się w górę hierarchii. Ujawniał jednocześnie Sowietom to, co wiedział o francuskim życiu politycznym i dyplomatycznym. Lara znalazł się w końcu na radarze DST. „Zauważono go w kontakcie z pracownikiem ambasady sowieckiej, więc chciałem dowiedzieć się więcej i odbyliśmy rozmowę" – opowiada Nart. Według niego, Lara zgłosił KGB swoje spotkania z francuskim kontrwywiadem. Sowieci zaczęli podejrzewać – bezpodstawnie – że jest podwójnym agentem. To był koniec. W AFP był jeszcze jeden agent, który również pracował w Azji. Joël Henri, pseudonim „Jacques". Został zwerbowany w 1964 roku podczas pobytu w Laosie. Przez cały okres współpracy z KGB Henri miał siedmiu kolejnych oficerów prowadzących. Na początku lat 70. Henri przebywał w Hanoi, potem w Bamako (Mali), gdzie kontynuował pracę dla sowieckiego wywiadu. W 1974 roku wrócił do Azji, tym razem jako dyrektor biura w Bangkoku, w Tajlandii. Cztery lata później, z powrotem w Paryżu, został szefem ds. rozwoju agencji, a następnie wyjechał do Indii, gdzie w kwietniu 1981 roku pełnił funkcję dyrektora biura w New Delhi.

Darmowa tuba dezinformacyjna

A co z samym „Le Monde"? Dziennik ustalił na podstawie kwerendy w dostępnej części archiwum Mitrochina, że w redakcji było ośmiu współpracowników, którzy mogli być mniej lub bardziej świadomi swojej roli jako przekaźników sowieckich interesów od lat 60. do połowy lat 80. Ilja Djirkvelov, były sekretarz generalny agencji informacyjnej TASS, który uciekł do Wielkiej Brytanii w 1980 roku, powiedział kiedyś, że uczestniczył w konferencji na temat dezinformacji, której przewodniczył Michaił Susłow, szef propagandy komunistycznego reżimu. Kiedy urzędnicy skarżyli się na brak środków na rekrutację dziennikarzy, użył on przykładu „Le Monde" jako narzędzia darmowej dezinformacji. Innymi słowy, w jego oczach gazeta była tak bliska stanowisku Moskwy, że nie było potrzeby płacenia jej dziennikarzom za ich promowanie.

Przykładem sprawa tzw. raportu Fechtelera. Dokument, rzekomo napisany przez dowódcę amerykańskiej marynarki wojennej admirała Williama Fechtelera, został opublikowany 10 maja 1952 roku i przedstawiony na pierwszej stronie gazety przez redaktora naczelnego André Chênebenoita jako „przedstawiający poważne gwarancje autentyczności". Tekst był prawdziwą bombą: admirał twierdził, że Europa nie może być broniona w przypadku sowieckiej agresji i że konieczne będzie poleganie na krajach arabskich w przygotowaniach do jej odzyskania. Szybko okazało się, że rzekomy raport dowódcy US Navy to ledwie zaktualizowana kopia artykułu napisanego przez jakiegoś oficera i opublikowanego w magazynie US Navy w 1950 roku. „Le Monde" odmówiło przeprosin. W kilku przypadkach dziennik nie potrzebował wiele, aby przekazać idee promowane przez KGB, na przykład gdy opisywał Aleksandra Sołżenicyna jako „reakcjonistę, pobożnego, antykomunistycznego renegata", który „żałuje, że Zachód wspierał ZSRS przeciwko nazistowskim Niemcom podczas ostatniej wojny światowej". Jeśli presja KGB na media była tak silna podczas zimnej wojny, dlaczego francuskie władze na to pozwoliły? Zapytany o to Raymond Nart, który poświęcił większość swojej kariery na tropienie rosyjskich kretów, odpowiada: „Nie pracowaliśmy nad dziennikarzami, szukaliśmy zdrajców w aparacie państwowym; dopóki prasa jest wolna i możesz pisać, co chcesz, uważaliśmy to za stratę czasu". ■

eprasa.pl 3207be40fc



Marek Kalinowski

Walentynki z Voo Voo

Czternasty dzień lutego został w tym roku dźwiękowo zdominowany przez muzyczną rodzinę Waglewskich. W święto zakochanych ukazały się aż dwa sygnowane ich nazwiskiem albumy: płynący w hiphopowym rytmie „25" braci Fisz Emade Tworzywo oraz koncertowy – seniora Wojciecha Waglewskiego, lidera grupy Voo Voo. Polecam Państwa uwadze szczególnie ten drugi, tym bardziej, że wspomnianych artystów znajdziemy na nim w komplecie.

Koncert ukazał się w popularnej serii MTV Unplugged i można by pomyśleć, że dla młodszych artystów, Fisza i Emade, skoncentrowanych twórczo bardziej na elektronice, będzie to pewne wyzwanie. Nic bardziej mylnego. Kto był na koncertach twórców Tworzywa czy Kim Nowak, ten doskonale wie, że panowie równie dobrze radzą sobie na akustycznych instrumentach, a publiczność bez problemu porywają i „bez prądu". Tak też zdarzyło się tutaj, synowie towarzyszą Wojciechowi Waglewskiemu aż w trzech utworach i jest to ogromna przyjemność posłuchać ich na jednej scenie.

Album otwiera jednak zupełnie inne muzyczne spotkanie z Maciejem Maleńczukiem. Duet Waglewski–Maleńczuk zdaje się, że zapewnił swego czasu komercyjne spełnienie, choć ich boomersko-pijacko-przaśnego bluesa bez powracającego w piosence wina słucha się dość opornie, zwłaszcza w zderzeniu z pozostałą częścią koncertu.

Przejdźmy zatem szybko do kolejnego duetu, bo zdecydowanie ciekawszy okazał się występ z Marią Peszek, tym razem w piosence z repertuaru gościa – „Moje Miasto". Zaproszenie Peszek również nie jest przypadkowe, choć z historią trzeba się cofnąć jeszcze dalej, o dobre 20 lat. Być może część słuchaczy nosi w pamięci koncerty Jana i Marii Peszków z zespołem Voo Voo w warszawskim teatrze Studio. Nie tylko z kapitalną, improwizowaną muzyką, lecz także z poruszającymi tekstami napisanymi przez dzieci z porażeniem mózgowym. Zapis koncertu „Muzyka ze Słowami" trzymam do dzisiaj niczym skarb i bardzo polecam, choć próżno go szukać w streamingu i raczej trzeba polować na płyty z drugiej ręki. Z ciekawostek, koncert „bez prądu" został zarejestrowany po sąsiedzku, w Teatrze Dramatycznym, historia więc zatoczyła znów jakieś koło.



Wojciech Waglewski, MTV UNPLUGGED, Agora

Tradycja koncertów MTV Unplugged, obfita w gościnne występy i pożyczone utwory, została tu w pełni wykorzystana. Oprócz wspomnianych gości, usłyszymy tu również Tomasza Makowieckiego i Kasai, a także mniej znanych artystów: Mashę Natanson, Spohie La Ro i Samitrę Suwannarit, a z utworów niespodzianek przebój Marka Grechuty „Będziesz moją panią".

Nie mogło też oczywiście zabraknąć największych hitów zespołu Voo Voo z „Flotą zjednoczonych sił" oraz „Nim stanie się tak, jak gdyby nic nie było" na czele. I trudno nie ulec przyjemności bogactwa tych nagrań, tak obfitych w improwizacje i muzyczne ozdobniki, ukryte gdzieś w smyczkach i zwieńczone porywającym, muzycznym bałaganem, jak choćby w piosence „Nabroiło się", z uroczo bezpretensjonalnym tekstem, który szczególnie Państwu polecam.

Ale wracając do walentynek, przy premierze w takim dniu nie mogło się przecież obyć bez miłosnego akcentu. Jest tu również taki, ukryty w nie mniej wartej uwagi pieśni „Gdybym", którą Wojciech Waglewski napisał przed laty dla swojej żony. Proszę posłuchać i pomyśleć, kto by nie chciał takiego prezentu w dniu św. Walentego! ■

eprasa.pl 3207be40fc

Tomasz Sakiewicz

Kogo Tusk wciągnie pod wodę

Lepiej zorientowani przedstawiciele świata biznesu i polityki badają teren, by w odpowiedniej chwili uciec z szalupy, którą steruje Donald Tusk. Zwiększenie represji wobec opozycji ma tylko jeden cel: utrzymanie porządku w szeregach rządzącego obozu. Premier pokazuje, że trzyma mocno ster władzy i nie warto rozglądać się na boki. Niewiele to pomaga, bo ci, którzy muszą, zostaną z nim, reszta chętnie go zostawi z tym, co zrobił. Pierwszy dał przykład Radosław Sikorski, który wepchnął się na konwencję republikanów w Waszyngtonie – CPAC – i próbował przekonać wszystkich, że zawsze był konserwatystą. Sikorski liczy najprawdopodobniej, że Amerykanie pomogą mu „wykołysać" Tuska i on jako ukryty republikanin przejmie władzę. Niezależnie od racjonalności tego projektu widać, że pozycja Tuska nie jest już niezachwiana. Bardziej racjonalni przedstawiciele biznesu już robią krok do tyłu, żeby nie być jednoznacznie kojarzonymi z rządzącą nad Wisłą ekipą. Dlatego też Tusk musi zwiększać represje, bo mu się wszystko rozlezie. Czy może też jeszcze na coś liczyć na scenie międzynarodowej? Wybory w Niemczech nie dały jednoznacznej odpowiedzi, kto ma rządzić w Berlinie. Wygrali je chadecy, ale najprawdopodobniej będą musieli dzielić władzę ze skompromitowanymi socjalistami. To nie będzie łatwe. Ostrze niemieckiej polityki zagranicznej ma zostać ustawione przeciwko USA. Tusk już zapisał się do antyamerykańskiej koalicji. Może dostać za to dodatkowe wsparcie od Niemców, a co więcej – wkurzy też Amerykanów. Moim zdaniem to za mało, żeby rządzić Polską. Pytanie tylko, jak długo będzie czekał na cios zza oceanu. To, że go dostanie, to raczej pewne. Nadgorliwcy pójdą z nim pod wodę.

Wielu komentatorów zarzuca mi, że demonizuję sprawy wpływu ośrodków zagranicznych na polską politykę. Amerykanie na przykład zupełnie nie lekceważą sprawy ingerencji innych państw w to, co dzieje się w USA. Oni po prostu uważają, że tak jest i trzeba z tym walczyć. Nieustannie wybuchają oskarżenia chociażby o związki ich polityków z Chinami. Mówimy o największym mocarstwie świata. To jaki wpływ może ono mieć na przykład na Polskę, jeżeli tylko zechce? Za Bidena USA grało razem z Niemcami przeciwko polskiemu rządowi. Bez udziału ambasady amerykańskiej polski rząd nie zostałby obalony. Dołączyła się do tego Ukraina, która była pod wpływem obydwu stolic. Bałagan, który z tego powstał, nazywa się Donald Tusk. Oby jak najszybciej ten bajzel posprzątano. ■

PREMIER POKAZUJE, ŻE TRZYMA MOCNO STER WŁADZY I NIE WARTO ROZGLĄDAĆ SIĘ NA BOKI. NIEWIELE TO POMAGA, BO CI, KTÓRZY MUSZĄ, ZOSTANĄ Z NIM, RESZTA CHĘTNIE GO ZOSTAWI Z TYM, CO ZROBIŁ.

eprasa.pl 3207be40fc

niezależna.pl



Twój portal informacyjny na każdy dzień!
Wejdź na **niezalezna.pl** i bądź na bieżąco!

niezależna.pl
Informacje, którym możesz zaufać

www.Niezalezna.pl
www.facebook.com/NiezaleznaPL
www.x.com/niezaleznapl
www.instagram.com/niezaleznapl

eprasa.pl 3207be40fc